

KACPRZYK – NIETYKALNY CZŁOWIEK KOALICJI OBYWATELSKIEJ



REWOLUCJA W SZKOLE. CZY RODZICE MAJĄ SIĘ CZEGO OBAWIAĆ?



POLSKA WRACA NA MORZE. ORP WICHER ZWODOWANY

KTO STOI ZA KARIERĄ SOBKOWIAK-CZARNECKIEJ?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

35 (717) 2026
24–30 sierpnia 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



DONALD TUSK

NAJBARDZIEJ ZAUFANYM MÓWI: „CHŁOPAKI, CHYBA TO PRZERŻNIEMY, ALE TAK TEGO NIE ZOSTAWIMY". CZY ODDA WŁADZĘ W SPOSÓB POKOJOWY?

JUŻ WIE, ŻE PRZEGRAŁ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 35
Numer w sprzedaży do 31 VIII 2026 r.

polsat box

Najlepszy sport i ponad 130 kanałów

tylko za

80 zł/mies.

przez 2 lata po rabacie



Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe – bez rabatu 90 zł/mies.

Umowa na min. 24 miesiące. Pakiet L od 25. miesiąca 85 zł/mies. z ww. rabatem lub 95 zł/mies. bez rabatu.

Po każdych kolejnych 12 miesiącach trwania umowy cena wzrasta o 5 zł/mies.

Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane oraz kanały z pakietu Sport Max, z kanałami Eleven Sports, Eurosport 3 i Eurosport 4 oraz Polsat Sport Premium, które są dostępne przez 24 miesiące trwania umowy. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Doradców i na polsatbox.pl.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Czy Tusk wstydzi się Polski?

Trzeba naprawdę nie mieć Polski w sercu, żeby wymyślić taki sposób na promowanie naszej pięknej ojczyzny. Film, w którym występują Robert Lewandowski, modelka Anja Rubik oraz aktorzy Jesse Eisenberg i Nikodem Rozbicki (udający Fryderyka Chopina) byłby zachwycający może dwie dekady temu. Dzisiaj, w dobie produkcji z wykorzystaniem AI, którymi media społecznościowe są zalewane nawet przez nastoletnich twórców, to słaby gniot, który nikogo do niczego nie zachęci. Polska Organizacja Turystyczna nadzorowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki nie dała tym spotem za 7 mln zł nawet cienia powodu, by odwiedzić Polskę. A może o to chodzi?

Niestety wszystko wskazuje na to, że rząd Tuska wziął się za psucie naszego wizerunku kompleksowo. Polska ma już pełnomocnika rządu ds. marki Polski. To prof. Barbara Mróz-Gorgoń. Przyznam, że nie miałem wcześniej pojęcia o istnieniu tej pani. Przeczytałem więc notkę na stronie rządowej i od razu wzbudziła ona mój niepokój. „Badaczka", „praktyczka", „profesorka wizytująca", „ekspertka". Co tu dużo gadać, brzmi to źle, a powinno znakomicie, bo Mróz-Gorgoń chwali się także, że jest „pianistką", która „wierzy, że markę kraju buduje się jak muzykę: nuta po nucie, z ludźmi, którzy grają na jeden ton". I to ta „pianistka" odpowiada m.in. za spot, który tak koncertowo położono.

Z zazdrością popatrzyłem na Chorwację i film promocyjny, do którego zaangażowano aktora Johna Malkovicha. To wciągająca historia człowieka, który trochę na siłę został wysłany do kraju, z którego pochodzą jego przodkowie (jego dziadkowie ze strony ojca byli Chorwatami). Nie chce tam jechać, przewraca oczami, gdy przewodnik pokazuje mu kolejne atrakcje i opowiada o państwie przepełnionym historią i dającym niezliczone możliwości wypoczynku. Na początek, na lotnisku, zapytany o cel podróży, odpowiada: „Nie mam pojęcia". Na koniec, leżąc w leżaku, przyznaje, że w sumie to mu się tutaj podoba, naprawdę i szczerze cieszy się, że może zostać jeszcze tydzień. Czuć w tym pasję, prawdziwą dumę z produktu, który się zachwala. Tak, traktujmy to w kategoriach produktu, turystyka to przecież potężny biznes. To jest zabawne, lekkie, z pomysłem i pięknie sfilmowane. Jestem daleki od rytualnego podejścia, że jak coś jest polskie, to na pewno gorsze, ale w tym przypadku produkcja naszego rządu po prostu się nie broni.

Sprawdźmy, jak rządowa akcja promocyjna realizuje hasło: „Poland. More than you expected" (tłum: „Polska. Więcej niż się spodziewasz"). W kraju tak pięknym, o tak dumnej historii, tak nasyconym regionalną kulturą, tak bogatym w smaki i dźwięki, dostajemy spacer po Warszawie, a właściwie wokół Pałacu Stalina. Wokół niego pląsa Anja Rubik, która na co dzień mieszka w Nowym Jorku, na jego tle pozuje amerykański aktor Jesse Eisenberg (ma polskie korzenie i od roku także polskie obywatelstwo). Merytorycznie to się nawet zgadza i stanowi niezłe podsumowanie podległych rządów Donalda Tuska, opartych na czerwonym marszałku Sejmu.

Polska to piękny kraj. Wydawałoby się, że z takimi atutami trudno położyć jego promocję. Miejmy jednak świadomość, kim są ludzie, którzy dzisiaj nami rządzą. Jak myślą o Polsce? Czy na pewno dobrze? Bo aby coś sprzedać, najpierw trzeba mieć naprawdę mocne przekonanie, że nasz produkt jest najlepszy na świecie. Być z niego dumnym.

Jak ta duma wygląda w wykonaniu Donalda Tuska i jego współpracowników? Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego patronuje akcji poszukiwania ambasadorów powstania warszawskiego. Widzimy więc fotografię atrakcyjnej brunetki, która na obfitym biuście prezentuje koszulkę ze znakiem Polski Walczącej. Niby super. Niby. Trzy minuty zajęło internautom ustalenie, że ta dziewczyna zarabia na tzw. niebieskiej platformie. Gdy zapłacisz, szybko zdejmie powstańczą bluzeczkę i odsłoni wszystko, co tylko zechcesz.

Zataczam więc pełne koło w moim wywodzie. Trzeba naprawdę nie mieć Polski w sercu, żeby wymyślić taki sposób na promowanie naszej pięknej ojczyzny.

Marcin Wikło



Reklama | 20/0326/F

eprasa.pl 61dfdd5e4e

SIECI

spis treści



28 Młody gen zuchwałości
Maciej Walaszczyk



42 Złapał Kozak Moskwicina...
Marek Budzisz



52 Taniej niż nad Bałtykiem
Andrzej Skwarczyński

NA POCZĄTEK

5 **LIBERALNA DEMOKRACJA NA WĘGRZECH**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TAŃSZA BENZYNA (NA DWA TYGODNIE) – TANI CHWYT RZĄDU TUSKA**
Daniel Obajtek

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WSZYSCY POLACY MUSZĄ BYĆ UPOLITYCZNIENI!**
Jan Pietrzak

12 **ŁYSO WAM, POLACY?**
Samuel Pereira

13 **PRĘŻENIE MIĘŚNI NA KURYLACH**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JOANNY KLAYBOR**
Michał Korsun

16 **REPARACJE: JEDNA ZASADA DLA MOSKWY I BERLINA**
Arkadiusz Mularczyk

17 **EASY RIDER**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **PODRYGI TUSKA**
Stanisław Janecki

KRAJ

22 **KARIERA NA DOPALACZU**
Konrad Kołodziejski

25 **TRZEBA ZAJRZEĆ DO KOMPUTERA I TELEFONU KACPRZYKA**
Z Magdaleną Leszczyńską rozmawia Jerzy Szmit

28 **MŁODY GEN ZUCHWAŁOŚCI**
Maciej Walaszczyk

31 **WALKA O „DUSZĘ" WOJSKA**
Piotr Gursztyn

34 **WYPADEK NA DRODZE DO MARYI**
Goran Andrijanić

36 **SZKOŁA PO NOWEMU**
Dorota Łosiewicz

39 **PRZYMIERZE LUDU I NIEBIOS ANNO DOMINI 1956**
Grzegorz Górny

ŚWIAT

42 **ZŁAPAŁ KOZAK MOSKWICINA...**
Marek Budzisz

46 **KIJÓW KOLEBKĄ EUROPY. UKRAINA CHCE BUDOWAĆ SWOJĄ POTĘGĘ TAKŻE NA HISTORII**
Stanisław Płużański

48 **POWRÓT NIENAWIDZĄCYCH**
Dariusz Matuszak

50 **ZATRUTA ATMOSFERA**
Aleksandra Rybińska

52 **TANIEJ NIŻ NAD BAŁTYKIEM**
Andrzej Skwarczyński

HISTORIA

56 **POLSKA WRACA NA MORZE**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **JEDEN DO MILIONA**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

64 **WRAŻLIWY I DEMONICZNY**
Maciej Walaszczyk

NATURA DLA LUDZI

65 **KOT SCHRÖDINGERA Z JEŻOZWIERZEM W TLE**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: TOMASZ HABDAS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **HEROSI SAMOREALIZACJI**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **CHAMSTWO**
Ryszard Czarnecki

74 **RESZTA, O KTÓRĄ NIE TRZEBA SIĘ MARTWIĆ**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 61dfdd5e4e

BRONISŁAW WILDSTEIN

Liberalna demokracja na Węgrzech

„Niespełna cztery miesiące od zwycięskich wyborów parlamentarnych przywódca TISZY zrobił więcej dla odbudowy państwa i rozliczenia z korupcją niż polski premier w ciągu przeszło trzech lat" – ogłasza publicysta „Rzeczpospolitej" Jędrzej Bielecki. Tak propagandziści establishmentu nazywają bezprecedensowe rozmontowywanie demokracji i państwa prawa.

Kilka felietonów wstecz cytowałem kardynała z Gwinei Roberta Saraha, który wskazywał neokolonialną postawę UE wobec ludów Afryki. Identyczny jest stosunek establishmentu unijnego do krajów Europy Środkowo-Wschodniej, takich jak Polska czy Węgry. To na nas testowane jest, jak daleko posunąć się może europejska oligarchia w obronie swojej władzy i przywilejów i na ile zrezygnować choćby z pozorów cywilizowanej polityki.

Program taki usiłował zrealizować Donald Tusk, ale na przeszkodzie stanęło mu zwycięstwo Karola Nawrockiego. Péter Magyar, który w ostatnich wyborach na Węgrzech zdobył większość konstytucyjną, nie trafia na takie bariery.

Wprowadzona w trybie natychmiastowym ustawa, która ogranicza możliwość zasiadania w parlamencie do trzech kadencji, a sprawowanie funkcji premiera do dwóch, przedstawiana jest jako akt identyczny z limitowaniem kadencji prezydenckiej czy innych ważnych urzędów w rozmaitych konstytucjach. W rzeczywistości jest niespotykanym uderzeniem w bierne i czynne prawa wyborcze. Wbrew elementarnym zasadom działa wstecz, a wyeliminować ma głównych konkurentów obecnej władzy, gdyż uniemożliwia start w wyborach elicie Fideszu i jego liderowi Viktorowi Orbánowi. Serwery i dokumenty tej partii przejęte zostały przez obecną władzę.

Do „walki z korupcją" ma służyć „Urząd do odzyskiwania majątku i kontroli mienia publicznego". Może pozbawiać mienia i nakładać ogromne kary na jednostki oraz instytucje. Jego orzeczenia mają być... ostateczne, a ich ofiarom nie przysługuje odwołanie się do sądu. Jedynie prezydent może tam konkretną sprawę skierować. Nic dziwnego, że rządzący tak spieszyli się z wymuszeniem na nim dymisji.

Dokonane zostało to poprzez poprawkę do konstytucji i szantaż postawienia prezydenta w stan oskarżenia. W ten sposób przejmowane są kolejne najważniejsze urzędy w państwie, w tym także instancje sądownicze. Wszystko pod szyldem „przywracania prawa", które Fidesz podobno niszczył. Pod tym hasłem i niepopartymi dowodami oskarżeniami do aresztu trafiają jego politycy. Nic podobnego nie działo się za rządów Orbána.

Obecnie w więzieniu znajduje się kilkanaście osób. Przykładem metody może być Balázs Bús, były burmistrz dzielnicy Óbuda w Budapeszcie, wielki przyjaciel Polski i Polaków, odznaczony za swoje działania Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Jako były wiceprezes Narodowego Funduszu Kultury został pomówiony przez Magyara o przywłaszczenie sobie budżetu tej instytucji w wysokości ok. 200 mln zł. W rzeczywistości instytucja wydała znikomy odsetek tej kwoty. Ale propagandowe ośrodki traktują insynuację jako fakt. Bús trafił do najcięższego więzienia Węgier, gdzie poddawany jest permanentnym szykanom.

Oskarżenia Fideszu przekraczają to, do czego zdążyliśmy się przyzwyczaić w Polsce wobec PiS. Magyar ogłosił 1243 konkrety rozliczenia Orbána, co jest odniesieniem do roku najazdu Mongołów na Węgry, uznawanego tam za jedną z największych katastrof w historii tego narodu. Rządy Fideszu mają być tego współczesnym odpowiednikiem. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Magyar zrezygnował z członkostwa Fideszu i stanowisk z nim związanych ledwie dwa lata temu.

Orbán postanowił wykorzenić dominujący na Węgrzech postkomunistyczny układ, budując przy pomocy państwa gospodarczą wobec niego alternatywę. Podobne przedsięwzięcia zawsze obciążone są poważnym ryzykiem, a fakt, że Fidesz rządził samodzielnie Węgrami przez cztery kadencje, jeszcze je nasilił. Oskarżenia Orbána o tolerowanie korupcyjnego marginesu wspierającego go układu, tak jak i oparcie się na Rosji i Chinach w zagranicznej polityce, jest uzasadnione. Natomiast tezy, że Fidesz zniszczył państwo prawa i etos polityki na Węgrzech to nonsens. Jego postkomunistyczni poprzednicy skorumpowani byli zdecydowanie bardziej, a system prawny osłaniał rządzącą oligarchię. Grzechem Orbána, którego nie wybaczył mu establishment unijny, nie były patologie jego rządów, ale niezależność. Jego następca z pewnością go nie popełni. Jako namiestnik Brukseli i Berlina na Węgrzech ma przykładnie ukarać kontestatorów unijnej oligarchii, uniemożliwić im powrót do władzy i zamurować rządy liberalnej demokracji na trwałe.

Dziś na Węgrzech odsłania ona swoje oblicze. Uwalnia przy tym najbardziej niebezpieczne, resentymentalne emocje społeczne. Lud ma się cieszyć z prześladowania i poniżenia sprawujących uprzednio władzę. Na razie taktyka ta przynosi owoce, a poparcie dla TISZY trwa na niezmienionym, niezwykle wysokim poziomie.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Sygnalista nadaje

Mamy go! Nawrockiego! Na defiladzie walnął o obrońcach Monte Cassino, choć pewnie nigdy nie był na Monciaku w Sopocie. To najlepszy dowód na to, co zapisano w konstytucji: prezydent nie może sprawować swoich obowiązków, więc przejmuje je... no kto? Tak! Marszałek Włodek Czarzasty. Dokładniejsze uzasadnienie napiszą wybitni konstytucjonaliści, profesorowie Sadurski, Zoll, Chmaj i Berek.

Jeśli chodzi o zapowiadaną nominację Jego Ekscelencji prof. Berka Maćka na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, to wszyscy się spodziewają, że Maciek uzdrowi ten organ swoją obecnością. Niezbędnym elementem uzdrowienia będzie konfrontacja z demoniczną postacią, która zabarykadowała się w gabinecie przewodniczącego Te-Ka, czyli Bogdana Godzilli-Święczkowskiego. Do Warszawy przybyły już pierwsze ekipy japońskich filmowców, którzy będą rejestrować to epickie starcie. „Godzilla kontra Berek" – najbardziej wyczekiwany film roku wkrótce na ekranach kin! Coming soon!

Osoby, które uważają, że posłanie Maćka Berka do TK jest tym samym, co wysłanie tam pisowskich nominatów, są absolutnie w błędzie. Oto dwa argumenty za tym, że się mylą: po pierwsze, to nie to samo. A po drugie – nie wolno porównywać. To powinno wszystkich przekonać.

Merytoryczne uzasadnienie apolityczności kandydata Berka przedstawił też ***Bartek Arłukowicz***. Tak mówił o Berku Maćku: „Twardy zawodnik. Czasem trzeba wejść na ostro" – przekonywał tych, którzy nie wierzą, że Berek Maciek będzie apolitycznym i bezstronnym sędzią Trybunału. To też powinno wszystkich przekonać. Czekamy jeszcze na argumenty Romana Giertycha, Elizy Michalik i Tomka Wiejskiego.

Jeszcze jeden argument za apolitycznością Berka Maćka. Wyczytaliśmy w „GieWu". Autor opinii niestety anonimowy. Szkoda, bo to błyskotliwa myśl. Wiemy tylko, że wypowiedział ją polityk KO: „Bodnar się skradał, Żurek się skradał, nic im nie wyszło, a tamta gawiedź się z nas śmieje. To nie jest dobra droga dla całej koalicji" – tak brzmi jego uzasadnienie wysłania Maćka do TK. Bo Maciek wjedzie na ostro, gdyż jest twardym zawodnikiem. Praworządność (tak jak my ją rozumiemy) tego wymaga.

Cudowny pomysł ***Radka Sikorskiego***. Putinowi poszło w pięty. W wywiadzie dla jakiejś greckiej gazety zgłosił postulat powołania zbrojnego ramienia naszej wspólnej i zjednoczonej Europy o pięknej nazwie Legion Europejski. Ogłaszamy pełne poparcie dla tej idei. Unijczycy polskiego pochodzenia (niepolskiego także), popierajcie Radka czynem. Zgłaszajcie się, wpisujecie miasta. Wpisujcie tylko wielkie miasta, bo wiadomo, jacy ludzie mieszkają w tych małych. Stańmy pod tęczową flagą Legionu Europejskiego. Kredki i chodniki czekają na wasze ręce. Tej siły nikt nie pokona.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Zrobiliście z nas śmieciarzy – takie pretensje słyszą posłowie Koalicji Obywatelskiej od ludzi narzekających na system kaucyjny. Czyli tych, którym nie chce się cierpliwie poczekać godzinki albo dwóch w kolejce do butelkomatu. Gdzie wady? Pytamy i od razu odpowiadamy: to wina PiS, że doprowadzili do tego, że ludność Tenkraju stała się tak roszczeniowa. Wszystko przez pińćset plus i podniesienie płacy minimalnej. To był ten moment, gdy w Brandenburgii zabrakło ludzi do zbierania szparagów. A u nas nagle okazało się, że nie opłaca się zbierać aluminiowych puszek. Oczekujemy od rządu, że odwróci ten niedobry trend. Murem za brandenburskim szparagiem!



Skoro jesteśmy już przy gastronomii – za każdym razem, gdy otwiera się lodówkę, wyskakuje ***Magda Sobkowiak-Czarnecka***. Nam, demokratom walczącym, zupełnie to nie przeszkadza. Bardzo lubimy panią Magdę i cenimy jej ponadprzeciętny intelekt oraz błyskotliwe przemówienia. Dla demokratów walczących starszego pokolenia, czyli właściwie dla wszystkich z naszej strony, ważne są też nostalgiczne wspomnienia. Otóż pani Magda bardzo przypomina nam niezapomnianą premier Ewę Kopacz. Ta sama elegancja i te same bon moty. Dlatego ze spokojem czekamy na ziszczenie się zapowiadanego scenariusza, kiedy Magda – jak niegdyś Ewa – zostanie premierem w miejsce pana Tuska. A pan Tusk zgodnie ze swoim zwyczajem – rach-ciach – i do Brukseli! Nie regulujcie lodówek, przecież normalnym Unijczykom polskiego pochodzenia nie może przeszkadzać to, że Magda ciągle z nich wyskakuje. Bo komu to przeszkadza? Tylko prawackim faszolom. No i jeszcze Władkowi Kosiniakowi-Kamyszowi. No, ale każdy wie, że to straszny zazdrośnik.



Jeszcze o gastronomii. Kojarzą państwo Stefka Krajewskiego? Wiadomo, że nie, więc spieszymy z wyjaśnieniami. To taki niestary jeszcze gość z PSL, z twarzy podobny do nikogo, ale całkiem sprytny, bo podłapał fuchę ministra rolnictwa. Otóż Stefek ogłosił ważny wniosek racjonalizatorski, który pomoże zmniejszyć dziurę budżetową. Chodzi o produkcję antyimportową. Nie ma sensu, aby cenne dewizy wypływały z kraju na tak niepotrzebne używki jak kawa. „Mamy piękną, bardzo dobrą kawę z żołędzi w Polsce" – orzekł Stefek. Potwierdzamy. Może nie jest tak dobra jak arabica, ale za to jest dużo gorsza od robusty.



Stefek Krajewski nie jest pierwszym Stefkiem, który z troską pochylił się nad niewłaściwymi nawykami żywieniowymi mieszkańców Tenkraju. Ze wzruszeniem wspominamy Stefana Niesiołowskiego, promotora takich superfoods, jak szczaw i mirabelki. „Dzisiaj te wszystkie gruszki, śliwki leżą i nikt tego nie zbiera" – ubolewał przed laty Stefan. Na szczęście rządy koalicji 15 października łamane na 13 grudnia nauczą ludzi oszczędności i korzystania z tych leżących na ziemi darów natury. PS Dobra wiadomość w tym temacie. Ministerstwo ministry Baśki Nowackiej informuje, że od 1 września br. ze szkolnych stołówek znikną kotlety mielone. Zamiast nich bachory dostaną kotlet buraczany z czarną soczewicą albo falafelki z miętą. Pychota! Kaszojady na pewno będą zachwycone. Rekomendujemy dodać do szkolnego menu także zupę z brukwi.



Nie tylko Grzegorz Braun dba o strategiczne stosunki na linii Warszawa–Delhi. Pielęgnowaniem przyjaźni z bratnim narodem indyjskim zajmuje się też posłanka z Błonia (i Powiśla) ***Kinga Gajewska***. Kinga spamuje cały internet zdjęciami ze swojej wycieczki do ojczyzny tikka masala. Bardzo ładne fotki. Jest potencjał. Taki sam jak u Natalii Janoszek, gdy przez moment była gwiazdą Bollywood. Jesteśmy pewni, że Kinga też zrobi karierę w takich superprodukcjach jak „Chicken Curry Law" i zostanie tam na dłużej. Czego Kindze – a jeszcze bardziej Polsce – życzymy.



Skoro już jesteśmy przy kataklizmach i innych klęskach żywiołowych, straszne nieszczęście spotkało Głuchołazy na Dolnym Śląsku. Rzecz dużo tragiczniejsza niż trzęsienia ziemi w Japonii – poinformował minister informacji i propagandy ***Szłapka Adam***. To podtopienie! Ulewa trwała aż 15 minut. „Tego typu rzeczy się zdarzają i trudno zarzucać np. rządowi Japonii, że nie zabezpieczył wszystkiego przed trzęsieniem ziemi. Musi być bardzo szybka reakcja i taka reakcja jest" – informował o heroicznych wysiłkach rządu Szłapka Adam. W związku z tą szybką reakcją informujemy, że działacze Koalicji Obywatelskiej z miasta Głuchołazy i okolic już teraz mogą zgłaszać się po pomoc finansową do Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego. Należy okazać aktualną legitymację partyjną oraz potwierdzenie terminowego opłacania składek. Zaświadczenie o podtopieniu i innych szkodach nie jest wymagane.



I na koniec. Konfederacja zapowiada: chce mieć wpływ na władzę, a nie tracić poparcie. Będzie Mentzen w wersji light. Czyli co? Sławek idzie na dietę MŻ?

Fot. Adam Chełstowski, Radek Pietruszka/PAP/Polish presidency of the Council of the EU 2025, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Tańsza benzyna (na dwa tygodnie) – tani chwyt rządu Tuska

Polacy wracają z wakacji, a rząd Donalda Tuska nagle przypomniał sobie, że paliwo sporo kosztuje. Od 17 sierpnia do końca miesiąca obniżono VAT z 23 proc. do 8 proc. i wprowadzono ceny maksymalne. Po całym lipcu i połowie sierpnia, kiedy zdarzało się, że litr benzyny i diesla potrafił być droższy nawet o 90 gr, nagle pojawia się „ulga". Jak na zamówienie – po szczycie wyjazdów, tuż przed powrotem dzieci do szkoły



Śmieszne, krótkie upusty, które mają zagłuszyć narzekania, a potem znowu pełne podatki i pełna cena. To nie troska. To nie polityka. To improwizacja na poziomie amatorskiego kabaretu. Wcześniejszy program „Ceny Paliwa Niżej", który trwał od marca do końca czerwca, kosztował prawie 5 mld zł. Gdy go wygaszono, ceny natychmiast poszybowały. Rząd najpierw zezwolił na skok i pozwolił kierowcom oraz firmom boleśnie to odczuć, a teraz daje krótki oddech i zrzuca winę na prezydenta, który ośmielił się zablokować niekonstytucyjny podatek od nadzwyczajnych zysków koncernów. Typowe dla Tuska – najpierw zepsuć, potem udawać ratownika, a winnego zawsze znaleźć gdzie indziej.

Tymczasem właśnie ta niepewność, te ciągłe zmiany stawek i paniczne ruchy podbijają koszty transportu, a przez to ceny żywności, usług i wszystkiego, co kupują Polacy. Drożyzna i inflacja nie wzięły się znikąd – to efekt właśnie takiej polityki: najpierw brak działań, potem paniczne, dwutygodniowe protezy.

Bezpieczeństwo paliwowe to nie tylko ceny na stacjach. To ciągłość dostaw dla firm, rolników, przewoźników. To możliwość inwestowania w rafinerie, magazyny, dywersyfikację źródeł. Za poprzednich rządów państwowy koncern gromadził zapasy, rozwijał infrastrukturę, zwiększał własne wydobycie i import z bezpiecznych kierunków. Dzięki temu podczas kryzysów ceny dało się trzymać w ryzach dłużej i skuteczniej. Dziś zamiast długofalowych rozwiązań mamy kolejne regulacje z Brukseli – system handlu emisjami rozszerzany na transport i budynki, kolejne obowiązki dotyczące biokomponentów, limity, które realnie podnoszą koszty. W Warszawie nikt o to nie walczy. Rząd Tuska milczy albo przytakuje, zamiast bronić polskich interesów. Jakby polski interes był ostatnią rzeczą, o którą warto się upomnieć.

W Brukseli i nad Wisłą przygotowywane są następne, nierealistyczne i groźne przepisy, które uderzą w portfele zwykłych ludzi i w konkurencyjność firm. Jedyny sposób, by to powstrzymać, to wspólny, gromki głos prawej strony i obywateli, którzy nie dadzą się uspokoić dwutygodniową promocją na koniec wakacji. Bo tanie paliwo nie jest przywilejem – to warunek sprawnej gospodarki i bezpieczeństwa państwa, a nie kolejny numer z kapelusza.

Polacy zasługują na politykę, która obniża ceny trwale, a nie tylko na chwilę po wakacjach, by rozładować napięcie przed rozpoczęciem roku szkolnego. Na rząd, który walczy o interes narodowy, a nie tylko ogłasza kolejne rozporządzenia i szuka winnych. Historia pokazuje, że da się inaczej. Wystarczy wrócić do rozsądku, inwestycji i odpowiedzialności. Wtedy tankowanie przestanie być loterią, a polskie firmy zyskają przestrzeń do rozwoju. Czas, by to zrozumieli wszyscy – i w Warszawie, i w Brukseli.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 61dfdd5e4e

RUDY i BRUDY

Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Siłowanie z prezydentem

– Gdzie jest Kierownik? – zapytał nerwowo Marcin Pogłosowski, minister spraw wewnętrznych, stając w drzwiach gabinetu Ronalda Kła, w którym zastał jedynie lansującą się ostatnio w prorządowych mediach Magdalenę Dwojga-Nazwisk. Wiceminister obrony narodowej siedziała w fotelu premiera i widać było, że czuje się w tym miejscu jak ryba w wodzie.

– Jak to gdzie? Na wakacjach! Ale udaje, że jest na miejscu i pilnuje interesu – odpowiedziała Dwojga-Nazwisk. – Jak oceniasz, Pogłos, pasuję do tego miejsca? Bo mi się wydaje, że idealnie.

– Ty się tak nie rozsiadaj, bo jak Kierownik wróci, to mu o wszystkim doniosę! – Pogłosowi nie spodobało się, że w najważniejszym fotelu w państwie widzi byłą dziennikarkę. – Wiem, że szykujesz się, żeby zastąpić Kła, ale zrobisz to tylko wtedy, kiedy on sam ci pozwoli! A wcale nie jest takie pewne, że będziesz jego następczynią, bo przecież prawie nikt cię nie zna. A nawet jak zna, to nie pamięta twojego nazwiska!

– Dwóch nazwisk – sprecyzowała Dwojga-Nazwisk. – I to jest mój atut. Ludzie mnie nie znają, więc nie jestem skompromitowana, w odróżnieniu od wszystkich znanych działaczy naszej partii. Przecież wszyscy, którzy są znani, są skompromitowani.

– Ja nie jestem! – Pogłosowski uderzył się w piersi, aż zadudniło.

– Ha, ha, ha! – śmiech Dwojga-Nazwisk zabrzmiał bardzo złośliwie. – Ty nie jesteś skompromitowany? A afera z rzekomym pogłosem na święcie strażaka? A powódź sprzed dwóch lat? A brak usuwania skutków powodzi?

– Z tym ostatnim to przesadziłaś! Ludzie dostali porządne odszkodowania – próbował się bronić Pogłosowski.

– Jacy ludzie? Sami swoi dostali – wycedziła wiceminister. I dodała ironicznie: – A jak w tym roku? Jeszcze nikogo nie zalało?

– Wypluj te słowa! – krzyknął przerażony Pogłos. – Na szczęście prognozy nie są przesadnie alarmistyczne.

– Jeden już tak mówił – natychmiast zripostowała Dwojga-Nazwisk i od razu zakryła sobie usta, bo przypomniała sobie, że te słowa wypowiedział Kieł, co skończyło się katastrofą.

W gabinecie zapadła krępująca cisza, którą przerwało wejście Tygrysława Kociniaka-Kamasza, ministra obrony narodowej, z plecakiem na ramieniu.



– Czołem, żołnierze – powiedział cichym głosem. – Dobrze mi poszło?

– Co ci dobrze poszło? – zapytał zdziwiony Pogłosowski.

– Tygrysław od roku wita się słowami „czołem żołnierze", ćwiczebnie – wyjaśniła wiceminister Dwojga-Nazwisk. – Mój bezpośredni przełożony chciałby nauczyć się wypowiadać ten zwrot w stylu prezydenta Rocky'ego. Zauważył, że ludziom się to bardzo podoba.

– O to, to – dodał Kociniak-Kamasz. – I jak, dobrze mi wychodzi?

– Wychodzi ci mniej więcej tak jak moje przemówienie do strażaków – Pogłosowski był nieuprzejmie szczery. – Co cię sprowadza, Tygrysławie?

– W sumie to przyszedłem do premiera. Chciałem go wesprzeć – powiedział wicepremier. – Po uroczystościach 15 sierpnia był w bardzo kiepskiej dyspozycji fizycznej i psychicznej.

– Ciekawe, nic nie słyszałem. Powiesz coś więcej? – zainteresował się Pogłosowski.

– A co tu gadać? – odpowiedział Kociniak-Kamasz. – Kierownik zobaczył na trybunie honorowej Boksera. Kieł chciał udać, że go jednak nie widzi, ale prezydent Rocky złośliwie do niego podszedł, żeby się przywitać. No to Ronald nie miał wyjścia i podczas przywitania podkusiło go, żeby sprawdzić, czy Bokser faktycznie jest tak umięśniony, jak mówią. No i zaczął go niby poklepywać po przedramieniu. Rocky się chyba trochę zirytował, że Kieł go tak obmacuje, i delikatnie uścisnął Kierownikowi bicepsa.

– Ronald zawsze mówi, że ma bardzo rozwiniętą muskulaturę – wtrąciła Dwojga-Nazwisk.

– Co innego mówić, a co innego mieć. Powinnaś się już nauczyć, że nie wszystko, co mówi premier ma stuprocentowe odbicie w rzeczywistości – zauważył Kociniak-Kamasz. – W każdym razie skończyło się na poważnym uszkodzeniu bicepsa Kierownika. Dlatego przyszedłem, aby go wesprzeć.

– To by się zgadzało – zamyśliła się Dwojga-Nazwisk. – Premier miał zaplanowany pracowity tydzień, sama widziałam w jego kalendarzu, że codziennie miał co najmniej jedno umówione spotkanie, a to dla niego bardzo dużo. I nagle wszystko odwołał i zniknął.

– Wróci silniejszy – powiedział Pogłosowski i spojrzał na twarze pozostałych, by zorientować się, że nikt z ich trójki nie wierzy w to zaklęcie.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Znikąd nadziei dla młodych



Hiszpania

Lewicowe rządy w Hiszpanii wywołują opłakane skutki. To nie tylko niekontrolowany zalew fal imigrantów z Afryki i obniżenie poziomu bezpieczeństwa, lecz także bezrobocie wśród młodych i brak perspektyw. Europejska Sieć Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym w Hiszpanii (EAPN-ES) opublikowała raport, w którym ostrzega, że ponad 2 mln młodych Hiszpanów w wieku od 16 do 29 lat, stanowiących dziś 27 proc. społeczeństwa, jest zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym. W tej grupie stopa bezrobocia jest wyższa niż przeciętna (10,5 proc.) i sięga już 18,6 proc. Jednak nawet możliwość zarobkowania nie gwarantuje wyjścia z ubóstwa. Po ośmiu latach rządów socjalistów i premiera Sáncheza coraz więcej młodych ludzi nie widzi dla siebie żadnych perspektyw. Jedna czwarta z nich pracuje na stanowiskach poniżej poziomu wykształcenia. Zatrudnienie tymczasowe sięga 33,7 proc., a na część etatu – 26,3 proc.

Jednym z czynników odbierających młodym stabilność ekonomiczną jest brak mieszkania. Dla większości z nich jest ono nieosiągalne, co nie pozwala im rozpocząć samodzielnej egzystencji. Taką zdolność ma dziś jedynie 14,6 proc. rozpoczynających dorosłe życie. W 2008 r. było ich dwa razy więcej. Jednak nawet w tej grupie poziom strukturalnego ubóstwa osiąga 23,9 proc., bo koszty sfinansowania własnego lokum pochłaniają niemal połowę dochodu. Choć od 2018 r. wynagrodzenia pracowników w wieku od 25 do 29 lat zanotowały największe wzrosty, są pożerane przez rosnące stawki czynszu i kredyty. Dlatego – jak wskazują analitycy – ubóstwo młodzieży nie dotyka jedynie jednostek i nie jest tylko etapem przejściowym, lecz staje się konsekwencją nierówności odziedziczonych i skumulowanych przez całe życie. Brak mieszkania należy zaś do głównych mechanizmów dziedziczenia nierówności.

Rządzona przez socjalistów Hiszpania jest więc kolejnym dowodem na to, że współczesna liberalna lewica nie potrafi przeciwdziałać ubóstwu. Bezrobocie w 2026 r. pozostaje jednym z najwyższych w UE, a sztuczne impulsy rozwojowe, jakie dawały unijne fundusze, już dawno się wyczerpały.

Maciej Walaszczyk

Podpisali umowę, ale się nie cieszyli

Syria

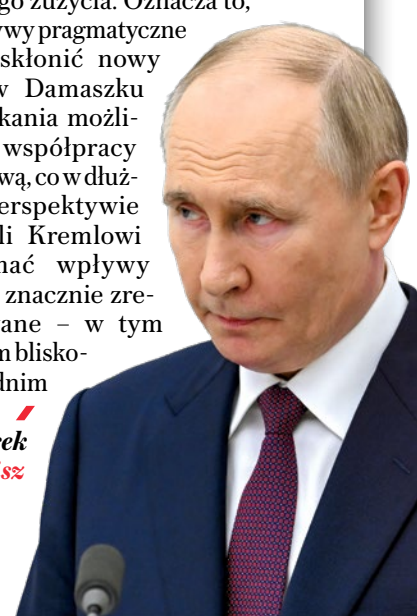
Rosja, która wspierała obalonego dyktatora Asada, po 18 miesiącach negocjacji z nowym rządem syryjskim osiągnęła porozumienie w sprawie baz wojskowych. Nie będą już one kontrolowane przez Moskwę, ale staną się wspólnymi, rosyjsko-syryjskimi ośrodkami szkoleniowymi.

Kreml, któremu groziło całkowite wypchnięcie z Syrii i w efekcie ograniczenie dostępu do Morza Śródziemnego, jest zadowolony z podpisanej umowy, co nie zmienia faktu, że rosyjskie możliwości i swoboda działania w regionie ulegają znaczącej redukcji. Według syryjskich źródeł przekształcenie rosyjskich baz we wspólne centra szkoleniowe ma zostać zakończone w ciągu trzech miesięcy, znajdujące się tam obiekty cywilne przejdą zaś pod wyłączny zarząd Syrii. Należą do nich lotnisko Humajmim i część portu Tartus, które wcześniej znajdowały się pod całkowitą kontrolą Rosji. Zdaniem komentatorów „Rosja formalizuje straty", które już się dokonały, ale przeczą temu doniesienia mediów, które twierdzą, że baza Humajmim była ostatnio używana przez rosyjskie siły zbrojne w charakterze centrum logistycznego i rotacyjnego dla operacji w Afryce.



W Moskwie przebywa obalony dyktator Syrii, który w połowie sierpnia został skazany przez sąd w Damaszku na karę śmierci. Sędziowie zdecydowali też, iż Baszszar al-Asad i jego brat Maher będą poszukiwani przez społeczność międzynarodową. Żądania Syrii dotyczące wydania byłego dyktatora prawdopodobnie będą coraz bardziej stanowcze. Rosja odmawia jego ekstradycji i ta postawa – zdaniem obserwatorów – może wpłynąć negatywnie na jej relacje z nowym prezydentem Ahmadem asz-Szarą.

Przyszłość porozumienia w sprawie baz stoi zatem pod znakiem zapytania, choć Damaszek nadal potrzebuje współpracy z Rosją. Chodzi m.in. o dostawy części zamiennych i remonty trzech wielkich elektrowni, zbudowanych przez Rosjan na Eufracie. Ponadto kraj jest uzależniony od dostaw rosyjskiej ropy. Po upadku Asada Iran zaprzestał eksportu do Syrii, która – według Agencji Reutera – importuje obecnie ok. 60 tys. baryłek rosyjskiej ropy dziennie, co stanowi połowę syryjskiego zużycia. Oznacza to, że motywy pragmatyczne mogą skłonić nowy rząd w Damaszku do szukania możliwości współpracy z Moskwą, co w dłuższej perspektywie pozwoli Kremlowi utrzymać wpływy – choć znacznie zredukowane – w tym ważnym bliskowschodnim kraju.



Marek Budzisz

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Chiny

Lodowy Szlak Jedwabny

Chiny otwierają nowy szlak żeglugowy do Europy, który będzie przebiegał przez rosyjską Arktykę. W ten sposób Pekin chce ominąć punkty zapalne w rejonie Półwyspu Arabskiego i osiągnąć przewagę nad konkurentami.

Lodowy Szlak Jedwabny – tak ma się nazywać połączenie chińskiego portu w Ningbo z brytyjskim Felixstowe, które będzie obsługiwane przez firmę żeglugową Sea Legend. Statki mają wyruszyć z Chin na północ, potem przejść rosyjskim Północnym Szlakiem Morskim i stamtąd przez Morze Norweskie dotrzeć do Europy. Dotychczasowa trasa pomiędzy tymi portami – przez Morze Czerwone i Kanał Sueski – zajmowała zwykle do 40 dni żeglugi (albo nawet do 50 dni w przypadku konieczności opływania Afryki), a połączenie przez Arktykę pozwoli skrócić ją o połowę – oczywiście o ile pozwolą na to warunki pogodowe. Minusem tej trasy jest jej sezonowość, bo zimą żegluga jest niemożliwa. Okno czasowe staje się jednak coraz szersze, bo w ostatnich latach pokrywa lodowa stopniowo zanika. Jak obliczają naukowcy, między 2024 a 2025 r. poziom lodu morskiego w Arktyce w okresie zimowym spadł aż o 5,8 proc., co stanowi rekordową wartość.

Północny Szlak Morski jest w całości kontrolowany przez Rosję, która udziela zezwoleń na żeglugę. W 2018 r. duński koncern Maersk podjął próby przewożenia tędy ładunków, ale po wybuchu wojny na Ukrainie stało się to niemożliwe. W tej chwili trasę tę wykorzystują głównie statki należące do rosyjskiej floty cieni. Według dostępnych danych w 2024 r. szlakiem arktycznym przepłynęło 15 konwojów, a rok później – 23. Atrakcyjność tej trasy ciągle rośnie, o czym świadczy wzrost zamówień na statki klasy lodowej. W zeszłym roku zbudowano ich 167, najwięcej od ponad dekady, a kolejne 164 mają powstać w br.

Chiny interesują się żeglugą arktyczną od 2017 r., gdy w Pekinie opracowano koncepcję Lodowego Szlaku Jedwabnego jako alternatywy dla tradycyjnych tras żeglugowych przez Ocean Indyjski i Kanał Sueski. Trasa ta jest traktowana jako uzupełnienie istniejących szlaków, zwłaszcza w przypadku transportu towarów źle znoszących wysokie temperatury, m.in. baterii, elektroniki czy aut elektrycznych.

Uruchomienie regularnych rejsów przez rosyjską Arktykę da Chinom przewagę nad konkurencją, która musi się zmagać z blokadą szlaków morskich w rejonie Morza Czerwonego, gdzie statki są regularnie atakowane przez współpracujących z Iranem jemeńskich Huti. W konsekwencji Rosja i Chiny mogą przejąć kontrolę nad częścią handlu morskiego między Azją i Europą.

Konrad Kołodziejski

Wielka Brytania

Upadek tęczowych celebrytów



Tony i Barrie Drewitt-Barlow to najsłynniejsza para gejów w historii Anglii. Przez lata byli bohaterami brytyjskiej lewicy. Zasłynęli jako pierwsza jednopłciowa para na świecie, którą oficjalnie wpisano w akcie urodzenia dziecka (dzięki macierzyństwu zastępczemu) jako „rodzica 1" i „rodzica 2" zamiast tradycyjnych określeń: ojciec i matka.

Dzięki surogacji zafundowali sobie pięcioro dzieci w USA. Media były pełne opowieści o ich romantycznym związku. „The Guardian" pisał o „domu pełnym miłości". Stanowili sztandarowy symbol wzorcowych homoseksualnych rodziców. Założyli też spółkę zajmującą się wynajmowaniem macic dla bogatych klientów, by oferować im starannie wyselekcjonowane dzieci o odpowiedniej płci, kolorze skóry i stanie zdrowia. Doradzali w tej sprawie m.in. Eltonowi Johnowi i jego partnerowi Davidowi Furnishowi.

Gdy Tony zachorował na raka gardła i jamy ustnej, w 2019 r. Barrie porzucił swojego partnera, z którym był związany przez 32 lata. Znalazł kolejnego „męża" – młodszego o 25 lat Scotta Hutchisona, z którym zafundował sobie następną dwójkę dzieci z surogacji. Media przeszły do porządku dziennego nad tą zmianą, przedstawiając nową parę jako bohaterów następnego gejowskiego „love story".

Obecnie Barrie i Scott przebywają w więzieniu, oskarżeni o popełnienie ok. 20 przestępstw seksualnych, w tym gwałtów na nieletnich. Nie wiadomo, czy dopuścili się tych czynów również wobec dzieci urodzonych dzięki surogacji, ponieważ brytyjski system prawny ściśle chroni tożsamość ofiar. Wiadomo jednak, że wbrew wizerunkowi wykreowanemu przez media był to dom pełen przemocy, a nie miłości. Dawna pracownica ich firmy podsłuchała kiedyś rozmowę dzieci, które opowiadały, że albo były bite przez Barriego, albo widziały, jak bije on innych („mówiły o tym, jakby to była zupełnie naturalna rzecz, coś normalnego"). Okazuje się, że wiele osób wiedziało, że w gejowskim domu dzieje się coś złego, ale nie mówiły o tym głośno, gdyż bały się oskarżenia o homofobię.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x5

eprasa.pl 61dfdd5e4e

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wszyscy Polacy muszą być upolitycznieni!



Jan Pietrzak

Zaskakujące wydarzenie miało miejsce w pewnej stacji telewizyjnej, gdzie redaktorzy Gozdyra i Jankowski odbyli autentyczną kłótnię! Bardzo wciągający dyskurs, znacznie ciekawszy niż rutynowe gaworzenie o banałach. Wrzeszczeli na siebie jak Kargul z Pawlakiem. Naprawdę coś śmiesznego. Na ogół wrzeszczą na gości. To nie mogła być ustawka, bowiem widzieliśmy jak „prysły zmysły", o czym w Kabarecie Starszych Panów śpiewała Irena Kwiatkowska. Uczcie się, konkurencyjne telewizornie, jak uatrakcyjnić przekaz. Więcej wrzasku! A jeśli to nie podniesie oglądalności, następnym aktem dyskusji może być plaskacz z liścia albo staroświecki kop w dupę. Reklamodawcy będą zachwyceni. Słupki oglądalności skoczą w górę, dobre obyczaje polecą w dół. Ale co tu komu po obyczajach?

Widzieliście scenkę, w której nakręcony emocjonalnie premier szarpał prezydenta za klapy? Ma szczęście, że obstawa odciągnęła go w ułamku sekundy, bo knock out wisiał w powietrzu. Niewykluczone, że kiedyś do tego dojdzie, ponieważ premier jest coraz bardziej rozdygotany. Uwagę zwróciła jego gorąca prośba, by prezydent podpisał jakiś potrzebny mu papier: „Na miłość Boga, panie prezydencie...!". Bardzo teatralna fraza... i bogobojna postawa jak na euroliberała. Może posłuchał płyty Arki Noego?

Kolejny zabawny epizod z rządowego teatrzyku – prawa ręka Tuska zwana Berkiem została oddelegowana do Trybunału Konstytucyjnego. Prosty polityk prosto z rządu do sądu. A przecież koalicja z przystawkami całymi latami gardłowała o skandalicznym jakoby „upolitycznieniu" Trybunału Konstytucyjnego przez obecność Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza. Zarzut „upolitycznienia" kabaretu również mnie towarzyszył latami. Jeszcze w studenckim kabarecie Hybrydy pojawiło się w jakimś skeczu nazwisko Bańbuła czy coś w tym rodzaju. Następnego dnia wezwanie na ul. Mysią, do cenzury. „Co wy tam, Pietrzak, wygadujecie na tow. Bańbułę! Tego nazwiska nie ma w ocenzurowanym egzemplarzu! – Pomyliłem się, jest Wańtuła. – Mylić to się możecie u szwagra na imieninach, a nie na imprezie. Wańtuła to nie Bańbuła. Do polityki się mieszacie! Pietrzyk, Pietrasiak... Kabaret jest do śmiechu, a nie politykowania!". A kiedy powstał Kabaret pod Egidą (premiera w lutym 1968 r.), było jasne, że jest to kabaret polityczny. Jak pisali fachowi donosiciele: „Posiadane sprawdzone informacje wskazują, że członkowie kabaretu lansują satyrę polityczną skierowaną przeciwko: budownictwu socjalistycznemu w Polsce, polityce Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Związkowi Radzieckiemu" (informacja tajna).

Jeżeli nawet kabaret musi być polityczny, by kogoś zainteresował, to w jaki sposób mają być „nieupolitycznieni" politycy? W Polsce, rozkradanej rutynowo przez inne nacje, wszyscy Polacy muszą być upolitycznieni!

Łyso wam, Polacy?



Samuel Pereira

Minęło już 985 dni, od kiedy Donald Tusk zaprzysiągł swój rząd, a „100 konkretów na 100 dni" stanowiło główny gadżet sejmowego exposé. Najważniejszy z nich – podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, dzięki któremu osoba zarabiająca 6 tys. brutto nie zapłaciłaby ani złotówki PIT – pozostał wyłącznie na papierze. W kampanii wyborczej deklaracje brzmiały buńczucznie: „Wystarczy dać nam rządzić". Tusk zapewniał, że dzięki Andrzejowi Domańskiemu, prawej ręce premiera, prace nad niższymi podatkami ruszą już pierwszego dnia. Dziś ten sam polityk razem ze wspomnianym Domańskim, już w roli ministra finansów, tłumaczy wszystko „odpowiedzialnym podejściem do budżetu" i liczy na pochwały zamiast przeprosin za wprowadzenie obywateli w błąd.

Słowa lidera Koalicji Obywatelskiej z kampanii i te wypowiadane po wyborach brzmią jak ponury żart. Najpierw pretekstem była troska o samorządy (bo akurat trwała kampania samorządowa). Potem „pojawiła się" (trwająca przecież od lat) wojna i konieczność zbrojeń. Nawet koalicjanci z Lewicy otwarcie przyznają, że pomysły podatkowe Tuska nic nie dają najbiedniejszym, a w realne podwyższenie kwoty wolnej po prostu nie wierzą – zastrzegając przy tym, że to przecież nie ich obietnica, tylko KO. Chętnie czerpią korzyści z zasiadania w rządzie i państwowych spółkach, ale odpowiedzialności za los obywateli, którzy dali im tę władzę, nie ma żadnej.

Prof. Przemysław Czarnek widzi w tych manewrach „geniusz" znanej postaci z komedii, Arkadiusza Czerepacha, ale zamiast komedii mamy groteskę. Choć zagraniczne firmy mają powód do satysfakcji, bo ściągalność z CIT co roku jest niższa niż w ostatnich latach poprzedników. Widać to chociażby na przykładzie polskiego InPostu i niemieckiego DPD. Polscy podatnicy zostają z wysokimi podatkami, a przedsiębiorcy mają płacić jeszcze więcej.

Za obietnicami szły kiedyś kwieciste zapewnienia o źródłach finansowania. „Program 100 konkretów na 100 dni można sfinansować z uczciwości, kompetencji, dobrej reputacji przyszłego rządu" – deklarował Tusk. Okazało się, że kompetencji nie ma, a reputacji jest tyle co spełnionych „konkretów". Oszustwo wobec Polaków to zaś nic innego, jak łamanie demokracji jako umowy społecznej między obywatelem a władzą. Łyso wam?

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Prężenie mięśni na Kurylach



Marta Kaczyńska-Zielińska

Wizyta Putina na Iturup, największej wyspie w archipelagu Kuryli, złożona 13 sierpnia br., miała ukazać Rosję jako państwo silne, pewne swoich granic i zdolne do obrony interesów jednocześnie w Europie i na Dalekim Wschodzie. Miała jednak miejsce w chwili, gdy wojna przeciwko Ukrainie coraz dotkliwiej obciąża rosyjską gospodarkę, uszczupla zasoby wojskowe i zaczyna wpływać na codzienne życie mieszkańców. Zestawienie tych dwóch obrazów – narastającego kryzysu wewnętrznego oraz demonstracyjnej wizyty na terytorium uznawanym za sporne z Japonią – pokazuje zasadniczą sprzeczność rosyjskiej polityki: im wyraźniejsze stają się jej problemy, tym mocniej Kreml stara się podkreślać status mocarstwa.

Spór rosyjsko-japoński został zapoczątkowany w ostatnich tygodniach II wojny światowej. Związek Radziecki wypowiedział Japonii wojnę 8 sierpnia 1945 r. Operacja zajmowania Wysp Kurylskich rozpoczęła się 18 sierpnia, już po ogłoszeniu przez cesarza Hirohito decyzji o przyjęciu warunków kapitulacji, lecz przed podpisaniem jej formalnego aktu 2 września. Armia Czerwona opanowała cały archipelag, w tym Iturup. Japońskich mieszkańców wysiedlono. W traktacie pokojowym z San Francisco z 1951 r. Japonia zrzekła się praw do Wysp Kurylskich, ale dokument nie określił państwa, na którego rzecz następowało zrzeczenie, a ZSRR w ogóle go nie podpisał. Tokio utrzymuje ponadto, że cztery najbardziej wysunięte na południe wyspy nie stanowią części właściwego łańcucha Kuryli, nie zostały zatem objęte japońskim zrzeczeniem. Moskwa uznaje natomiast swoją suwerenność nad nimi za niepodważalny wynik II wojny światowej.

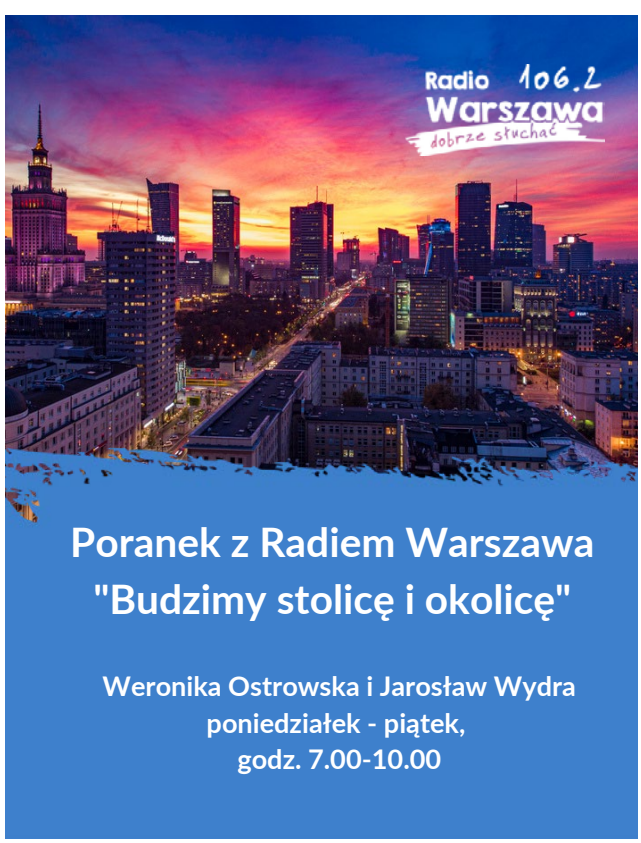
Deklaracja radziecko-japońska z 1956 r. zakończyła stan wojny i przywróciła stosunki dyplomatyczne, ale nie przyniosła traktatu pokojowego. Związek Radziecki zgodził się wówczas na przekazanie Japonii Szikotanu i Habomai po zawarciu takiego traktatu. Oferta nie obejmowała Iturupu i Kunaszyru, stanowiących ok. 93 proc. powierzchni spornych terytoriów. Japonia nie zrezygnowała jednak z żądania zwrotu wszystkich czterech wysp, a konflikt pozostał nierozwiązany.

Znaczenie archipelagu nie ogranicza się do historii ani narodowego prestiżu. Wyspy oddzielają Morze Ochockie od otwartego Pacyfiku i pomagają Rosji zabezpieczać akwen wykorzystywany przez okręty podwodne Floty Oceanu Spokojnego, w tym jednostki przenoszące broń jądrową. Region dysponuje również bogatymi łowiskami i potencjalnymi zasobami surowców. Ustępstwo terytorialne oznaczałoby zatem osłabienie pozycji strategicznej Moskwy.

Militaryzacja archipelagu przyspieszyła po wizycie Miedwiediewa w 2010 r., a szczególnie po 2016 r. Rosja rozmieściła na wyspach systemy rakietowe Bastion-P i Bał, wzmocniła obronę przeciwlotniczą, rozbudowała lotniska, koszary i infrastrukturę portową. Jednocześnie wojna przeciwko Ukrainie pokazała granice rosyjskich możliwości. W 2023 r. ze stanowisk na Iturupie i Kunaszyrze zniknęły systemy S-300VM. Na podstawie zdjęć satelitarnych oceniano, że mogły zostać przerzucone do zachodniej części Rosji w związku z potrzebami wojennymi.

Wizyta Putina na Iturupie była starannie zaplanowanym spektaklem politycznym. Rosyjski prezydent odwiedził szpital, szkołę i zakład przetwórstwa rybnego, rozmawiał z władzami regionalnymi oraz mieszkańcami. Cywilny charakter programu miał przedstawiać wyspę nie jako obszar okupowany czy przedmiot negocjacji, lecz jako immanentną część Federacji Rosyjskiej. Wizytę poprzedzały jednak ćwiczenia rosyjskiej marynarki, co nadawało jej wymiar wojskowy. Nieprzypadkowy był także termin – dwa dni przed 81. rocznicą kapitulacji Japonii, dzień po północnokoreańskiej próbie rakietowej i krótko po publikacji japońskiej białej księgi obronnej na 2026 r. Dokument przedstawia środowisko bezpieczeństwa Japonii jako najtrudniejsze od zakończenia II wojny światowej, wskazując na rozbudowę potencjału Chin i Korei Północnej oraz pogłębianie współpracy chińsko-rosyjskiej i rosyjsko-północnokoreańskiej. W najbliższej przyszłości można oczekiwać utrzymywania sporu z Japonią jako elementu szerszej konfrontacji z Zachodem.

REKLAMA



18/0726/F

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Walizka Joanny Klaybor

malarki, scenograf, miłośniczki przyrody

Moje podróże rzadko są podróżami po odpoczynek. Znacznie częściej jadę po coś. Po światło o świcie. Po mgłę nad łąką. Po stary sad. Po drzewo, które wygląda, jakby pamiętało więcej niż niejeden człowiek. Po zachwyt. Od zawsze bardziej interesowało mnie to, co jest za następnym zakrętem niż wygodny leżak nad hotelowym basenem. Tego chyba nauczył mnie mój tata. Był myśliwym, ale przede wszystkim człowiekiem zakochanym w przyrodzie. Dziś wolę obserwować życie, niż je przerywać. Wystarczy usiąść na chwilę i zobaczyć, jak piękny może być zwykły świat. Jako dziecko częściej uciekałam do lasu niż na szkolne boisko, czasem nawet z lekcji. Bardziej ciekawiły mnie mchy, stare drzewa i zapomniane ścieżki niż szkolne ławki. Żyłam we własnym świecie wyobraźni. Rysowałam wszystko, co zobaczyłam – szybko, bez zastanowienia. Chyba już wtedy odbywałam najdalsze podróże, tyle że w głąb własnej głowy.

Nie zawsze łatwo było mnie zrozumieć. Szłam własnymi ścieżkami i we własnym tempie. Na szczęście nauczycielka plastyki dostrzegła we mnie coś, czego sama jeszcze nie umiałam nazwać. Dzięki niej trafiłam do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. To była jedna z tych chwil, które zmieniają całe życie. Tam wyobraźni wyrosły skrzydła. Później przyszła scenografia, grafika użytkowa, wzornictwo i projektowanie. Wtedy poznałam Piotra. Od początku tworzymy z mężem duet – ja przynoszę pomysły, on potrafi je ubrać w formę. To działa od lat i tak już zostanie.







KURKI

To stare drewno z duszą z kościoła, starej stodoły, szopy czy innego miejsca mniej lub bardziej zapomnianego. Ręcznie tarte, z widocznym rysunkiem po pile. Kury wymyśliłam chyba na święta wielkanocne. Koguty i kury mają po niej zadziorny charakter, pięknie też połyskują w słońcu i przede wszystkim są społeczne. Dbają o siebie i o potomstwo.

Fot. Monika Klaybor, prywatne archiwum Joanny Klaybor, Shutterstock (2)

eprasa.pl 61dfdd5e4e



*KOTY

Sześć własnych i cała grupa dochodzących. Nigdy nie wiem, ile ich dokładnie jest. Koty najwyraźniej uznały, że skoro jestem malarką, to z pewnością rozumiem, że ich liczba jest pojęciem czysto umownym.



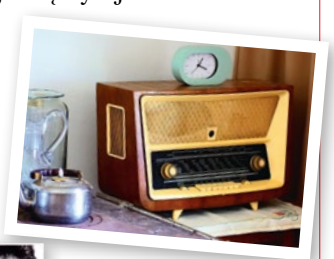
PĘDZLE

Kupuję je bez opamiętania. Tak samo farby. Niektórzy kolekcjonują buty, ja kolekcjonuję odcienie zieleni. Każdy obraz jest trochę pamiętnikiem, tylko zamiast zdań są plamy koloru.



KSIĄŻKI

Też są w mojej walizce. Nie po to, by mądrzej wyglądać, ale by mądrzej patrzeć. Bo świat rzadko jest tak prosty, jak się wydaje.



BABCINE RADIO

Do dziś pamiętam zielone oczko, kliknięcie klawisza i tę chwilę ciszy, zanim pojawił się szum fal. Dźwięki też mają pamięć.



MUZYKA

Od Electric Light Orchestra, Supertramp, Genesis i Marillion, przez Petera Gabriela, Phila Collinsa i Ozzy'ego Osbourne'a, aż po muzykę klasyczną. Nie pytam, z jakiego gatunku jest utwór, ale czy potrafi poruszyć serce.



DREWNO

Po latach znowu odkryłam, jak pięknie pachnie warsztat. Jak dobrze jest coś wyrzeźbić, wyszlifować, dotknąć dłonią. Nie wszystko musi powstawać na ekranie komputera.



APARAT FOTOGRAFICZNY

To moja pamięć zewnętrzna. Fotografuję światło, cienie, stare płoty, chmury, kałuże, zboża, gałęzie i drzewa. Robię setki zdjęć. Potem zimą otwieram ten fotograficzny magazyn i przypominam sobie, jak pachniało lato.



„TRZCINY ZIMĄ"

Lubię trawy – ich szelest na wietrze, ruch i krótkotrwałość. Gdy są zielone latem na łące, gdy kwitną na różne sposoby oraz zimą przy stawach, kiedy lśnią w słońcu i są pamiątką po lecie.



„SUCHE DZIEWANNY W ZIMOWYM SŁOŃCU"

Urzeka mnie światło słońca – barwy, nawet zimą, są wyjątkowe. Moje oczy są wrażliwe na kolor, wyszukują go w pozornie martwym pejzażu.



„SŁONECZNIKI"

Jak to słoneczniki – są piękne, choć pospolite. Malowano je na różne sposoby, ja również spróbowałam. Pod światło, bez zastanowienia.



VEGA

Choć już jej nie ma, nadal zajmuje swoje miejsce. Są takie istoty, które nigdy naprawdę nie odchodzą.

Wysłuchał ***Michał Korsun***

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Reparacje: jedna zasada dla Moskwy i Berlina



Europa długo miała problem ze słowem „reparacje". Brzmiało zbyt historycznie, zbyt politycznie, zbyt niewygodnie. Dziś jednak wraca ono do unijnego języka za sprawą rosyjskiej agresji na Ukrainę. Europejskie instytucje coraz częściej posługują się pojęciem „reparations loan" – pożyczki bazującej na zamrożonych rosyjskich aktywach, która miałaby służyć obronie i odbudowie Ukrainy.

Dla Polski to interesujący precedens. Nie dlatego, że sytuację Ukrainy można mechanicznie porównać z polskimi roszczeniami wobec Niemiec. Różne są epoki, podstawy prawne i polityczne okoliczności. Ważniejsza jest sama zasada: państwo, które napada, niszczy miasta, infrastrukturę, gospodarkę i ludzkie życie, nie może oczekiwać, że po zakończeniu wojny rachunek zostanie po prostu zamknięty.

Europa coraz wyraźniej przyjmuje więc moralną i polityczną logikę odpowiedzialności agresora za wyrządzone szkody. Spór dotyczy już nie tyle tego, czy agresor powinien zapłacić, ile tego, jak stworzyć mechanizm, który pozwoli tę odpowiedzialność wyegzekwować.

W tym miejscu pojawia się pytanie szczególnie niewygodne dla Berlina. Niemcy do dziś nie wypłaciły Polsce reparacji wojennych za gigantyczne straty poniesione wskutek niemieckiej agresji i okupacji w latach 1939–1945. Berlin udaje, że sprawy nie ma, Polska zaś upomina się o sprawiedliwość. Skoro jednak dziś Niemcy tak stanowczo opowiadają się za zasadą, że Rosja powinna ponieść finansowe konsekwencje zniszczenia Ukrainy, dlaczego same mają być zwolnione z rozliczenia własnej agresji?

Nie można jedną ręką wystawiać rachunku Moskwie, a drugą chować do archiwum rachunku wystawionego Berlinowi. UE, w tym Niemcy, ma pełne prawo domagać się odpowiedzialności Rosji. Ale moralna wiarygodność takiego stanowiska wymaga konsekwencji także wobec własnej historii. Jeśli obowiązuje zasada, że agresor płaci za zniszczenia, to nie powinna ona zależeć od tego, czy wojna skończyła się kilka, kilkanaście czy 80 lat temu.

Pamięć bez odpowiedzialności staje się rytuałem. Moralizowanie innych bez rozliczenia własnych zobowiązań – podwójnym standardem. W tym niemieccy kanclerze, prezydenci i dyplomaci są już dobrze wyćwiczeni.

Arkadiusz Mularczyk

Zwyczajnie, jak tata

Z Michałem Podsiadłą, aktorem, reżyserem dubbingu, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Spotkaliśmy się w ogrodach pałacu w Wilanowie, gdzie od kilku sezonów wystawiane są spektakle szekspirowskie. Czy dla aktora to dobry sposób na spędzanie wakacji?

Michał Podsiadło: Przede wszystkim bardzo intensywny. A potem jest zasłużony odpoczynek. Z rodziną. Przede wszystkim nad wodą – na Mazurach, na Helu. W Polsce, bo lubimy nasz kraj. W każdą pogodę. Choćby nie sprzyjała, są inne atrakcje, które fundują nam dzieci.

Jest pan tatą?

Trójki dzieci: pięć, sześć i osiem lat. Są fanami Szekspira, oglądają spektakle po kilka razy. Zapraszają na nie również swoich kolegów ze szkoły czy przedszkola i czasem tworzy się rodzinny krąg, gdzie jest kilka koców, bo panuje trochę piknikowa atmosfera, choć spektakle zaczynają się przed zachodem słońca.



Aktorstwo i ojcostwo bywają wyzwaniem?

Inaczej ustawia się priorytety, bo rodzina jest na pierwszym miejscu. Próby można przerwać, bycia ojcem przerwać nie można. Wymaga to natomiast organizacji, dużej elastyczności i wspaniałej żony.

Jest pan również aktorem dubbingowym, czy dzieci rozpoznają pana w takich rolach?

Czasem, kiedy im mówię, że to ja, nie są przekonane. A kiedy im czytam, proszą, żebym nie robił tego dubbingowo, tylko zwyczajnie, jak tata.

Co im pan tak czyta?

Kiedy byli mniejsi, m.in. serię o Basi. Teraz starszy syn wybiera Harry'ego Pottera. Jest też Mikołajek, są Muminki i Pippi. Jest do czego sięgać.

Na koniec spytam, jak ludzie reagują na pana nazwisko.

Często pytają: „Czy to z tych?". A ja odpowiadam, że z tych, bo zawsze jest się z którychś.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Easy Rider



Od dziecka uwielbiałem westerny, w których zawsze zwyciężało dobro, a zło ponosiło zasłużoną karę. Bezkresne prerie Dzikiego Zachodu kojarzyły mi się ze swobodą przemieszczania się, której w PRL tak nam brakowało. Zasłyszana w latach 70. XX w. ballada Boba Dylana („Knockin' on Heaven's Door" z filmu „Pat Garrett i Billy Kid") zdecydowała o wyborze mojej muzycznej drogi. Kiedy w 1982 r. ogłoszono I Piknik Country (jeszcze nie w Mrągowie, a w Jeleniej Górze i Karpaczu), znalazłem się wśród pionierów polskiego country, przecierających szlaki amerykańskiej muzyce wolności. Zamiast coverów Johnny'ego Casha i Dolly Parton śpiewaliśmy nasze studenckie przeboje: rajdową piosenkę „Hej, przyjaciele", ponadczasową, wciąż aktualną „Balladę o Jeremiaszu" czy dumny manifest „Ja jestem ze wsi". Amfiteatr szalał przy polkach „Wypij do dna" i „Nocy poślubnej Mietka W.", radosnym marszem zmierzał prosto „W siną dal". Festiwal w Mrągowie miał lata lepsze i gorsze, zawsze jednak łączył pokolenia. Do dziś pozostał imprezą bezpieczną, familijną, promującą normalność i religię („Why me, Lord", „Amazing Grace").

Kiedy więc organizatorzy zaproponowali mi udział w jubileuszowym 45. Pikniku Country z moim kultowym nie tylko wśród harleyowców utworem „Easy Rider – Siwy Wilk" (Złota Dziesiątka polskiego country), bez wahania podpisałem umowę. Nie jestem ulubieńcem rządowych mediów, ale przecież Telewizja Polska w stanie permanentnej likwidacji nie wytnie mnie z transmisji na żywo!

Nie doceniłem przeciwnika. Emisję trzeciej części koncertu przebojów z udziałem mojego Zayazdu przeniesiono na inny termin, co dało możliwość precyzyjnych cięć w montażu. Rykoszetem oberwało się też Bogu ducha winnemu Czarkowi Makiewiczowi, którego finał z udziałem wszystkich wykonawców („Wszystkie drogi prowadzą do Mrągowa") także zniknął z wizji.

PS Zapraszam do internetu. Tam, mimo szalejących algorytmów, można jeszcze posłuchać „Pożegnania z Wolnością".

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Turniej rycerski na zamku Krzyżtopór



Fot. Andrzej Zbraniecki/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, LIUDMYLA SKWARCZYŃSKA, NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, SHUTTERSTOCK/LSTOCKSTUDIO

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Podrygi Tuska

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Obecny premier jest politycznie skończony, a przez to groźny, bo zamierza utrzymać obecny układ przy władzy wszelkimi środkami



STANISŁAW JANECKI

Rząd Donalda Tuska znalazł się w najgorszej sytuacji od przejęcia władzy 13 grudnia 2023 r. Na pytanie pracowni UCE Research (sondaż dla Onetu zrealizowany 14–16 sierpnia 2026 r.), czy – biorąc pod uwagę dotychczasowe działania rządu Donalda Tuska – koalicja sprawująca obecnie władzę zasługuje na kolejną kadencję, 47,4 proc. badanych odpowiedziało, że nie (31,4 proc. uznało, że zdecydowanie nie). 39,6 proc. respondentów dało Tuskowi szansę. Problemem jest to, że on sam pozbawia się szans na zwycięstwo w wyborach parlamentarnych w 2027 r. Współpracowników oszukuje optymizmem i gromkimi wezwaniami „do roboty", ale najbardziej zaufanym mówi: „Chłopaki, chyba to przerżniemy, ale tak tego nie zostawimy". I ma świadomość, że w przeciwieństwie do sytuacji z 2023 r., gdy był organizatorem oraz „sprawcą" wygranej, tym razem to właśnie on jest najsłabszym ogniwem i „sprawcą" spodziewanej porażki. Nie oznacza to, że chciałby się usunąć, ale rozważa sytuację, w której musiałby to zrobić. Dlatego ludzie Tuska zaczęli „pompować" wiceminister obrony Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką na jego następcę. Na razie, aby uspokoić defetystyczne nastroje i przekonać, że Tusk ma plan B.

Tyle że taki plan w najmniejszym stopniu obejmuje przeorganizowanie własnego obozu, a w największym – utrudnienie, a wręcz uniemożliwienie opozycji dojścia do władzy. Wszelkimi metodami, ale głównie bezprawnymi. Jedynym „legalnym" scenariuszem jest rozwiązanie Sejmu i doprowadzenie do przyspieszonych wyborów, ale to wcale nie gwarantuje sukcesu. Stąd „misja" Macieja Berka, najbardziej zaufanego człowieka Tuska w strukturach rządu, który ma doprowadzić do „przejęcia" Trybunału Konstytucyjnego. A wtedy mogłyby zostać wdrożone najbardziej brutalne i łamiące konstytucję elementy planu, czyli delegalizacja partii opozycyjnych (taka jest prerogatywa TK) – z założeniem, że mogłaby wystarczyć tylko delegalizacja Konfederacji Korony Polskiej. Zakładając, że to by się udało, przeszkodą pozostawałby prezydent Karol Nawrocki, ale drugą „misją" Macieja Berka byłoby zrealizowanie scenariusza (to nic, że bezwstydnie nielegalnego), w którym Trybunał Konstytucyjny uznaje niezdolność (nawet czasową) prezydenta do sprawowania urzędu i wstawia na jego miejsce marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, który podpisuje wszystko, co tylko zdoła jako pełniący obowiązki głowy państwa.

Po drodze trzeba by jakoś „usunąć" Bogdana Święczkowskiego, w pełni legalnego prezesa TK, co Waldemar Żurek próbuje zrobić od jesieni 2025 r. Skierował wówczas do Trybunału wniosek o odebranie Święczkowskiemu immunitetu pod pretekstem podejrzenia przekroczenia uprawnień w okresie, gdy pełnił on funkcję prokuratora krajowego i z urzędu nadzorował używanie systemu Pegasus.

Donald Tusk topi się politycznie, ale nie zamierza być w tym samotny. Jego legalne scenariusze wyjścia z matni są jednak bardzo niepewne, a te nielegalne oznaczają kompletną demolkę demokracji w Polsce.

NIEUDOLNE RZĄDY

Już nawet media stanowiące oręż Donalda Tuska i jego narzędzie do zadań specjalnych wątpią w to, że się nie utopi. 19 sierpnia 2026 r. w Onecie ukazał się tekst, w którym politolog, prof. Waldemar Wojtasik, mówi: „Uderza taka doraźność państwa. Rządy Tuska są punktowym gaszeniem pojedynczych pożarów, nie ma tu żadnej długoterminowej strategii. Po co więc oni właściwie rządzą? […] Rząd Tuska kompletnie zmarnował pierwsze dwa lata […]. Oni dziś tylko państwem zarządzają, i to dość nieudolnie".

Kilka dni wcześniej równie pesymistyczne dla Tuska opinie przekazał w „Rzeczpospolitej" socjolog, prof. Jarosław Flis: „Z jednej strony on [Tusk] i jego rząd jest bardzo niepopularny, a z drugiej, z talii Tuska znika karta »straszenia PiS« i prezesem Jarosławem Kaczyńskim. […] Koalicja Obywatelska traci jeden ze swoich napędów, który przed 20 laty wyniósł ją na pierwsze miejsce w sondażach i dał jej władzę. Na dodatek pozostałe silniki się zacierają lub kończy im się paliwo. […] Co dzień wychodzą nowe informacje o niewłaściwych praktykach i obciąża to rząd, który jest oceniany fatalnie. Jeszcze ważniejsze jest to, że obóz rządzący nie ma spójnej opowieści. Nikt – poza Tuskiem i jego otoczeniem – nie chce się utożsamiać z obecnym rządem. A z badań opinii publicznej wynika, że wyraźnie mniej jest tych, którzy pozytywnie oceniają rząd, od tych, którzy oceniają go negatywnie. Jest to spore obciążenie, a czasu do wyborów coraz mniej". W dodatku z Tuska zaczęły kpić niemieckie media, nazywając go spadającą lub kulawą kaczką, czyli kimś, kto się kończy. Zauważono coraz niższe notowania obecnego premiera i jego rządu w Polsce, oznaczające „upadek, który już się zaczął".

Pracownia SW Research na zlecenie portalu Zero.pl (badanie przeprowadzono 12 sierpnia 2026 r.) zapytała Polaków, kto mógłby zastąpić Donalda Tuska na stanowisku premiera. Spośród konkretnych nazwisk najwięcej wskazań otrzymał Radosław Sikorski. Obecnego wicepremiera i ministra spraw zagranicznych wybrało 24,7 proc. ankietowanych. Na drugim miejscu wśród wymienionych polityków znalazł się wicepremier i minister obrony

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Fot. Andrzej Skwarczyński

A może przyspieszone wybory? Według scenariusza Tuska miałyby się one odbyć jesienią 2026 r. Plan zakłada wciągnięcie do nowego rządu partii Sławomira Mentzena, co uniemożliwiłoby stworzenie większości wokół Prawa i Sprawiedliwości oraz Rozwoju Plus

narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz z wynikiem 8 proc. Na Szymona Hołownię wskazało 6 proc. respondentów. Kolejne miejsca zajęli Magdalena Sobkowiak-Czarnecka – 4,4 proc. oraz rzecznik rządu Adam Szłapka – 2,9 proc. Wśród najmłodszych respondentów – do 24. roku życia – 10,3 proc. wskazało Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką.

O ile sam Tusk może oddałby władzę Kosiniakowi-Kamyszowi, bo mógłby nim sterować z tylnego siedzenia, to już nie Radosławowi Sikorskiemu, który nie dałby zrobić z siebie pacynki. A Sobkowiak-Czarnecka to na razie tylko balon próbny, bo Tusk nie wie, dokąd mógłby bezpiecznie uciec, jak zrobił w 2014 r., gdy ewakuował się do Brukseli na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, a na swoje miejsce wyznaczył Ewę Kopacz. Sobkowiak-Czarnecka to jednak nie Ewa Kopacz, jeśli chodzi o ambicje i ego. Sama zainteresowana stwierdziła na antenie wPolsce24: „Faktycznie widzę nasilenie ze strony opozycji w opowiadaniu takich historii i mówieniu o sensacyjnych doniesieniach z Alej Ujazdowskich. Ja takich doniesień nie znam, nigdy nie było takiej rozmowy".

Eurodeputowany PiS Bogdan Rzońca twierdzi, że Tusk mógłby wrócić na stanowisko przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej, bo w 2028 r. odbędą się wybory na szefa największej frakcji w Parlamencie Europejskim.

PRZYSPIESZONE WYBORY

Legalny scenariusz ocalenia Tuska czy całego obecnego układu władzy to przyspieszone wybory, dopóki Koalicja Obywatelska prowadzi w sondażach, przekraczając 30 proc. poparcia. Najprostszym sposobem skrócenia kadencji Sejmu jest przyjęcie uchwały w tej sprawie większością co najmniej dwóch trzecich głosów ustawowej liczby posłów (czyli minimum 307). Koalicja rządząca może liczyć na 242 głosy, więc sporo jej brakuje, by doprowadzić do skrócenia kadencji, gdyby opozycja nie chciała pomóc rządzącym. W takiej sytuacji Donald Tusk ma scenariusz awaryjny. Zakłada on, że we wrześniu 2026 r. premier złoży dymisję gabinetu (art. 162 ust. 2 konstytucji). Prezydent Karol Nawrocki może odmówić jej przyjęcia, by pokrzyżować plany „ucieczki" Tuska, ale premier może wnieść do Sejmu głosowanie o wotum zaufania dla swego rządu. Gdyby parlamentarna większość go nie udzieliła, prezydent ma bezwzględny obowiązek przyjąć dymisję rządu. Gdy to zrobi, powierzy dotychczasowemu gabinetowi pełnienie obowiązków do czasu powołania nowego.

Od tego momentu możliwe są trzy kroki. Pierwszy: prezydent desygnuje nowego premiera, który tworzy gabinet. Rząd ten musi uzyskać w Sejmie bezwzględną większość głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Wówczas obecnie rządzący doprowadziliby do tego, że gabinetowi nowego premiera (ktokolwiek miałby nim być), desygnowanego przez prezydenta, nie zostanie udzielone wotum zaufania. Wtedy inicjatywę przejmie Sejm – to drugi krok. Posłowie sami wybiorą premiera i ministrów, lecz również ten rząd nie uzyskałby bezwzględnej większości głosów. Trzeci krok polega na tym, że gdy Sejm nie udzieli nowemu gabinetowi wotum zaufania, nowego premiera ponownie będzie musiał wskazać

eprasa.pl 61dfdd5e4e

prezydent. W tym scenariuszu wotum zaufania zostaje udzielone rządowi jedynie zwykłą większością głosów i wedle planu Tuska, takiej większości by nie było. W tym momencie, zgodnie z art. 155 ust. 2 konstytucji, prezydent ma obowiązek skrócić kadencję Sejmu i zarządzić przedterminowe wybory. Musi wyznaczyć termin na dzień wolny od pracy, przypadający nie później niż w ciągu 45 dni od dnia wejścia w życie decyzji o skróceniu kadencji.

Wedle scenariusza Tuska przyspieszone wybory odbyłyby się jeszcze jesienią 2026 r. Plan zakłada wciągnięcie do nowego rządu partii Sławomira Mentzena, co uniemożliwiłoby stworzenie większości wokół Prawa i Sprawiedliwości oraz Rozwoju Plus.

ZAMACH NA PREZYDENTA

Nielegalny scenariusz ocalenia Tuska lub rządzącego obecnie układu przedstawił m.in. Roman Giertych. Zakłada on rozprawę z prezydentem Nawrockim, by oczyścić pole do dalszych działań, np. skrócenia kadencji Sejmu. Giertych stwierdził: „Powinniśmy uchwałą sejmową przypomnieć panu Nawrockiemu, jakie są funkcje prezydenta, skoro sprawuje tę funkcję. Jeżeli nie będzie wykonywał tych funkcji, które przewiduje dla niego konstytucja, to musimy uznać, że Nawrocki rezygnuje z tego sprawowania tej funkcji". Na zasadzie *facta concludentia*, czyli pokracznie wywodząc to z art. 60. Kodeksu cywilnego: „Z zastrzeżeniem wyjątków w ustawie przewidzianych, wola osoby dokonującej czynności prawnej może być wyrażona przez każde zachowanie się tej osoby, które ujawnia jej wolę w sposób dostateczny".

Nieważne, że konstytucja reguluje to zupełnie inaczej. W art. 131 ust. 1 zapisano: „Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej nie może przejściowo sprawować urzędu, zawiadamia o tym Marszałka Sejmu, który tymczasowo przejmuje obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej. Gdy Prezydent Rzeczypospolitej nie jest w stanie zawiadomić Marszałka Sejmu o niemożności sprawowania urzędu, wówczas o stwierdzeniu przeszkody w sprawowaniu urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej rozstrzyga Trybunał Konstytucyjny na wniosek Marszałka Sejmu. W razie uznania przejściowej niemożności sprawowania urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Trybunał Konstytucyjny powierza Marszałkowi Sejmu tymczasowe wykonywanie obowiązków Prezydenta Rzeczypospolitej". Niemożność sprawowania urzędu może stwierdzić tylko sam prezydent albo Trybunał Konstytucyjny, gdyby głowa państwa nie była w stanie zawiadomić o tym marszałka Sejmu.

Opisane są też sytuacje, w których prezydent przestaje pełnić swoją funkcję, a do czasu wyboru nowego to marszałek Sejmu wykonuje obowiązki głowy państwa (art. 131 ust. 2). Są to: „1) śmierć Prezydenta Rzeczypospolitej, 2) zrzeczenie się urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej, 3) stwierdzenie nieważności wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej lub innych przyczyn nieobjęcia urzędu po wyborze, 4) uznanie przez Zgromadzenie Narodowe trwałej niezdolności Prezydenta Rzeczypospolitej do sprawowania urzędu ze względu na stan zdrowia, uchwałą podjętą większością co najmniej 2/3 głosów ustawowej liczby członków Zgromadzenia Narodowego, 5) złożenie Prezydenta Rzeczypospolitej z urzędu orzeczeniem Trybunału Stanu".

> Donald Tusk topi się politycznie, ale nie zamierza być w tym samotny. Jego legalne scenariusze wyjścia z matni są jednak bardzo niepewne, a te nielegalne oznaczają kompletną demolkę demokracji w Polsce

WOJUJĄCY Z „BRUNATNĄ FALĄ"

To, że Donald Tusk ma świadomość, iż jego polityczny koniec jest bliski, skłania go do coraz bardziej desperackich posunięć. 15 sierpnia w Gdyni praktycznie uzasadnił plan delegalizacji opozycyjnych partii. Mówił: „Znacie te partie, tych polityków, którzy chcą Polsce i Polakom wmówić, że naszym problemem jest Europa, że naszym wrogiem jest Ukraina. Jakoś zapominają o Rosji, o naszym sąsiedzie, który toczy wojnę w Ukrainie [...]. Nie możemy pozwolić na to, aby zdrada, głupota, brudne interesy osłabiały naszą obronność i bezpieczeństwo". Czyli wezwał, by zrobić coś z tymi, którzy „często najgłośniej krzyczą »Polska«, wznoszą ramiona do Pana Boga, powołują się na honor". Bo „tak jak w przeszłości, właśnie oni najczęściej doprowadzają do poważnych problemów, a czasami do porażek. Niektórzy kończą gdzieś na Białorusi albo na Naddniestrzu, ale my musimy skończyć z tą złą polityką niektórych polityków i partii". W istocie nie chodzi o skończenie ze „złą polityką", tylko ze złymi partiami, czyli zdrajcami. I w ten sposób można uzasadnić delegalizację tych „złych partii", gdyby powiodła się misja Macieja Berka „przejęcia" Trybunału Konstytucyjnego. Wtedy można by nawet znaleźć powody, aby nie przeprowadzać wyborów jesienią 2027 r., co przyszłoby łatwiej, gdyby po drodze dokonano zamachu stanu, czyli ustanowiono marszałka Włodzimierza Czarzastego pełniącym obowiązki prezydenta.

W scenariuszach Tuska najbardziej przerażające jest to, że może on całkowicie zdemolować demokrację w Polsce, a instytucje Unii Europejskiej i przywódcy w najważniejszych europejskich stolicach mogą to zaakceptować. Bo przecież trzeba zatrzymać „brunatną falę" – nawet wtedy, gdyby najbardziej „brunatne" było to, co robi Donald Tusk. Ale skoro prawie trzy lata temu zaakceptowano „demokrację walczącą" (Tusk uzasadniał jej konieczność w Parlamencie Europejskim i większość to przyjęła), przyjęto by również skutki planu pokonania „brunatnej fali". Na to właśnie liczy Tusk.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Kariera na dopalaczu

Ekspresowe tempo awansów Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej może rodzić podejrzenie, że jest sztucznie pompowana, aby zyskać rozpoznawalność i popularność. Pytanie tylko, jaki jest cel tych działań. Bo ciężko uwierzyć, że dzieje się to spontanicznie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Ostatnio coraz częściej pojawiają się spekulacje na temat niepewnej przyszłości obecnego rządu. Z wielu stron słyszymy, że Donald Tusk ma się obawiać porażki w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych. Powodów ku temu rzecz jasna nie brakuje, bo właściwie nie ma dnia bez afery, która rujnuje wizerunek ekipy rządzącej.

Trudno dziś oceniać, na ile te spekulacje są prawdziwe, faktem jest jednak, że obecne notowania KO nie gwarantują jej stabilnej większości w przyszłym Sejmie, a każdy kolejny miesiąc może pogorszyć sytuację. Niewykluczone więc, że Tusk – podobnie jak w 2014 r. – szykuje wariant ratunkowy. Skądinąd wiadomo, że premier bardzo źle znosi przegraną, więc być może znowu będzie chciał przerzucić odpowiedzialność za własne rządy na cudze barki.

NOWA EWA KOPACZ

Za poprzednich rządów Tuska, które skończyły się jego spektakularną ewakuacją do Brukseli, to ciężkie brzemię spadło na Ewę Kopacz. Ówczesna premier po zaledwie roku sprawowania funkcji i przegranej PO w wyborach 2015 r. ostatecznie wypadła z krajowej polityki, urządzając się na koniec w Parlamencie Europejskim.

Dziś w podobnym kontekście mówi się o wiceminister obrony narodowej Magdalenie Sobkowiak-Czarneckiej. To właśnie ona – według różnych domysłów – miałaby się stać „nową Ewą Kopacz", która w przeddzień spodziewanej katastrofy przejmie ster rządów od Tuska, biorąc na siebie wszystkie przewiny poprzednika.

I choć istnieją między nimi pewne podobieństwa, np. ich kariery są całkowicie zależne od Tuska i obie zaczynały działalność polityczną u ludowców (przy czym Ewa Kopacz jeszcze w ZSL), to widać również istotne różnice. Przede wszystkim Kopacz w chwili obejmowania funkcji premiera była już politykiem o stosunkowo długim stażu – wcześniej zasiadała w fotelu ministra zdrowia oraz marszałka Sejmu. Tymczasem Sobkowiak-Czarnecka jest osobą świeżą

Fot. Oliwia Domańska/East News

eprasa.pl 61dfdd5e4e

w polityce, formalnie bezpartyjną, co zdaniem jej zwolenników ma jej dodawać wiarygodności i ustawiać w roli „nieumoczonej w żadne układy".

Trudno przy tym nie dostrzec, że w ostatnim roku jej kariera gwałtownie przyspieszyła. Ekspresowe tempo awansów Sobkowiak-Czarneckiej może rodzić podejrzenie, że jest sztucznie pompowana, aby zyskać rozpoznawalność i popularność. Pytanie tylko, jaki jest cel tych działań. Bo ciężko uwierzyć, że dzieje się to spontanicznie i jest wyłącznie rezultatem nadzwyczajnej charyzmy pani wiceminister.

BRAK WYCZUCIA

Jeszcze rok temu nikt przecież nie słyszał o Magdalenie Sobkowiak-Czarneckiej. Owszem, pełniła funkcje w rządzie, związane z polską prezydencją w Unii (wyjątkowo bezobjawową), ale była publicznie nierozpoznawalna. Dopiero nominacja na pełnomocnika ds. SAFE w październiku 2025 r. stała się punktem zwrotnym w jej karierze.

Sobkowiak-Czarnecka zgodziła się zostać twarzą unijnej pożyczki na zbrojenia. Z jednej strony była to rola dość karkołomna, bo nieszczęsna pożyczka budziła skrajne emocje w społeczeństwie, ale z drugiej strony przynosiła upragnioną rozpoznawalność – fanatycy Tuska natychmiast ją pokochali, a przeciwnicy po raz pierwszy dowiedzieli się o jej istnieniu, umieszczając ją wysoko na liście szkodników z obecnego rządu.

Sobkowiak-Czarnecka skarżyła się wtedy na hejt. Słynne stało się jej wystąpienie podczas konferencji prasowej w Stalowej Woli, gdy przepraszała swoją córkę za brak czasu: „Córeczko, wiem, że nie było mnie w domu w Dzień Matki. Nie wybaczę tym, przez których czytasz i boisz się, czy mama nie pójdzie do więzienia" – mówiła drżącym głosem.

Jeżeli chciała w ten sposób zyskać współczucie opinii publicznej, to zupełnie rozminęła się z nastrojami. Większość ludzi była zdziwiona tymi słowami, które odczytywano jako wyraz wyniosłości i zupełnego odklejenia od rzeczywistości. Tak się bowiem składa, że większość polskich matek pracuje i często brakuje im czasu dla dzieci. Narzekania wyfiokowanej pani, robiącej błyskawiczną karierę w rządzie, przyjęto więc z ogólnym niesmakiem.

Niestosowne były też histeryczne sugestie na temat więzienia. Zwłaszcza w kontekście prawdziwego dramatu, jakim było wcześniejsze pozbawienie możliwości widzenia z chorym dzieckiem aresztowanej urzędniczki z biura byłego premiera Morawieckiego. Nikt nie zanotował, aby Sobkowiak-Czarnecka kiedykolwiek przejęła się losem tamtej kobiety. Próbując nadać dramaturgii swojemu wystąpieniu, zyskała efekt w postaci powszechnego zażenowania.

Oczywiście hejtu, który dotknął Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką – zwłaszcza naśmiewania się z jej strojów i urody – trudno bronić, jednak ona sama zdecydowała się w imię kariery wejść w sam środek pola bitwy. Być może Tusk, przewidując ostry spór wokół SAFE, celowo obsadził ją w roli obrończyni tego programu, aby przyjęła na siebie główne uderzenie. Byłoby to zresztą zgodne z jego charakterem i znaną od dawna taktyką ukrywania się za plecami podstawionych figurantów.

Inni z kolei uważali, że Tusk wstawił Sobkowiak-Czarnecką do programu SAFE, by złagodzić ataki – w tej wersji wydarzeń kobieta miała być trudniejszym celem, bo krytykę zawsze można przedstawiać jako przejaw mizoginii i patriarchalnych uprzedzeń. A poza tym w naszej kulturze kobiet nie wypada traktować obcesowo.

Niezależnie od tego jakie przyczyny stały za awansem Sobkowiak-Czarneckiej, był to dla niej rodzaj testu na wytrzymałość. I w oczach Tuska chyba go zdała, skoro w czerwcu tego roku mianował ją wiceministrem obrony narodowej.

DROGA DO WIELKIEGO ŚWIATA

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka jest osobą bardzo ambitną, co samo w sobie nie jest złe, pod warunkiem, że towarzyszy temu umiejętność autorefleksji i spojrzenia na siebie z krytycznym dystansem. Tymczasem z dostępnych relacji wynika, że 42-letnia Poznanianka nie grzeszy nadmierną skromnością i jest święcie przekonana o własnym geniuszu.

Być może właśnie dlatego już jako młoda dziewczyna widziała się w przyszłości jako ktoś, kto będzie rozdawał karty w wielkim świecie. Według „Newsweeka" dostała kiedyś pytanie, kim chciałaby być, gdyby mogła wybierać. „Odpowiedziałam, że prezydentem Stanów Zjednoczonych, bo chciałabym mieć realny wpływ. No, ale nie urodziłam się w Stanach i trzeba wybrać coś innego" – miała zażartować.

Swój lot ku światowej karierze rozpoczęła z dość niskiego pułapu, podejmując studia na Wydziale Gospodarki Międzynarodowej na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu. Potem ukończyła jeszcze studia podyplomowe z zarządzania i dyplomacji w Collegium Civitas w Warszawie.

Przez wiele lat pracowała jako dziennikarka, najpierw w Radiu Poznań, a potem w Polsacie i TVP. Najwyraźniej media miały być trampoliną do wielkiego świata. „Zawsze chciała zajmować się polityką, przede wszystkim tą zagraniczną" – pisze „Newsweek". „Relacjonować wizyty prezydenta i premiera, obsługiwać duże międzynarodowe imprezy, co wielu dziennikarzom telewizyjnym kojarzy się z prestiżem. Była skoncentrowana na sobie, szła po trupach do celu, nie stroniła od intryg – wspominają ją dawni koledzy z TVP. I opowiadają, jak nie wiadomo skąd nagle wylądowała w Brukseli, zastępując tam wieloletnią korespondentkę TVP".

Podobno zarekomendował ją Paweł Graś, bliski współpracownik Donalda Tuska, wówczas doradzający mu jako ówczesnemu przewodniczącemu Rady Europejskiej w Brukseli. Kariera Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej jako korespondentki była jednak krótka, bo po zmianie władzy na Woronicza odeszła z TVP, przyjmując pracę w Komisji Europejskiej. Miała wówczas pisać teksty i sprawozdania dla komisarzy odpowiedzialnych za politykę obronną i kosmiczną.

Praca w charakterze anonimowej urzędniczki nie odpowiadała jednak wielkim ambicjom Sobkowiak-Czarneckiej, która w 2019 r. – już po narodzinach córki – wróciła do Polski, gdzie przyjęła posadę specjalistki ds. wizerunku szefa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza, by później zostać szefową jego kampanii prezydenckiej. Nie był to chyba szczęśliwy transfer, bo Kosiniak-Kamysz przegrał z kretesem, otrzymując w wyborach 2020 r. oszałamiające 2,36 proc. głosów.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Tą klęskę dobrze sobie zapamiętano w PSL. W 2023 r. Magdalena Sobkowiak-Czarnecka miała podobno liczyć na pewne miejsce w wyborach do Sejmu z rodzinnego Poznania, ale obeszła się smakiem. Nawet we własnych szeregach partyjnych Kosiniak-Kamysz okazał się zbyt słaby i nie zdołał przepchnąć swojej współpracownicy.

W tej sytuacji Sobkowiak-Czarnecka miała zwrócić się o pomoc do Pawła Grasia, dawnego „patrona" z Brukseli, który – według relacji „Newsweeka" – skierował ją do Adama Szłapki, zajmującego się wówczas organizowaniem polskiej prezydencji w Unii. I choć nie odniosła na tym polu żadnych sukcesów (co nie powinno dziwić, zważywszy, że sprawami prezydencji zarządzał Szłapka), to podobno rozważano jej kandydaturę na wiceministra spraw zagranicznych.

Koniec końców nic z tego nie wyszło, ale wówczas na horyzoncie pojawił się SAFE i spragniona wielkiej kariery Sobkowiak została wreszcie dostrzeżona przez Tuska.

KOBIETY W POTRZEBIE

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że Sobkowiak-Czarnecka przez te wszystkie lata biernie czekała na swoją życiową szansę. Równolegle z działalnością polityczną prowadziła bowiem jeszcze inną aktywność, tworząc w 2021 r. organizację Kobiety w Centrum.

Moment powołania tego stowarzyszenia wydaje się nieprzypadkowy – zostało utworzone na fali protestów związanych z tzw. Strajkiem Kobiet. I choć program organizacji nie nawiązuje bezpośrednio do kwestii aborcyjnych, to odwołuje się do aktywności kobiet w sferze publicznej, „kobiecej siły" (cokolwiek to oznacza) oraz do walki z dyskryminacją. Dzisiejsza pani wiceminister najwyraźniej postanowiła więc wykorzystać emocje wywołane protestami aborcyjnymi i chwycić przy tej okazji byka za rogi.

W tej chwili stowarzyszenie Magdaleny Sobkowiak ma liczyć ponad tysiąc członkiń w całej Polsce, w tym trzy parlamentarzystki (najbardziej znana spośród nich jest chyba Agnieszka Kłopotek z PSL, żona Eugeniusza, dawnego, wieloletniego posła ludowców). Zdaniem niektórych, w tym Sebastiana Kalety z PiS, organizacja ma być rodzajem sieci zarzuconej na wysokie stanowiska. „Górnolotne słowa o prawach kobiet, a tak naprawdę walka o stołki w kluczowych sektorach państwa" – napisał Kaleta na platformie X, wyliczając po kolei przypadki objęcia przez członkinie stowarzyszenia różnych ważnych funkcji w MON oraz spółkach skarbu państwa – głównie w radach nadzorczych firm branży zbrojeniowej. Okazuje się przy tym, że wspomniane kobiety zazwyczaj nie mają odpowiednich kwalifikacji do pełnienia powierzonych im stanowisk.

Na platformie X mogliśmy m.in. przeczytać o wiceprezesce stowarzyszenia Agnieszce Adamkiewicz, z zawodu przedstawicielce medycznej, która została członkiem rady nadzorczej PIT-RADWAR – przedsiębiorstwa produkującego systemy radiolokacji, radioelektroniczne systemy rozpoznania, systemy obrony przeciwlotniczej oraz systemy wspomagania dowodzenia i kierowania ogniem na potrzeby Sił Zbrojnych RP. Uzupełnieniem tego wpisu były zdjęcia pani Agnieszki pobrane z jej własnego profilu, na których leży kusząco na kanapie w czerwonym kostiumie i szpilkach z podpisem: „Bądź sobą". To oczywiście bardzo sympatyczny obrazek, ale zupełnie niekompatybilny z branżą zbrojeniową. Nasi wrogowie raczej go nie docenią, wręcz przeciwnie – mogą to uznać za przejaw słabości i zupełnej degrengolady w polskim przemyśle obronnym.

> 42-letnia Poznanianka jest przekonana o własnym geniuszu. Może dlatego już jako młoda dziewczyna widziała się w przyszłości jako ktoś, kto będzie rozdawał karty w wielkim świecie

NIEMIECKIE POWIĄZANIA

Nie chodzi jednak tylko o to, że członkinie stowarzyszenia nadzwyczaj chętnie podejmują pracę w zbrojeniówce. Okazuje się bowiem, że organizacja założona przez Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką miała korzystać ze wsparcia niemieckiej Fundacji Konrada Adenauera związanej z CDU. Ona sama uczestniczyła zaś w debatach i konferencjach organizowanych m.in. przez Fundację Heinricha Bölla (związaną z partią Zielonych) oraz została wyróżniona jako jedna z „przyszłych liderek Europy" przez German Marshall Fund – amerykański think tank powołany i finansowany przez niemiecki rząd, który w listopadzie 2021 r., a więc tuż przed rosyjską agresją na Ukrainę, zainicjował akcję nakłaniania amerykańskiego Kongresu do wycofania amerykańskich wojsk z Polski.

Powiązania Sobkowiak-Czarneckiej z niemieckimi kręgami politycznymi i eksperckimi stały się więc siłą rzeczy powodem licznych spekulacji dotyczących możliwego wpływu Berlina na obsadę ważnych stanowisk politycznych w Polsce. Dotyczy to w szczególności jej roli pełnomocnika ds. SAFE – programu pożyczkowego, na którym ma skorzystać przede wszystkim niemiecka gospodarka.

Ekspresowa kariera Sobkowiak-Czarneckiej, a w szczególności wspomniane wcześniej domysły na temat szykowania jej do roli przyszłej szefowej rządu, przywodzą na myśl Ursulę von der Leyen, która najpierw została wypromowana w resorcie obrony, aby ostatecznie objąć stanowisko szefowej Komisji Europejskiej. Być może więc – jak sądzą niektórzy – ten niemiecki scenariusz będzie powielony w Polsce. Zwłaszcza że Tusk coraz bardziej się zużywa.

Na razie pogłoski o objęciu teki premiera mają pochodzić głównie z otoczenia samej Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej. Trudno to zweryfikować, ale biorąc pod uwagę jej wielkie ambicje, niewykluczone, że źródłem tych spekulacji może być ona sama. Ale to może oznacza, że ma jakieś podstawy, aby oczekiwać kolejnego awansu.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Trzeba zajrzeć do komputera i telefonu Kacprzyka

Gdyby w sprawie Dawida Kacprzyka wszystko działo się zgodnie ze sztuką, okolicznościami i wagą sprawy, powinno się postawić mu zarzuty przynajmniej w tym zakresie, w którym nie ma wątpliwości. Dlatego uważam, że w przypadku dr. Kacprzyka – przynajmniej co do części nieprawidłowości – widzimy opieszałość prokuratury



Fot. Andrzej Skwarczyński

Z Magdaleną Leszczyńską, adwokatem współpracującym z Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris, rozmawia Jerzy Szmit

Afera w Warszawskim Szpitalu Południowym wybuchła w czerwcu, a do tej pory jej główny bohater, Dawid Kacprzyk, nie został ani zatrzymany, ani nawet przesłuchany. Opieszałość prokuratury?

Magdalena Leszczyńska: Zgodnie z procedurami, kiedy w toku prowadzenia śledztwa zebrano materiał, który uzasadniałby przedstawienie w przyszłości Dawidowi Kacprzykowi zarzutów, lub gdy ten materiał istniał już w chwili wszczęcia postępowania, to prokurator wręcz nie powinien go słuchać jako świadka. Sąd Najwyższy potwierdził uchwałą, że w stosunku do osoby, wobec której istnieje przypuszczenie, że dopuściła się czynu zabronionego i może zostać wydane postanowienie o przedstawieniu zarzutów, nie powinno się stosować trybu słuchania jako świadka. Poza tym Dawid Kacprzyk mógłby teraz odmówić odpowiedzi na pytania, a nawet gdyby złożył zeznania jako świadek, to w sytuacji postawienia mu zarzutów nie mogą być one wykorzystane w dalszym postępowaniu.

Czyli może spokojnie chodzić na wolności.

Na obecnym etapie tak. Nie ma zarzutów, nie są stosowane żadne środki zapobiegawcze, takie jak poręczenie majątkowe, zakaz opuszczania kraju czy zakaz kontaktowania się ze świadkami i pokrzywdzonymi.

Czy wystawianie faktur za dyżury na SOR i uczestnictwo w tym samym czasie w sesjach rady dzielnicy albo fakt, że nie miał uprawnień do wykonywania zadań, które realizował, to nie są sprawy oczywiste i zarzuty nie powinny być postawione niezwłocznie?

Tak, w takiej sytuacji prokurator powinien po prostu postawić zarzuty i wtedy słuchać go jako podejrzanego. Postawienie zarzutów jest często czynnością końcową w śledztwie, ale nie zawsze. Jeżeli mamy sprawę jednoznaczną, np. prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości, to natychmiastowe postawienie zarzutów jest naturalne. Dlatego uważam, że w przypadku dr. Kacprzyka – przynajmniej co do części nieprawidłowości – widzimy opieszałość prokuratury.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Nie przeszukano też komputera, mieszkania, nie zabezpieczono telefonu, bilingów. To pozwoliłoby na wyjaśnienie wielu kluczowych wątków, powiązań, zależności, kontaktów.

Tak, to byłyby kluczowe dowody wyjaśniające, jak został zbudowany ten system i jak funkcjonował, kto nim kierował, kto z niego korzystał. Należy również zauważyć, że w zakresie np. bilingów prokurator może wydać odpowiednie postanowienia o zwolnieniu operatorów z tajemnicy komunikacyjnej także na obecnym etapie śledztwa, gdy nikomu nie przedstawiono zarzutów.

Czytałem wypowiedzi prokuratorów twierdzących, że chcą przesłuchać kilkaset świadków. Możemy się spodziewać obstrukcji ze strony obrony. To oznacza, że samo postępowanie prokuratorskie będzie trwało lata, bez postawienia Kacprzykowi zarzutów.

Prokurator prowadzi sprawę w kierunku śledztwa wielowątkowego, a to oznacza długie postępowanie. Tylko po co to tak rozwlekać, jeśli tam, gdzie prokurator nie ma wątpliwości, może postawić zarzuty, które później na podstawie zgromadzonych dowodów można zmieniać i uzupełniać? To pozwoliłoby także na zastosowanie środków zapobiegawczych, których dzisiaj nie ma.

Dawid Kacprzyk usiłował nieskutecznie zwrócić znaczną część swoich dochodów. To jak przyznanie się do winy.

Spójrzmy na to jak na linię obrony. Przy zarzucie oszustwa zwrot środków pozwala na nadzwyczajne złagodzenie kary albo nawet odstąpienie od jej wymierzenia. Jednocześnie można twierdzić, że to nie było przyznanie się do winy, tylko finansowy spór ze szpitalem, związany z wystawionymi fakturami, i wtedy robi się z tego spór cywilny.

Ale szpital nie chce przyjąć zwrotu pieniędzy, a była to kwota ponad 500 tys. zł!

To też jest element obrony, tyle że szpitala. Pomijam względy księgowe, ale przyjęcie zwrotu byłoby przyznaniem się do winy – przyjęto faktury i za nie zapłacono, choć świadczenia nie było. I to jest oczywiste, bo nie można być jednocześnie na sesji rady dzielnicy i na dyżurze na SOR. Nie mam dostępu do materiału dowodowego, ale tym faktom nikt nie zaprzecza, więc postawienie zarzutów w tym przypadku wydaje się oczywiste.

Czy w pani ocenie wszystkie te manewry i taki rozwój sytuacji byłyby możliwe, gdyby Dawid Kacprzyk nie miał ogromnego wsparcia politycznego?

Gdyby zrobił to ktokolwiek inny, moim zdaniem już byłby tymczasowo aresztowany. Spójrzmy na sprawę rolnika, który protestował przed domem ministra rolnictwa Stefana Krajewskiego. Spędził dwa miesiące w areszcie, ale gdy w 2020 r. szef gabinetu Krajewskiego protestował pod domami polityków PiS, nie poniósł żadnych konsekwencji. Drugi głośny ostatnio przykład to sprawa rolnika z Gliwic, który zaorał drogę i również trafił do aresztu. 60-letni rolnik w ramach sporu z miastem niszczy drogę, co zostaje nagrane i opublikowane w mediach. Szkoda na mieniu jest oczywista, ale nie ma ani obawy matactwa, ani ucieczki. Rozmiar szkody nie jest tak gigantyczny, aby groziła za to dotkliwa kara. Gdyby w sprawie Dawida Kacprzyka wszystko działo się zgodnie ze sztuką, okolicznościami i wagą sprawy, powinno się postawić mu zarzuty przynajmniej w tym zakresie, w którym nie ma wątpliwości.

> Po wybuchu afery Szpitala Południowego ujawniono mnóstwo innych afer w służbie zdrowia i to zaczyna przykrywać tę główną. Informacje o tym powszedniejącą opinii publicznej, co działa na korzyść tych, którzy powinni odpowiadać za swoje czyny

Jest z kolei wiele przykładów na to, że sprawcy brutalnych napadów są bezkarni.

O takich napadach chuliganów na funkcjonariuszy państwowych i działaczy związanych z dzisiejszą opozycją było głośno. Podam jeszcze przypadki napaści i niszczenia mienia wolontariuszy fundacji pro-life – jeden z nich został pobity metalową pałką teleskopową, złamano mu rękę. Sprawca w pierwszej instancji otrzymał karę roku ograniczenia wolności. Dwóch innych podejrzanych publicznie groziło śmiercią członkom tej samej fundacji, przyznali się do winy, a prokurator skierował wniosek o warunkowe umorzenie postępowania. Kolejny przykład – Michał S. ps. Margot, skazany na cztery miesiące ograniczenia wolności za atak na kierowcę furgonetki fundacji pro-life i zniszczenie mienia.

Kilka miesięcy przed ujawnieniem afery dr Emil Jędrzejewski informował prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego o nieprawidłowościach w Szpitalu Południowym, co zostało zlekceważone. To też chyba powinno podlegać ocenie prokuratorskiej. Przyjęcie dymisji dwóch pań wiceprezydent, pożegnanie ich z kwiatami i sutymi odprawami to chyba szyderstwo?

Tym bardziej że wiceprezydent bezpośrednio nadzorujący spółki miejskie w Szpitalu Południowym nie poniósł żadnych konsekwencji. Tutaj rzeczywiście prokuratura ma pole do analizy, konieczne jest przeprowadzenie obszernego postępowania dowodowego i wyjaśnienie, w którym momencie powstały nieprawidłowości, kto za to odpowiada.

Gdy dr Jędrzejewski zaczął ujawniać szczegóły funkcjonowania Szpitala Południowego, premier Donald Tusk powiedział, że „wiarygodność pana Emila Jędrzejewskiego i jego sensa-

eprasa.pl 61dfdd5e4e

cyjnych wypowiedzi wydaje się wątpliwa". Powiedział to przełożony ministra sprawiedliwości i jednocześnie prokuratora generalnego.

Z perspektywy obywatela i adwokata ta wypowiedź była skandaliczna. Ocena wiarygodności świadka przez prezesa Rady Ministrów sprawującego nadzór nad ministrem sprawiedliwości, który jest też prokuratorem generalnym, stanowi bardzo poważne nadużycie. Konstytucyjny trójpodział władzy nie jest hasłem, po które sięga się w sporze politycznym, lecz gwarancją chroniącą nas, obywateli, przed tym, aby przedstawiciele rządu nie przesądzali publicznie o ocenie dowodów, winie, wiarygodności świadków czy zasadności stawianych zarzutów. Publiczne formułowanie przez premiera oceny wiarygodności takich osób to niedopuszczalna próba uprzedzenia oceny dowodów, która powinna należeć wyłącznie do niezależnego sądu, a na etapie postępowania przygotowawczego być dokonywana przez właściwe organy procesowe w granicach prawa. Ponadto ciekawe jest to, skąd premier czerpie wiedzę na temat zeznań świadka. Postępowanie przygotowawcze jest niejawne, a ujawnianie jego szczegółów stanowi przestępstwo.

Prokuratura przyznaje, że docierały do niej informacje o skandalicznych praktykach w prosektorium Szpitala Południowego, ale reakcje były bardzo wstrzemięźliwe i sprawa ruszyła dopiero po wybuchu afery.

Prokuratura mówi, że nie wiedziała o nagraniach, choć redaktor Patryk Słowik mówił o kilkudziesięciu godzinach materiału. Dopiero gdy sprawę ujawniły media, podjęto realne działania. Podobnie było ze śmiercią pacjenta na SOR – wcześniej sprawa tkwiła w prokuratorskiej „zamrażarce".

Premier Tusk potwierdził funkcjonowanie saloników VIP w szpitalach, a także „szybkich ścieżek" przyjęć do specjalistów dla polityków partii rządzącej. Jednocześnie dawni obrońcy konstytucji zapomnieli o art. 68, który mówi o równym dostępie do służby zdrowia.

Przyznam, że trudno uwierzyć w nieświadomość premiera, jak funkcjonuje służba zdrowia w państwie, którym zarządza. Nie wiem też, jak oceniać stan świadomości poseł Koalicji Obywatelskiej Małgorzaty Pępek, która była zdziwiona, że aby wykonać specjalistyczne badania w szpitalu, trzeba tam iść, zapisać się do kolejki albo dzwonić do rejestracji przez cały dzień. To też jest patologia tego systemu, który powinien być na tyle przejrzysty, by pacjent mógł łatwo sprawdzić, dlaczego komuś wyznaczono wcześniejszy termin i czy stały za tym kryteria medyczne, a nie przywilej. Ludziom, którzy mają pieniądze czy władzę, zawsze zapewniano opiekę lekarską lepszą od reszty. Równy dostęp do publicznej ochrony zdrowia nie oznacza, że wszyscy są przyjmowani tego samego dnia, tylko że o pierwszeństwie decyduje stan zdrowia i medyczna pilność, a nie stanowisko, legitymacja partyjna, pieniądze czy znajomości. Zapowiadając koniec „saloników VIP" i omijania kolejek, premier pokazał skalę problemu. Teraz potrzebne są nie deklaracje, ale pełna przejrzystość kolejek, kontrola wyjątków i realna odpowiedzialność za wykorzystywanie publicznej służby zdrowia dla osób uprzywilejowanych.

Do opinii publicznej masowo docierają informacje o poważnych nadużyciach finansowych i organizacyjnych w szpitalach, które sprowadzały się m.in. do gigantycznych zarobków lekarzy i spółek medycznych. Bulwersujący jest przykład szpitala w Miastku w województwie pomorskim, gdzie oficjalnie zamknięto oddział neurochirurgii, a prywatnie operowano tam za ogromne pieniądze. Czy takie zachowania za obecnej władzy będą ukarane?

W obecnych realiach będzie to trwało latami, bez gwarancji na wyciągnięcie realnych konsekwencji. Poza tym jest też tak, że po wybuchu afery Szpitala Południowego ujawniono mnóstwo innych afer w służbie zdrowia i to zaczyna przykrywać tę główną. Takie informacje powszednieją opinii publicznej, co działa na korzyść tych, którzy powinni odpowiadać za swoje czyny. Niestety bez zdecydowanych i wieloletnich działań sytuacja może się tylko pogarszać. Pamiętajmy też, że o ile lekarze czy spółki wystawiają faktury za podwojone czy potrojone dyżury, to ktoś w szpitalach je podpisuje, ktoś wypłaca te pieniądze i ktoś jest odpowiedzialny za kontrolę. A jak to wychodzi – widzimy.

Powiedzmy jednak, że znajdzie się prokurator i zacznie dogłębnie badać przypadek Szpitala Południowego, Miastka albo inny. Zgromadzi solidny materiał dowodowy, napisze akt oskarżenia i sprawa trafi do sądu. Pozornie będziemy blisko rozstrzygnięcia, ale adwokaci zaczną przyglądać się sędziom, wyłączać ich, na różne sposoby sabotować rozprawę.

Porusza pan jeden z dramatyczniejszych aspektów sytuacji sądownictwa, ponieważ kryzys pewności co do sądu rzeczywiście może być wykorzystywany procesowo. Status jednej trzeciej polskich sędziów jest kwestionowany przez obecną władzę i część wspierających ją środowisk prawniczych, a konsekwencją tego bywają wnioski o wyłączenie sędziego i zarzuty dotyczące obsady. Oczywiście prawo do kwestionowania bezstronności sądu jest elementem rzetelnego procesu. Problem zaczyna się wtedy, gdy spór o status sędziego staje się rutynowym narzędziem przewlekania każdej trudnej sprawy, a państwo musi zapewnić realne gwarancje bezstronności sądu oraz sprawne procedury, które nie pozwolą, by wieloletnie postępowania kończyły się bez merytorycznego rozstrzygnięcia. Braki w tym aspekcie rujnują autorytet państwa, a w poczuciu obywatela wzmacnia się przekonanie, że nie znajdzie sprawiedliwości w sądzie. Jeżeli w wymiarze sprawiedliwości nie zakończy się obecny proces destrukcji, to sprawy, o których pan mówi – duże, skomplikowane w obszarze służby zdrowia – skończą się niczym.

Czyli tak wygląda w praktyce słynna doktryna Neumanna: „Jak będziesz w Platformie, będę cię, ku...a, bronił jak niepodległości".

Chyba nic nie trzeba dodawać.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Młody gen zuchwałości

Prezydent zaprosił do Juraty młodzież pozytywnie zuchwałą, by dowiedzieć się, jakiej Polski pragnie. Badania pokazują jasno – to Karol Nawrocki jest prezydentem młodego pokolenia, który swym autentyzmem zdobył ich zaufanie



MACIEJ WALASZCZYK

Klucz do zwycięstwa w kolejnych wyborach ma ten, kto odpowie na aspiracje młodych ludzi. A przynajmniej będzie ich rozumiał, co wcale nie jest takie oczywiste. Aby się rozumieć, trzeba najpierw wysłuchać i porozmawiać.

„Przyszłość zaczyna się dziś" – mówi prezydent Karol Nawrocki w filmiku zapraszającym na spotkanie młodych w Juracie. Odbędzie się ono 29–30 sierpnia br. w słynnym prezydenckim ośrodku wypoczynkowym na Półwyspie Helskim. Już w czasie kampanii wyborczej prezydent udowodnił, że w naturalny sposób potrafi odnaleźć z nimi wspólny język. Wskazać drogę do rozwiązania ich problemów i zaprezentować się jako wiarogodny przywódca. To młodzi odegrali ważną rolę przy urnach, zarówno w wyborach z 2023 r., jak i podczas ostatnich wyborów prezydenckich. Dziś są jednak w wyraźnej części rozczarowani rządami koalicji 13 grudnia i państwem, mając też ograniczone zaufanie do polityków. Poza prezydentem, który wciąż budzi ich duże zaufanie.

– Wiemy, że Karol Nawrocki cieszy się wśród młodych Polaków wielkim poparciem, sięgającym ponad 70 proc., i jest to mocna podstawa do tego, by postawić tezę, że dziś jest prezydentem młodego pokolenia. Chcemy to potwierdzić i taki jest nasz cel spotkania, które organizujemy – podkreśla Adam Andruszkiewicz, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP. Co więcej, w według najnowszych sondaży już dziś ponad połowa Polaków widzi Nawrockiego w roli lidera prawicy.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

JURATA OTWARTA DLA MŁODYCH

„To wyjątkowe wydarzenie stworzone z myślą o was. Dwa dni pełne sportu, koncertów, wyjątkowych atrakcji i niespodzianek. Ale przede wszystkim rozmów o przyszłości Polski" – mówi prezydent w filmie zamieszczonym w mediach społecznościowych i zachęcającym do wysyłania zgłoszeń.

„Poznajmy się bliżej. O jakiej Polsce marzycie? Co chciałybyście w niej zmienić? Jakie macie pomysły? Będzie przestrzeń dla wspólnych pomysłów i spotkań" – zapowiada pierwsza dama Marta Nawrocka, kierując swoje zaproszenie także do młodych dziewcząt. „Cześć dziewczyny! Mam dla was wyjątkowe zaproszenie. Co powiecie na to, aby ostatni wakacyjny weekend spędzić w Juracie? Będzie mnóstwo młodych ludzi i jeszcze więcej dobrej energii. A ja i prezydent będziemy tam dla was".

Lista zgłoszeniowa jest już zamknięta, można się było do niej dopisać do 18 sierpnia. Łącznie do Juraty ma przyjechać ok. tysiąca osób. Koordynatorem imprezy jest rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz, a jednym ze współorganizatorów – wspomniany już Adam Andruszkiewicz. Na spotkaniu ma nie być polityków, poza najbliższym otoczeniem prezydenta.

– To realizacja pomysłów z kampanii wyborczej, obietnicy, że prezydent będzie w bieżącym kontakcie w wieloma grupami społecznymi, także z najmłodszymi wyborcami. Ta prezydentura jest nastawiona na kontakt z nimi – wyjaśnia Andruszkiewicz, podkreślając, że prezydent chce podtrzymywać świetne relacje z młodzieżą.

To również wyraźny sygnał wskazujący, jakie zaplecze chce budować w przyszłości. Tuż po inauguracji utworzono Radę Młodzieży przy Prezydencie RP, znany był choćby niezobowiązujący kebab z uczniami jednej ze szkół, były wspólne treningi, rozmowy. To również zorganizowany w maju br. Kongres Kadetów Rzeczypospolitej Polskiej, a więc pierwsze ogólnokrajowe spotkanie uczniów i nauczycieli klas mundurowych. Podczas tego wydarzenia zaprezentowano m.in. propozycje zmian prawnych, jakie kadeci zgłosili prezydentowi, np. dotyczące specjalnego określenia statusu kadeta w prawie oświatowym.

Tego rodzaju spotkania mają wpisywać się w strategię tej prezydentury, stąd pomysł otwarcia – po raz pierwszy w historii – prezydenckiej rezydencji w Juracie dla szerszego grona gości, by w mniej oficjalnej konwencji rozmawiać o polityce i przyszłości. – Chcemy, by było to wydarzenie otwarte, pluralistyczne pod kątem idei, zarówno jeśli chodzi o tematykę, jak i uczestników, bo absolutnie nikogo nie wykluczamy. Choć oczywiście najwięcej zgłoszeń płynie do nas od osób raczej o nastawieniu konserwatywnym – tłumaczy prezydencki minister.

Na dwa dni zaplanowano więc dyskusje panelowe, m.in. dotyczące bezpieczeństwa, edukacji i spotkania z interesującymi ludźmi. By młodzi mogli zobaczyć osoby z różnych stron sporu. Jak zapewniają organizatorzy, mają to być dla nich bardzo ciekawe niespodzianki. Będą też oczywiście spotkania z parą prezydencką – w bardzo otwartej formule – tak by wszyscy mogli się poznać i porozmawiać. Również małżonka prezydenta chce poznać młode uczestniczki i ich spojrzenie na życie. Planowane są wspólne zajęcia sportowe, m.in. z zakresu samoobrony, biegi, sporty wodne i gry.

ZAWIEDZENI PAŃSTWEM I POLITYKĄ

– Chcemy się od nich dowiedzieć, jakiej Polski chcą i po co jest ona im dziś potrzebna. Chcemy spotkać młodzież pozytywnie zuchwałą i posiadającą ten gen zuchwałości. Dlatego naszą ofertę wspólnej rozmowy kierujemy do ludzi wolnych, reprezentujących różne środowiska polityczne. Choć mamy świadomość, że polityka jest obciążona konformizmem i pokusą karierowiczostwa – tłumaczy Adam Andruszkiewicz.

Dlatego organizatorzy liczą, że pojawi się rzesza ludzi ideowych, choćby takich, jacy znaleźli się w Radzie Młodzieży, która zgromadziła osoby chcące działać społecznie i już teraz związane m.in. z organizacjami harcerskimi, takimi jak np. ZHR, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, a także z Młodzieżą Wszechpolską.

Młodzi wyborcy, ci w wieku 18–24 lata, dorastali w zupełnie innych realiach niż ich rodzice. Według najnowszych badań przedstawionych w ostatnich tygodniach przez CBOS nie narzekają na sytuację ekonomiczną i w niemal 90 proc. są nią usatysfakcjonowani, okazując też zadowolenie z życia. 47 proc. z nich uważa jednak, że sytuacja w naszym kraju zmierza w złym kierunku, a ponad połowa jest przekonana, że nic nie ulegnie zmianie na lepsze. Także duża, bo aż 44-proc. grupa nie akceptuje obecnej sytuacji politycznej, a jeszcze większa część uważa, że również w najbliższej przyszłości nie ulegnie ona poprawie. Trudno więc ocenić, czy młodzi są buntownikami, konformistami, czy po prostu biernymi obserwatorami.

– Mam naiwną nadzieję, że nowe pokolenie nie będzie karmione polityką kompleksu. Nie ma powszechnej biedy i jak ktoś pojeździł trochę po świecie, to Polska na tle tego, co tam widzieli, często wygląda znacznie lepiej – ocenia Andruszkiewicz.

Ogólnie młodzież – co jest dostrzegalne po kolejnych wyborach – również nie do końca definiuje się na klasycznej osi sporu między prawicą a lewicą, co potwierdza pewną umowność konfliktu rozgrywanego w ramach systemu demokratycznego. Z racji wieku i pewnej niedojrzałości, braku doświadczenia życiowego to również grupa o zróżnicowanych poglądach i skłonna do zmiany swoich preferencji. Stanowi jednak duży potencjał mobilizacyjny, choć obarczony wysokim poziomem niezdecydowania, co czyni ją kluczową grupą decydującą o wyniku wyborczym.

MŁODZI UFAJĄ NAWROCKIEMU

„Wkrótce zobaczycie, jak młodzież popiera Karola Nawrockiego" – mówił podczas kampanii jako kandydat na prezydenta, a dokładnie na cztery miesiące przed zwycięską II turą wyborów. Przekonywał, że jest podobny do nich, a nawet jednym z nich, autentycznym reprezentantem ich interesów i ich głosem w świecie polityki.

Ogólnie prezydentura Karola Nawrockiego od samego początku jest oceniana bardzo wysoko. W lipcu to właśnie on był liderem rankingu zaufania wśród polityków. Jak wynika z sondażu CBOS, ufa mu ponad połowa Polaków (55 proc.), w tym 71 proc. wyborców w wieku od 18–24 lat. Na drugim miejscu plasują się – *ex aequo*, notując poparcie

eprasa.pl 61dfdd5e4e

na poziomie 41 proc. – Władysław Kosiniak-Kamysz i Radosław Sikorski. I jeśli dziś najmłodsza grupa badanych źle ocenia np. Sejm (47 proc.), to aż 81 proc. respondentów z tej grupy pozytywnie ocenia prezydenta. To wzrost, bo we wrześniu ub.r. głowę państwa najlepiej oceniało 73 proc. badanych z tej grupy wiekowej. Jest to zatem potwierdzenie, że odwrócili się od polityków



> Chcemy, by było to wydarzenie otwarte, pluralistyczne pod kątem idei, zarówno jeśli chodzi o tematykę, jak i uczestników, bo absolutnie nikogo nie wykluczamy – mówi minister Andruszkiewicz o spotkaniu młodych z prezydentem w Juracie

nachalnie lansowanych w liberalnych mediach, którzy jeszcze niedawno budowali swój kapitał na demagogicznej walce z prawicą i zwalczaniu prezydenta. To on, jako podobny do wielu z nich chłopak z gdańskiego osiedla, okazał się najbardziej autentyczny, później potwierdzając to odważnymi, czasem wręcz buńczucznymi decyzjami, zapowiadanymi wszak we wcześniej składanych obietnicach.

Oczywiście mimo umowności podziałów politycznych obserwowany zwrot młodzieży ciąży obecnie ku prawicy. Częściej zdają się jednak odrzucać tradycyjne partie, kierując swoje sympatie ku liderom i formacjom odwołującym się do patriotyzmu oraz antysystemowości. To właśnie Karol Nawrocki był dla nich nową twarzą, człowiekiem raczej spoza systemu, na którym skupiała się autentyczna niechęć głównych i sprzyjających liberalno-lewicowemu establishmentowi ośrodków medialnych. Nie bez powodu kreował swój wizerunek jako człowieka dalekiego od politycznego establishmentu. To, co mówił do młodych i jak się zachowywał, nie przypominało mdłych i infantylnych prób kupienia ich sympatii, jak choćby wtedy, gdy próbowano to załatwić programem „Piątka dla zwierząt". Swój polityczny wizerunek oparł na obronie tożsamości narodowej i dbaniu o pamięć historyczną, wskazując zagrożenia dla suwerenności, twardo opowiadając się jednak za tradycyjnym modelem rodziny, krytykując system edukacji czy ochrony zdrowia. A więc deklarując obronę przed skutkami działania sił rynkowych.

Prezydent wskazywał obecne zagrożenia, m.in. ze strony neoimperialnej Rosji, i nie zgadzał się na słabnącą pozycję Polski wobec prowadzącej wojnę Ukrainy. Wiarygodnie wykreował się na obrońcę w konfliktach z Unią Europejską oraz gwaranta dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi i prezydentem Donaldem Trumpem. Akcentował nieufność wobec dalszego zacieśniania współpracy unijnej, obawiając się dalszej erozji norm społecznych.

DECYDUJĄCY GŁOS W WYBORACH

Już w pierwszej turze wyborów najmłodsi wyborcy stawili się przy urnach wyjątkowo licznie – frekwencja w tej grupie wyniosła 72,8 proc. i było to o niemal 4 proc. więcej niż dwa lata wcześniej, w rekordowych wyborach parlamentarnych w 2023 r. Wtedy głosowało 69 proc. najmłodszych wyborców i właśnie młodzi, obok kobiet, w 2023 r. byli grupą, która przeważyła o odsunięciu PiS od władzy, tak jak w 2025 r. zdecydowała o zwycięstwie kandydata popieranego przez to ugrupowanie. Ten sukces nie wziął się znikąd. Karol Nawrocki zdecydowanie wygrał wybory w grupie wiekowej 18–29 lat, uzyskując 53,2 proc. poparcia. Zwyciężył też w grupie wyborców Sławomira Mentzena, mającego największe poparcie wśród młodych w I turze, oraz w grupie wyborców Grzegorza Brauna. Udało się to, tym bardziej że od samego początku istnienia Konfederacja liczy na wykorzystanie różnicy pokoleniowej między wyborcami prawicy właśnie w rywalizacji z PiS, które jest niezmiennie popierane raczej przez starsze grupy Polaków.

Karol Nawrocki przekonał do siebie również zdecydowaną większość młodego elektoratu PiS, choć początkowo ta grupa nie wyrażała zadowolenia z poparcia tej partii dla jego kandydatury. Na Nawrockiego zagłosowało również ok. 10 proc. młodych wyborców lewicy – szczególnie Adriana Zandberga – okazując niechęć do liberalnego mainstreamu, co sprawiło, że w grupie wiekowej 18–29 lat wygrał z dużą przewagą, zręcznie przekonując do siebie elektorat ze wszystkich stron sceny politycznej. Młodzi pozostają więc elementem decydującym o wynikach demokratycznej rywalizacji. Siłą rzeczy są przyszłością, także dla samych siebie.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Walka o „duszę” wojska



PIOTR GURSZTYN

Tegoroczna defilada w święto Wojska Polskiego stanowiła największą dotychczasową prezentację potencjału naszej armii, ale jednocześnie była jeszcze większym skandalem politycznym. Pokazem bezpardonowej partyjniackiej walki o to, czyje będzie wojsko. Niestety czeka nas brutalna wojna między rządem a zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP, czyli prezydentem Karolem Nawrockim

W przypadku tego konfliktu łatwo jest wskazać winnego. Tego, kto zaczął i wybiera konfrontację zamiast szukania konsensusu. To rząd Donalda Tuska. Od kilku dni przed świętem Wojska Polskiego ekipa Tuska całkowicie jawnie sygnalizowała, że zaatakuje prezydenta – w kwestii wojska, zbrojeń i w ogóle bezpieczeństwa kraju.

„Rząd uderzy w prezydenta w Święto Wojska” – to tytuł artykułu dziennikarza słynącego z bardzo bliskiej zażyłości z politykami Koalicji Obywatelskiej, zamieszczonego na prorządowym portalu. *Expressis verbis* opisano tam intencje strony rządowej: „Pałac alergicznie reaguje na hasło defilady. Oczywiście pan prezydent jest głównym mówcą, ale to MON jest organizatorem. Hasło było oczywiście naszym pomysłem – słyszymy w rządzie”.

Przebieg święta potwierdził to wszystko. Podczas defilady hasło SAFE eksponowano w każdym możliwym kontekście, w sposób wręcz namolny. Agresywne było przemówienie Tuska wygłoszone tuż przed główną defiladą w stolicy. W ramach parady wojskowej wzywał, aby skończyć „ze złą polityką niektórych partii w Polsce”, czyli atakował opozycję przy okazji święta. „Polska będzie bezpieczna tylko wtedy, kiedy w Polsce nie będzie zdrady, skrajnej głupoty i nieodpowiedzialności” – stwierdził, aby za przejaw zdrady uznać sprzeciw wobec pożyczki SAFE.

Trzeba też przypomnieć nieustanne ataki czy wręcz obrażanie prezydenta przez wiceszefa MON Cezarego Tomczyka. To niemal poziom posłów Zembaczyńskiego i Frysztaka, z tą jednak różnicą, że mówimy tu o wiceministrze

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

eprasa.pl 61dfdd5e4e

obrony, a co najważniejsze – jednym z najbardziej zaufanych współpracowników Tuska. Można mieć 100-procentową pewność, że ataki Tomczyka nie są wyrazem jego pobudliwego charakteru, lecz częścią zaplanowanej kampanii.

KOMU UFA WOJSKO?

Jesteśmy świadkami walki o „duszę" wojska. O to, kogo poprze w wyborach większość żołnierzy, ich rodziny i ludzie ogólnie związani z obronnością. Również o to, kto w oczach całego społeczeństwa będzie uważany za lepszego gwaranta naszego bezpieczeństwa – prezydent czy rząd.

W tej walce lepszą pozycję wyjściową ma prezydent. Jest bardziej lubiany przez większą część armii, rodziny żołnierzy, a także wszystkich, którzy w ostatnich latach przeszli przez wojsko – emerytów wojskowych, byłych żołnierzy WOT i innych. Dodajmy do tego mieszkańców miast garnizonowych, których również można zaliczyć do okołowojskowego ekosystemu. Razem to ogromna masa wyborców, co najmniej setki tysięcy ludzi.

Wiadomo, że 1 czerwca 2025 r. przytłaczająca część żołnierzy głosowała na Karola Nawrockiego. Czy dzisiaj tego żałują? Nic na to nie wskazuje. Nie ma szczegółowych badań, które by pokazywały, jak w tym kręgu zmieniało się poparcie dla obecnego prezydenta. Ogólne wyniki są jednak oczywiste: w całym społeczeństwie poziom sympatii do Karola Nawrockiego wzrósł. Pokazują to badania zaufania, rewelacyjne na tle innych polityków, zwłaszcza premiera Tuska i jego ekipy.

Pamiętajmy przy tym, że był moment krytyczny dla prezydenta, jeśli chodzi o poparcie ze strony wojskowych i powiązanego z nimi świata: weto w sprawie SAFE. Nie jest tak, że cała prawicowa argumentacja w tej kwestii jest podzielana przez wojskowych. W tym środowisku dość częste było przekonanie, że wskazywane przez prawicę zagrożenia są i tak mniej poważne niż skutki tego, co może przynieść wojna. Ten częsty w wojsku pogląd można streścić następująco: taniej jest spłacać najgorszy kredyt, niż odbudowywać kraj zniszczony wojną.

W tej kwestii rząd próbował dyskredytować prezydenta najgorszymi epitetami. Bez przerwy słyszymy słowa o zdradzie polskiego munduru czy antypolskiej decyzji. Narracja brzmi „po prawicowemu" – z jednej strony może być odebrana jako groteskowa, gdy liberałowie mówią językiem, który wcześniej wyśmiewali, z drugiej dotyka jednak emocji, które są ważne dla obywateli przywiązanych do wizji państwa silnego i szanujących swoje wojsko.

Do tej agresywnej retoryki dołączył także Władysław Kosiniak-Kamysz, mimo że jako szef MON jest z urzędu skazany na ciągłą kooperację ze zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP. Wcześniej Kosiniak-Kamysz starał się zachowywać powściągliwie względem głowy państwa. Jego zaangażowanie w konflikt wskazuje, że strona rządowa uznała, iż jest to dobra okazja, aby zaszkodzić prezydentowi. Nadal panuje tam przekonanie – co było widać w czasie defilady – że weto w sprawie SAFE negatywnie odbije się na popularności prezydenta wśród żołnierzy.

Tymczasem od momentu złożenia weta, czyli 13 marca br., nic takiego się nie stało. Jest wręcz przeciwnie. W ostatnich miesiącach nastąpił wzrost notowań prezydenta i jednoczesna mocna erozja poparcia dla rządu – wręcz pik niepopularności gabinetu Tuska. „Na razie ani PSL, ani Kosiniak-Kamysz nie zyskują sondażowej premii za w sumie udane kierowanie przez lidera ludowców kluczowym resortem w trudnych czasach" – ubolewała niedawno „Gazeta Wyborcza".

Tyle że zmiany poparcia zarówno dla prezydenta, jak i rządu nie mają związku z SAFE. W tej kwestii żadnej ze stron nie udało się osiągnąć zdecydowanego sukcesu narracyjnego. Tuż po defiladzie instytut Res Futura zbadał podział komentarzy internetowych na temat sporu o SAFE. 44 proc. ankietowanych wyrażało poparcie dla prezydenta krytykującego ten program, według 56 proc. krytyka ze strony prezydenta była niesprawiedliwa. „To rzadki przypadek zbliżonego podziału przy temacie obronności – zwykle opinie są bardziej jednostronne" – podsumowali badacze Res Futura.

Nastroje społeczne potrafią się jednak zmieniać, szczególnie gdy intensywnie się na nie wpływa. Jak już wspomnieliśmy, na razie więcej atutów, jeśli chodzi o sympatie wojska, ma prezydent. Ciekawe zdarzenie miało miejsce w czasie nocnej próby przed defiladą. Prezydent odwiedził ćwiczących żołnierzy, co było ruchem bez precedensu, bo nikt wcześniej nie zrobił czegoś takiego. Ale nie to było najciekawsze. Do prezydenta ustawiła się kolejka co najmniej kilkuset żołnierzy, którzy chcieli zrobić sobie z nim zdjęcie.

SAFE I RYWALIZACJA NA PRZEMÓWIENIA

To współgra z czynnikiem, która ma swoją wagę – cechami osobowościowymi Karola Nawrockiego. Bardzo pomaga mu to, że jest rówieśnikiem wielu osób służących w wojsku, jest wysportowany, bije z niego energia. Z żalem zauważyła to „Gazeta Wyborcza": „Podczas spotkań z wojskiem zawsze nadmiernie eksploatuje struny głosowe. To przemyślana demonstracja, która ma trzy cele: zyskać wizerunkową i emocjonalną przewagę nad wyważonymi generałami, zaimponować młodym żołnierzom, którzy mają w nim widzieć swego lidera, i zepchnąć w cień polityków rządowych, przede wszystkim szefa MON-u Władysława Kosiniaka-Kamysza". Cytowany przez „GW" gen. Stanisław Koziej, człowiek ze strony przeciwnej niż prezydent, potwierdził, że to działa: „Wojsko lubi siłę, również w głosie".

Prezydentowi pomagają też kwestie strukturalne. Nie jest przypadkiem, że w wojsku dominują poglądy prawicowe. Taka jest natura armii, znaczenie ma również to, że do wojska najczęściej idą ludzie z Polski wschodniej (zza Wisły), z małych miast i wsi. Liberałowie i lewicowcy nie garną się masowo do tego, aby pójść w kamasze. Ani na żołnierzy zawodowych, bo wolą lepsze i wygodniejsze zawody, ani nawet ochotniczo do WOT (choć oczywiście istnieją też zauważalne wyjątki).

Niedawno opublikowane badania potwierdzają to zjawisko, i to w sprawie kluczowej, czyli tego, jaka jest gotowość obywateli do obrony własnego kraju. Według lipcowego badania IBRIS taką gotowość zadeklarowało 35 proc. wyborców opozycji i tylko 21 proc. zwolenników obozu rządzącego. W grupie „zdecydowanie tak" dysproporcja jest jeszcze bardziej wyraźna – 19 proc. zwolenników opozycji i tylko 6 proc. stronników rządu. Również to jest przyczyną, dla której w wojsku tak trudno spotkać osoby o poglądach liberalno-lewicowych. I wojsko dobrze o tym wie.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Dodatkowym atutem prezydenta jest ogólna niechęć do rządu z powodu jego nieudolnej polityki, a także to, że głowa państwa wygrywa pojedynki retoryczne na tematy stricte wojskowe. Coraz częściej wysuwana na plan pierwszy wiceminister Magdalena Sobkowiak-Czarnecka – twarz SAFE – jest słabą mówczynią, szczególnie w oczach wojska. Przykład: uroczystość wręczenia sztandaru 18. Stołecznej Brygady Obrony Terytorialnej. Przemówienie prezydenta było w jego stylu – energiczne, dobrze zaadresowane, wzniosłe w odpowiednim stopniu. Dobrze współgrało z nim przemówienie dowódcy brygady, co pokazuje, jaka „melodia" gra w wojsku. Wystąpienie pani wiceminister było infantylne. Zaczęła od tego, że wręczenie sztandaru to jak „osiemnastka" 18. Brygady. Tyle że jednostka istnieje cztery lata i nie jest całkowicie sformowana, więc z jakiego powodu Sobkowiak-Czarnecka mówiła o jej „pełnoletności"? Pani wiceminister chwaliła się podpisaniem umowy na zakup najnowszej wersji karabinka MSBS Grot A3, mówiąc, że żołnierze je otrzymają. Ale wojsko wie, że ich nie dostanie, bo ma już na stanie Groty A2 – wersję wcześniejszą, nowoczesną i niedawno wyprodukowaną. Czy te zupełnie nowe karabiny zostaną wyrzucone na złom?

Dużo bardziej doświadczony szef MON też wypadł słabiej w pojedynku na mowy 15 sierpnia. Jego riposta na przemówienie prezydenta nie stała się czymś, co przykryłoby przemówienie głowy państwa. Wybrzmiały słowa Karola Nawrockiego o tym, że klucze do sejfu powinny być w polskich rękach. Ten obrazowy zwrot stał się zauważalnym problemem dla rządu, o czym świadczą nerwowe odpowiedzi polityków KO. Z ich punktu widzenia lepiej by było to zamilczeć, aby wybrzmiał przekaz rządu, ale widać, że nie mogą tego ignorować. „Klucze do polskiego bezpieczeństwa są w Warszawie" – musiał zapewniać rzecznik rządu Adam Szłapka.

Wydaje się, że także tym razem rządowi nie pomogła nachalność, z jaką prezentowano hasło SAFE w czasie bardzo ważnego święta. Szczególny ogólnonarodowy charakter tego wydarzenia sprawia, że zgrzytem podczas niego jest każda próba załatwiania swoich doraźnych partyjnych interesów.

KRÓTKA PAMIĘĆ I ZAKUPY DLA ARMII

Nie jest jednak tak, że prezydent może zlekceważyć ataki rządu. One nie muszą przecież całkowicie odebrać popularności głowie państwa wśród mundurowych. Wystarczy, że straci część dotychczasowego poparcia. To będzie duży sukces koalicji i bolesna strata dla prezydenta.

Rząd występuje ze słabszej pozycji, są jednak okoliczności, które mogą mu sprzyjać. Wielu ludzi w wojsku pamięta „dokonania" ministra Klicha. Czas jednak płynie, zaciera pamięć i zmienia priorytety, które wpływają na poglądy polityczne. To samo dzieje się z pamięcią o tym, kto w poprzedniej kadencji sprzeciwiał się wzrostowi nakładów na armię czy biegał z paczkami pizzy przy granicy z Białorusią. Dzisiaj ekipa Tuska i cały liberalny świat nie pozwalają sobie na jawne ataki na wojsko. Wręcz przeciwnie – kreują się na głównych orędowników wspierania sił zbrojnych i innych służb mundurowych. To wolta podobna do przejścia od polityki resetu do ostentacyjnej rusofobii polskich liberałów.

> Wiadomo, że 1 czerwca 2025 r. przytłaczająca część żołnierzy głosowała na Karola Nawrockiego. Czy dzisiaj tego żałują? Nic na to nie wskazuje

Na dodatek to rząd dysponuje pieniędzmi i kupuje sprzęt dla armii, więc ma tło do atrakcyjnych fotografii. A jest się o co bić. Wojsku Polskiemu ufa 94 proc. Polaków, żadna inna instytucja nie cieszy się takim szacunkiem.

Rząd będzie się chwalił kolejnymi zakupami. Szef MON potwierdził doniesienia o planowanym zakupie dwóch kolejnych eskadr F-3 i w tym kontekście trzeba czytać nową narrację gabinetu. Już nie ma ataków na prezydenta Trumpa, tylko podkreślanie własnych kontaktów z amerykańską administracją i przedstawianie ich jako znakomite.

Widać, że Nawrocki wyczuwa te zagrożenia. Potwierdzeniem tego są ostatnie wizyty prezydenta. Obecność na próbie przed defiladą, a także odwiedziny w jednostce Formoza i wspólny trening z jej żołnierzami. To akurat zostało dobrze ocenione przez opinię publiczną. Komentarze w internecie (za Res Futura): 53 proc. o tym, że Nawrocki pokazał „autentyczną siłę i charakter", 47 proc., że to „obłudna pozerka, a nie troska o wojsko". Prezydent może być zadowolony z tej oceny, bo ludzie zazwyczaj krytycznie oceniają tego typu zachowania polityków, właśnie jako „obłudną pozerkę".

Wspomnijmy też nominacje generalskie. Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi nie na dziedzińcu pałacu prezydenckiego, ale na oczach całej Polski, tuż przed defiladą. To celowy ruch, w tej kwestii prezydent musiał bowiem naprawić zaniedbania własnych podwładnych. A dokładniej poprzedniego kierownictwa BBN, które z niejasnych powodów przetrzymywało wnioski awansowe i opóźniło wręczenie nominacji o kilka miesięcy. To z kolei budziło nieprzyjemne zdziwienie wśród wyższych szarż.

Nadchodzi 2027 r. To nie tylko rok wyborów w Polsce. To prawdopodobny rok przesileń w skali globalnej. Konflikt o wojsko będzie więc coraz ostrzejszy i niebezpieczny.

W ostatnim przemówieniu prezydenta znalazły się również inne ważne słowa, np. krytyka tego, że prokuratorzy ścigają obrońców granicy państwowej. W wojsku i służbach zostało to usłyszane. Były jeszcze inne ważne akcenty. Nawrocki mówił o tym, że kontynuacja polityki obronnej zmieniających się rządów jest rzeczą pozytywną i że prezydent będzie to wspierał, a także o tym, że w 1920 r. Polacy byli jeszcze mocniej podzieleni politycznie, ale potrafili zjednoczyć się w obliczu zagrożenia zewnętrznego. Takich słów nie było w wystąpieniach Tuska. On mówił o zdradzie, bez żadnych zahamowań zarzucając ją oponentom politycznym, w tym prezydentowi.

Nietrudno zagadnąć, że wojsko woli ten pierwszy przekaz.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Wypadek na drodze do Maryi



Fot. DAVID DOJCSAK/AFP/East News

Niedawno polską opinią publiczną wstrząsnął wypadek polskiego autokaru na Węgrzech, w którym zginęło 12 osób. Ta tragedia nie jest pierwszą, w której zginęli polscy pątnicy pielgrzymujący do Medjugorje



GORAN ANDRIJANIĆ

Autokar przewoził pielgrzymów wracających z Medjugorje, małej wioski w Bośni i Hercegowinie, gdzie – jak twierdzi wielu – Maryja objawia się od 1981 r. Z doniesień, które płynęły po wypadku, dowiedzieliśmy się, że autokarem podróżowało 59 osób, w tym dwóch kierowców i 57 pasażerów. Autokar wpadł do rowu, a wypadek miał miejsce w nocy z 15 na 16 sierpnia ok. godz. 1.00 na autostradzie M3 na wschodzie Węgier, niedaleko miejscowości Mezőkeresztes. Zginęło 12 osób, 10 zostało rannych, a wielu przewieziono do szpitali w węgierskich miastach Eger i Miszkolc. Dowiedzieliśmy się również, że przyczyną wypadku było najprawdopodobniej zaśnięcie kierowcy. Węgierska policja przesłuchała obu – jeden został zwolniony, a drugiego zatrzymano, co oznacza, że śledztwo trwa.

Wszyscy pielgrzymi pochodzili z Podkarpacia. Pielgrzymka wyruszyła ze Strzyżowa, jednak uczestniczyli w niej mieszkańcy całego regionu, m.in. Rzeszowa oraz powiatów strzyżowskiego, rzeszowskiego, leżajskiego i jasielskiego. Oczywiście cała Polska boleśnie przeżyła tę tragedię, ale najbardziej dotknęła ona Podkarpacie.

„Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o wypadku pielgrzymów z diecezji rzeszowskiej” – czytamy w komunikacie biskupa rzeszowskiego Jana Wątroby i biskupa koadiutora Krzysztofa Chudzi.

„Łączymy się w bólu z rodzinami wszystkich ofiar wypadku. Zapewniamy o modlitwie w intencji zmarłych i w intencji szybkiego powrotu do zdrowia dla tych, którzy zostali ranni. Rodziny oraz bliskich ofiar zawierzamy wstawiennictwu Matki Bożej Bolesnej”.

TRAGEDIA RAZY CZTERY

Tego rodzaju tragedie zawsze pozostawiają ludzi z poczuciem smutku i absurdu. Ale wypadek, w którym zginęli pielgrzymi, wracając do domu, który opuścili, by oddać cześć Najwyższemu, zdaje się rodzić jeszcze bardziej bolesne pytania. Opuszczasz rodzinę i dom, by modlić się do Boga, a wracasz w trumnie lub z ciężkimi ranami, fizycznymi i emocjonalnymi, które będziesz odczuwać do końca życia. Dlaczego?

Ten wypadek nie jest pierwszym, w którym zginęli polscy pątnicy pielgrzymujący do Medjugorje.

Pierwsza tragedia miała miejsce 1 lipca 2002 r., kiedy w wywróconym autobusie jadącym ze Stoczka we wschodniej Polsce do Medjugorje zginęło 20 pielgrzymów. Do zdarzenia również doszło na Węgrzech, w miejscowości Balatonszentgyörgy. Autokar wjechał na rondo, najechał lewym kołem na wysoki krawężnik i przewrócił się na dach.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Drugi wypadek miał miejsce w czerwcu 2007 r. w miejscowości Belád w zachodnich Węgrzech. Autokar z pielgrzymami wracał z Medjugorje do Polski, do parafii pod Bielskiem-Białą. Ok. 5.00 zjechał z drogi i dachował, zginęła jedna kobieta, 28 osób odniosło obrażenia.

Trzeci wypadek zdarzył się w sierpniu 2022 r. w mojej rodzinnej Chorwacji. Doszło do niego ok. godz. 5:40 na autostradzie A4, w położonym na północ od Zagrzebia regionie Hrvatsko Zagorje. Jadący do Medjugorje autobus zjechał z drogi i wpadł do rowu przy autostradzie, w wyniku czego zgięło 12 osób.

OD WSPÓŁCZUCIA PO ZŁOŚLIWĄ SATYSFAKCJĘ

Reakcje polskiej opinii publicznej na wszystkie te tragedie zawsze mieściły się w ramach tych samych idei i uczuć. Oprócz szczerego współczucia osobom dotkniętym tragedią czy – w przypadku osób wierzących – zadawania sobie pytań o sens cierpienia osób podążających za Bogiem mogliśmy spotkać się również z negatywnymi reakcjami, które śmiało możemy określić jako odrażające.

Byli tacy, którzy z pozycji wojującego ateizmu wręcz cieszyli się z tego, że podróżujących dotknęło nieszczęście w czasie pielgrzymki. Ich potrzeba narzucenia swojego światopoglądu była ważniejsza niż ludzkie współczucie dla cierpienia drugiego człowieka. Byli to głównie internetowi trolle, najczęściej ukrywający się za fikcyjnymi nazwiskami.

Większy problem pojawił się, gdy ta nienawiść do polskich katolików była podpisana imieniem i nazwiskiem, a do tego oczywiście doprawiona różnymi teoriami politycznymi.

Np. w sierpniu 2022 r., kilka dni po wypadku w Chorwacji, na stronie internetowej OKO.press ukazał się artykuł Piotra Pacewicza, w którym były redaktor naczelny tego portalu twierdził, iż rząd Mateusza Morawieckiego poświęcał wiele uwagi dotkniętym tragedią pielgrzymom i ich rodzinom, ponieważ byli katolikami z regionu głosującego na PiS! Oczywiście lewicowo-liberalne media nie komentują teraz pomocy udzielonej przez rząd Donalda Tuska pielgrzymom poszkodowanym w nowym wypadku. Prawdopodobnie dlatego, że – jak zauważają niektóre media – jest niewielka.

POTĘGA WIARY

Ale zostawmy sytuacje, w których polityka i ideologia bawią się ludzkim cierpieniem. Wróćmy do ważniejszego wymiaru – duchowego – który możemy odnaleźć we wszystkich wspomnianych wyżej pielgrzymkach.

Mniej więcej rok po katastrofie z 2022 r. Chorwaci z pomocą Polaków nakręcili film, który opowiada o cierpieniach pielgrzymów i zmaganiach ocalałych, walczących do dziś ze skutkami wypadku oraz utratą bliskich, ale także o świadectwie ich wiary. Miałem zaszczyt uczestniczyć w realizacji filmu jako dziennikarz i tłumacz. Do współpracy zaprosił mnie scenarzysta Vladimir Brnardić, którego żona po wypadku włączyła się w pomoc ofiarom w chorwackich szpitalach. Była świadkiem chrześcijańskiej odwagi i siły, z jaką polscy pielgrzymi przyjęli tę tragedię. Zresztą nie tylko ona, także personel szpitali, w których przebywali pielgrzymi. Kilka dni po tragicznych zdarzeniach jeden z najpoczytniejszych chorwackich dzienników opublikował wywiad z jednym z pielgrzymów – Markiem Strużyńskim z Konina.

Marek stracił w wypadku żonę Ewę. Pojechali do Medjugorje, aby podziękować Bogu za dziecko, które mieli adoptować. Ta rozmowa, w której Marek z wielką wiarą mówił o nieszczęściach, jakie go spotkały, była świadectwem i odbiła się głośnym echem w Chorwacji, nie tylko wśród osób wierzących, lecz także wśród osób odległych od religii. Ten wywiad, a także doświadczenia pozostałych pielgrzymów zainspirowały Brnardicia do napisania scenariusza i nakręcenia dokumentu.

Pracując nad filmem, spotkałem Marka i jego teściów, Małgorzatę i Adama Pochanków, rodziców Ewy, którzy również podróżowali do Medjugorje, a także innych pielgrzymów. Przez cały czas towarzyszyło mi jedno wrażenie: to ludzie, których ten wypadek zbliżył do Boga i jego woli co do ich życia.

Nawiązałem też kontakt z bratem Stefanem Banaszczukiem, franciszkaninem konwentualnym, który zorganizował pielgrzymkę przerwaną wypadkiem w 2002 r. Rozmawiając z br. Stefanem, który zabrał do Medjugorje dziesiątki osób, będących w trudnej sytuacji życiowej, uświadomiłem sobie ważną rzecz. Jak pielgrzymi ranni w wypadku w Chorwacji byli dla moich rodaków potężnym świadectwem spokoju i siły, tak samo było z pielgrzymami rannymi w wypadku 20 lat wcześniej. Brat opowiedział mi o sytuacji, gdy dziewięcioletniego chłopca, który przeżył wypadek, ale stracił w nim rodziców oraz siostrę, zapytano, czego potrzebuje, on zaś odpowiedział, że nie ma różańca. Dalma Mádl, ówczesna pierwsza dama Węgier, która odwiedziła wtedy chłopca w szpitalu, gdy usłyszała o zachowaniu rannych pielgrzymów, rozpłakała się. Wręczyła franciszkaninowi różaniec otrzymany w prezencie od św. Jana Pawła II i powiedziała: „Módlcie się za Węgrów, żeby mieli taką wiarę jak wy, Polacy".

Nie należę do tych, którzy romantyzują cierpienie. Wiem, że we wszystkich wypadkach, które się wydarzyły, mamy do czynienia z autentyczną ludzką tragedią, z ludźmi, którzy cierpią z powodu jej strasznych konsekwencji. Ale – i warto o tym wiedzieć – są tacy, którzy przyjęli tę tragedię jako swój krzyż i znaleźli w niej spokój. Jestem pewien, że wśród pielgrzymów, którzy ucierpieli w niedawnym wypadku, również można ich znaleźć. Jestem pewien, że wkrótce się o nich dowiemy.

To wszystko oczywiście nie oznacza, że nie powinniśmy myśleć o tym, jak zapobiegać takim tragediom. Obecnie najliczniejszą grupą pielgrzymów w Medjugorje są Polacy i jestem pewien, że to się szybko nie zmieni. Może jednak nadszedł czas, aby organizatorzy pielgrzymek zaczęli myśleć o unikaniu nocnych przejazdów do Bośni i Hercegowiny, które są ewidentnie zbyt dużym obciążeniem dla kierowców.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Szkoła po nowemu

1 września 2026 r. polska szkoła zaczyna największą od lat operację zmian. Nowa podstawa programowa, nowe przedmioty, zakaz używania telefonów, obowiązkowa edukacja zdrowotna, nieobowiązkowa edukacja seksualna, tydzień projektowy, zmiany na stołówkach – lista jest długa



DOROTA ŁOSIEWICZ

Kluczowa reforma, czyli „Kompas Jutra", nie obejmie wszystkich uczniów jednocześnie. Przez kilka lat w jednej szkole będą funkcjonować równolegle dwa systemy programowe. Warto przypomnieć, że „Reforma26. Kompas Jutra" była przygotowywana jako ustawa, jednak 18 grudnia 2025 r. prezydent Karol Nawrocki ją zawetował. Prezydent zwrócił wtedy uwagę, że konsultował „Kompas Jutra" z nauczycielami, rodzicami i organizacjami oświatowymi. „Po rozmowach z nimi i ich apelach nie mogę wyrazić zgody na taką ustawę. To reforma prowadząca do chaosu i eksperymentowania na całych rocznikach dzieci" – wyjaśnił Nawrocki. Mimo to już dzień później minister Barbara Nowacka ogłosiła, że planowana przez nią reforma edukacji i tak wejdzie w życie, jednak nie poprzez ustawę, lecz w drodze rozporządzeń.

Ministerstwo Edukacji Narodowej przekonuje, że szkoła ma odejść od przeładowania uczniów teorią i pamięciowego uczenia się na rzecz praktyki, samodzielności, krytycznego myślenia i współpracy. Wielu ekspertów uważa jednak, że „Kompas Jutra" to dewastacja edukacji i odejście od wiedzy. Rzućmy okiem na wszystkie zmiany czekające uczniów i rodziców, nie tylko te wynikające z „Kompasu Jutra".



KONIEC TELEFONU NA PRZERWIE

Najbardziej odczuwalną dla uczniów zmianą będzie ustawowy zakaz korzystania z telefonów komórkowych i innych urządzeń pozwalających na komunikowanie się albo rejestrowanie obrazu i dźwięku. Od 1 września zakaz obejmie przedszkola oraz szkoły podstawowe. Będzie obowiązywał nie tylko na lekcjach, lecz także na przerwach, w świetlicach i podczas pobytu na terenie szkoły oraz podczas zajęć organizowanych poza nią. Telefon będzie można przynieść, ale korzystanie z niego będzie możliwe wyłącznie w określonych sytuacjach, m.in.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 61dfdd5e4e

ze względów zdrowotnych, w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia albo na polecenie nauczyciela w celach dydaktycznych. Szczegóły przechowywania urządzeń określą szkoły. Mogą pojawić się zamykane szafki, organizery czy depozyty. Naruszenie zakazu może skutkować konsekwencjami wychowawczymi, karami statutowymi, a nawet obniżeniem oceny z zachowania. W szkołach ponadpodstawowych ogólnopolskiego zakazu nie będzie. O zasadach korzystania z telefonów zdecyduje statut konkretnej placówki.

W przypadku przedszkoli przepisy idą jeszcze dalej – dzieci nie będą mogły wnosić tego typu urządzeń na teren placówki. To element wyraźniejszego zwrotu w stronę higieny cyfrowej. MEN chce, aby najmłodsi więcej czasu poświęcali na ruch, zabawę, rozmowę i współpracę, a mniej spędzali go przed ekranem. Technologia nie znika jednak całkowicie. Nauczyciel będzie mógł wykorzystywać urządzenia w celach dydaktycznych, ale mają być one narzędziem, a nie podstawowym środowiskiem funkcjonowania dziecka.



NOWA PODSTAWA, DWA SYSTEMY

Od września nowa podstawa programowa zacznie obowiązywać we wszystkich przedszkolach oraz w klasach I i IV szkół podstawowych. W kolejnych latach reforma będzie obejmowała następne roczniki. Oznacza to, że przez kilka lat w jednej szkole będą panowały dwa porządki. Czwartoklasiści dostaną nowe podręczniki i będą pracowali według nowych zasad, podczas gdy starsze klasy pozostaną przy dotychczasowej podstawie. Przez kilka lat biblioteki szkolne – podobnie jak nauczyciele – będą więc obsługiwać dwa systemy. Nie zmieni się natomiast od razu egzamin ósmoklasisty. Nowa formuła ma się pojawić dopiero w 2031 r. W przypadku techników nową maturę przewidziano od 2032 r. Tegoroczna reforma jest więc dopiero początkiem kilkuletniej przebudowy.

Reforma zakłada mniej teorii, a więcej praktycznego działania, pracy projektowej, rozwiązywania problemów i krytycznej analizy informacji. W klasach I–III większy nacisk zostanie położony na kompetencje językowe, matematyczne, cyfrowe i ruchowe. W starszych klasach pojawią się również treści dotyczące bezpieczeństwa, mediów, filozofii, ekonomii i finansów, klimatu oraz kultury.

Od września szkoły będą mogły organizować tzw. tydzień projektowy w klasach IV–VIII. Na początku będzie to rozwiązanie dobrowolne. Obowiązek zostanie wprowadzany stopniowo, a od roku 2030/2031 obejmie wszystkie klasy IV–VIII. Tydzień projektowy ma trwać pięć dni – zamiast tradycyjnych lekcji uczniowie będą pracować nad projektami zespołowymi łączącymi wiedzę z różnych przedmiotów. Najpierw problem i cel, potem plan działania, realizacja i publiczna prezentacja efektów.

Skoro szkoła ma stawiać na doświadczenia i praktykę, potrzebuje odpowiedniego wyposażenia. Dlatego w latach 2026–2029 na program „Pracownie Kompas Jutra" przeznaczono 200 mln zł. Pieniądze mają zostać wykorzystane na organizację pracowni przyrodniczych oraz sal do zajęć praktyczno-technicznych. To jeden z kluczowych warunków powodzenia reformy. Trudno wszak przeprowadzać eksperymenty bez sprzętu, uczyć praktyki bez pracowni i prowadzić zajęcia terenowe bez możliwości ich organizacji.



CZWARTOKLASISTA DOSTANIE INNY PLAN LEKCJI

W pierwszym roku reformy największe zmiany organizacyjne odczują uczniowie klas IV. Pojawi się nowa przyroda, która docelowo w klasach IV–VI będzie realizowana w wymiarze trzech godzin tygodniowo. Zajęcia mają być prowadzone w blokach co najmniej dwugodzinnych, aby można było przeprowadzać doświadczenia, obserwacje i zajęcia terenowe. Przyroda ma łączyć wiedzę z biologii, geografii, fizyki i chemii. Uczyć jej będą mogli nauczyciele posiadający kwalifikacje w tych dziedzinach. Dotychczasową technikę zastąpią zajęcia praktyczno-techniczne – dwie godziny tygodniowo, również w blokach. Zmiana ma oznaczać więcej praktyki, a mniej nauki o praktyce.



EDUKACJA OBYWATELSKA ZAMIAST WOS

W klasach VI–VII pojawi się edukacja obywatelska – po jednej godzinie tygodniowo. Zastąpi ona dotychczasowy WOS, realizowany w klasie VIII. Założenie jest takie, by uczeń nie tylko znał definicje dotyczące państwa i społeczeństwa, lecz także potrafił funkcjonować jako świadomy obywatel: rozpoznawał manipulacje, oceniał informacje, rozumiał mechanizmy życia publicznego i potrafił uczestniczyć w życiu społecznym. W epoce mediów społecznościowych i sztucznej inteligencji takie kompetencje są niewątpliwie potrzebne. Problemem pozostaje, jak uczyć obywatelskości, tak aby lekcja nie stała się kolejnym polem politycznego sporu.



WIĘCEJ PIERWSZEJ POMOCY, MNIEJ TEORII STRZELECTWA

Szkoła ma również lepiej przygotowywać uczniów na sytuacje kryzysowe. W klasach IV–VIII przynajmniej jedna godzina wychowawcza w miesiącu ma być poświęcona zasadom bezpiecznego zachowania w sytuacjach zagrożenia w czasie pokoju i wojny. W edukacji dla bezpieczeństwa większy nacisk zostanie położony na pierwszą pomoc i przetrwanie w terenie, a mniejszy na teorię strzelectwa. To zmiana dobrze wpisująca się w czasy, w których bezpieczeństwo przestało być dla młodych ludzi abstrakcyjnym pojęciem z podręcznika.



EDUKACJA ZDROWOTNA OBOWIĄZKOWA

Od tego roku szkolnego edukacja zdrowotna będzie obowiązkowa w klasach IV–VIII – po jednej godzinie tygodniowo. Program obejmie zdrowie fizyczne, psychiczne, społeczne i środowiskowe, aktywność ruchową, odżywianie, pierwszą pomoc, dojrzewanie, profilaktykę uzależnień oraz higienę cyfrową. W szkołach ponadpodstawowych pojawią się także treści dotyczące funkcjonowania systemu ochrony zdrowia.

Zajęcia będą mogli prowadzić m.in. nauczyciele biologii, przyrody i WF, psychologowie szkolni oraz osoby posiadające odpowiednie kwalifikacje. Treści dotyczące zdrowia seksualnego zostały wyodrębnione jako nieobowiązkowe,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 61dfdd5e4e

jednak m.in. eksperci Ordo Iuris podkreślają, że to usypiający czujność fortel! „W rzeczywistości treści dotyczące ideologii gender i postulatów ruchu LGBT wcale nie zniknęły z podstawy programowej. Zostały umieszczone w innych modułach, m.in. pod szyldem »praw człowieka« i »przeciwdziałania dyskryminacji« – czyli w części obowiązkowej, z której nie można wypisać dziecka" – czytamy na platformie X. Ordo Iuris alarmuje, że to nie koniec problemów. W podstawie programowej edukacji zdrowotnej małżeństwo zrównano ze związkami nieformalnymi, a rozwód przedstawiono jako „normalną" życiową zmianę, macierzyństwo pojawia się głównie jako zagrożenie dla zdrowia psychicznego kobiety, zniknął zapis o szacunku dla życia „od poczęcia do naturalnej śmierci", obecny wcześniej w WDŻ, a uczniowie mają przyswajać jedną, narzuconą narrację o klimacie i „mowie nienawiści".

Ordo Iuris podkreśla, że w ub.r. aż 70 proc. uczniów wypisało się z tego przedmiotu i była to społeczna klęska flagowego projektu minister Nowackiej. Teraz rząd próbuje jednak przełamać opór rodziców metodą małych kroków – najpierw uspokoić, potem stopniowo domykać system. Także Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły protestuje przeciw wprowadzeniu do szkół od 1 września 2026 r. antyrodzinnych treści w ramach „edukacji zdrowotnej", i to w formie obowiązkowej. Jednocześnie wzywa rodziców do wypisywania dzieci z nieobowiązkowego przedmiotu „edukacja zdrowotna – zdrowie seksualne".

11 NOWYCH ZAWODÓW

Zmiany obejmą także szkolnictwo branżowe. Od września szkoły będą mogły kształcić w 11 nowych zawodach. Wśród nich znalazły się m.in. technik cyberbezpieczeństwa, technik optoelektroniki, technik optyki okularowej, agroogrodnik, asystent florystyczny, ogrodnik terenów zieleni czy technik architektury krajobrazu i arborystyki. Nie oznacza to jednak, że wszystkie te kierunki pojawią się w szkołach od razu. Potrzebni są uczniowie, nauczyciele, pracownie i zainteresowani pracodawcy. Jednocześnie część dotychczasowych zawodów będzie wygaszana lub modyfikowana. To próba dostosowania szkolnictwa zawodowego do rynku pracy, choć ten zmienia się szybciej niż szkolne rozporządzenia.

NOWA SZKOŁA DLA UCZNIÓW Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIĄ

Od września nowa podstawa programowa obejmie uczniów z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym lub znacznym we wszystkich klasach. Model ma być bardziej funkcjonalny i dostosowany do codziennych potrzeb ucznia. Wprowadzono sześć obszarów: porozumiewanie się, edukację środowiskową, społeczną, osobistą i zdrowotną, edukację artystyczną oraz WF. Większy nacisk zostanie położony m.in. na kompetencje językowe, matematyczne, społeczne, zdrowotne i cyfrowe. To podejście zakłada, że szkoła ma przede wszystkim pomagać uczniowi możliwie samodzielnie funkcjonować w realnym świecie.

REWOLUCJA NA SZKOLNYCH STOŁÓWKACH

Od września zmienią się również zasady żywienia dzieci. Zaostrzone zostaną normy dotyczące cukru i soli w produktach sprzedawanych w sklepikach i automatach. Przekąski będą mogły zawierać maksymalnie 10 g cukru i 1 g soli na 100 g produktu. Jedyną dopuszczoną czekoladą będzie gorzka, zawierająca co najmniej 70 proc. kakao. Napoje przygotowywane w kuchni, takie jak kompot czy herbata, będą mogły zawierać maksymalnie 5 g cukru na 250 ml. Znikną koncentraty spożywcze i gotowe mieszanki przypraw z glutaminianem sodu. Pojawi się również obowiązkowy „Zielony Dzień": co najmniej raz w tygodniu obiad ma być w 100 proc. roślinny, bazujący na strączkach i kaszach. Smażenie zostanie ograniczone do dwóch razy w tygodniu.

Zdrowa szkoła ma się więc zaczynać nie tylko od zdrowej lekcji, lecz także od zdrowego obiadu. Tyle że między rozporządzeniem a talerzem jest jeszcze kuchnia, budżet i kilkuset uczniów z bardzo różnymi gustami.

„KOMPAS JUTRA" CZY SZKOŁA BEZ KOMPASU?

Od września będzie więc sporo zmian. Jeśli jednak chodzi o kluczową reformę, czyli „Kompas Jutra", to MEN mówi o szkole wolnej od nadmiaru teorii, nastawionej na kompetencje, samodzielność, projekty i praktyczne umiejętności. Brzmi nowocześnie. Tyle że krytycy reformy zwracają uwagę, że w tej opowieści łatwo zgubić wiedzę.

Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły zarzuca autorom reformy, że zastępowanie konkretnych treści nauczania ogólniej opisanymi „efektami uczenia się" i „doświadczeniami edukacyjnymi" może w praktyce oznaczać rozmycie tego, czego szkoła ma nauczyć. Koalicja ostrzega również przed osłabieniem funkcji kulturowej szkoły – przekazywania historii, literatury, tradycji i wspólnego kodu kulturowego. Jej eksperci twierdzą wręcz, że szkoła może przestać być przede wszystkim miejscem zdobywania wiedzy, a stać się narzędziem kształtowania określonych postaw i kompetencji.

MEN przedstawia sprawę odwrotnie: przekonuje, że nowa podstawa ma być bardziej przejrzysta, praktyczna i spójna, a ograniczenie szczegółowych treści ma uwolnić nauczycieli od konieczności realizowania przeładowanego programu i pozwolić im rzeczywiście uczyć. Ale właśnie dlatego warto postawić pytanie, na które nie odpowie żadna ministerialna prezentacja: czy można zbudować szkołę przyszłości, ograniczając to, co szkoła ma przekazać z przeszłości?

Bo kompetencje bez wiedzy mogą się okazać tylko pustym hasłem. By krytycznie analizować informacje, trzeba posiadać wiedzę pozwalającą odróżnić informację od manipulacji. By samodzielnie rozwiązywać problemy, trzeba mieć z czego budować własne rozumowanie. By dyskutować o państwie, kulturze czy historii, trzeba znać własną historię, kulturę i podstawowe fakty. A żeby być odpornym na propagandę, trzeba najpierw posiadać coś więcej niż zestaw uniwersalnych kompetencji. I wtedy może się okazać, że największym problemem „Kompasu Jutra" nie jest to, dokąd prowadzi polską szkołę, lecz to, od czego ją oddala.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Przymierze ludu i niebios Anno Domini 1956

26 sierpnia mija 70 lat od złożenia Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego. Jakie było ich znaczenie? Czy zostały one wypełnione? Czy pozostają aktualne?



GRZEGORZ GÓRNY

Ten widok przypominał sceny ze Starego Testamentu. Był jakby żywcem wyjęty z Księgi Nehemiasza, gdy w 444 r. przed Chrystusem kapłan Ezdrasz stanął na podwyższeniu przed Bramą Wodną w Jerozolimie, by odczytać Prawo Boże, a zgromadzony lud zakrzyknął: „Amen!, amen!", co znaczy: „Niech tak się stanie". Dokładnie 2,4 tys. lat później, 26 sierpnia 1956 r., wokół jasnogórskich murów zgromadziło się około miliona wiernych, którzy po każdym wezwaniu głównego celebransa powtarzali: „Królowo Polski, przyrzekamy!"

PRZYMIERZE NARODU Z BOGIEM

Paralela nie była przypadkowa. Pomysłodawca wydarzenia, prymas Stefan Wyszyński, hołdował biblijnej koncepcji narodu. W jego ujęciu był to lud pielgrzymujący przez dzieje i w tej wędrówce zawierający przymierza z Bogiem. Na początku owe uroczyste akty dotyczyły jedynie Izraelitów jako ludu wybranego. Tak było za czasów Mojżesza pod Synajem czy Jozuego w Sychem, gdy cały naród stawał przed Panem i publicznie zobowiązywał się do dochowania wierności Najwyższemu. Po Chrystusie jednak każdy naród, który przyjmował chrześcijaństwo, stawał się przez to na swój sposób wybrany i mógł zawierać przymierza z Bogiem. Dotyczyło to również Polski, która jako wspólnota wynurzyła się z wód chrzcielnych piastowskiego księcia Mieszka I.

Według prymasa takim rodzajem przymierza były m.in. śluby Jana Kazimierza. Stefan Wyszyński uświadomił sobie znaczenie tego wydarzenia, gdy został uwięziony przez komunistów. Władze co jakiś czas zmieniały miejsce jego pobytu, obawiając się, że wierni mogą uwolnić dostojnika. 6 października 1954 r. kardynał trafił do Prudnika na Śląsku Opolskim. Czytając w celi „Potop" Sienkiewicza, przypomniał sobie, że niedaleko miejsca, w którym się znajdował, 300 lat wcześniej przebywali król Jan Kazimierz i prymas Wacław Leszczyński. Obaj schronili się na południu kraju przed Szwedami, by wspólnie radzić, jak ratować ojczyznę przed najeźdźcami ze Skandynawii.

28 października 1955 r. prymas został przewieziony z Prudnika do Komańczy. Podróżował na wschód tym samym szlakiem, którym 300 lat wcześniej podążał do Lwowa Jan Kazimierz. Po drodze przejeżdżał m.in. obok przełęczy, gdzie według opisu Sienkiewicza król został ocalony od śmierci przez górali. Po tamtym zdarzeniu uratowany władca postanowił ogłosić Maryję Królową Polski. Tak doszło do ślubów, złożonych przez monarchę we lwowskiej katedrze 1 kwietnia 1656 r.

Oprócz aktu intronizacji miały one jeszcze jeden wymiar. Otóż król był przekonany, że nieszczęścia spadające na jego państwo w postaci zaraz i wojen są wynikiem grzechów powodujących „łzy i uciśnienia ludzi wiejskiego stanu". Dlatego podczas ślubów złożył uroczystą obietnicę: „Użyję troskliwie wszelkich środków dla odwrócenia tych nieszczęść i postaram się, aby lud królestwa mojego od uciemiężenia i niesprawiedliwych ciężarów był oswobodzony".

MARYJNOŚĆ JAKO FUNDAMENT

Seria klęsk, które spadły na Polskę po 1939 r., przypominała prymasowi Wyszyńskiemu ciąg nieszczęść, które dotknęły Rzeczpospolitą w XVII w. Doświadczony cierpieniami naród czerpał wówczas siłę do przeciwstawienia się wrogom z odnowienia swego przymierza z Bogiem. Takim aktem podczas potopu szwedzkiego okazały się śluby Jana Kazimierza, poprzedzone zwycięską obroną Jasnej Góry.

W związku z tym w „Zapiskach więziennych" kardynał pisał: „Za kilka dni Polska rozpocznie niezwykły Rok Jubileuszowy: 300 lat obrony Jasnej Góry. Gdy w listopadzie 1655 r. fale »potopu« dosięgły wałów Jasnej Góry, ojciec Augustyn Kordecki tak mówił na wstępnej naradzie do zakonników i szlachty: »Szydzi z nas i pogardza nami nieprzyjaciel, pytając, co nam z dawnych cnót pozostało. A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowana być może...« (Henryk Sienkiewicz, »Potop«). [...]

Warto myśleć o »obronie Jasnej Góry« roku 1955. – Jest to obrona duszy, rodziny, Narodu, Kościoła – przed zalewem nowych czarów. Moja »Jasna Góra« ściśniona zewsząd wałem udręki;

eprasa.pl 61dfdd5e4e



walą pociskami »zabobonu« i »wstecznictwa« – w »Kurnik«. Przed 300 laty »Kurnik« ocalał i trwa do dziś dnia.

»Obrona Jasnej Góry« dziś – to obrona chrześcijańskiego ducha Narodu, to obrona kultury rodzimej, obrona jedności serc ludzkich – w Bożym Sercu, to obrona swobodnego oddechu człowieka, który chce wierzyć bardziej Bogu niż ludziom, a ludziom – po Bożemu".

Prymas Wyszyński, zainspirowany wydarzeniami opisanymi przez Sienkiewicza, w celi w Komańczy w ciągu jednego poranka, 16 maja 1956 r. (w dzień wspomnienia św. Andrzeja Boboli), bez żadnych poprawek, jakby w natchnieniu, napisał tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego. Na początku zamierzał odczytać je publicznie dopiero po uwolnieniu, jednak odwiodła go od tego Maria Okońska – najbliższa współpracownica kardynała. Przekonała go zdaniem, że św. Paweł pisał swoje najważniejsze listy z więzienia.

NIEWIASTA Z APOKALIPSY

Śluby ułożone przez prymasa – podobnie jak ten wygłoszony przez Jana Kazimierza – były inwokacją skierowaną nie bezpośrednio do Boga, lecz do Maryi. Niektórzy widzieli w tym odwołanie do tradycji patriotycznej, w której Matce Bożej przysługiwał tytuł nie tylko Królowej Polski, lecz także Hetmanki Wojsk Polskich. Perspektywa zaprezentowana przez kardynała była jednak nie tyle narodowa, ile religijna, a ściślej mówiąc: biblijna i apokaliptyczna.

Stefan Wyszyński, który w 1948 r. był świadkiem odchodzenia z tego świata swego poprzednika na tronie prymasowskim, zostawił nam następujące wspomnienie: „Ostatnie godziny życia Kardynała Augusta Hlonda wiążą się z jakimś niezwykłym stanem duchowego napięcia, jak gdyby proroczej wizji. […] Powtarzał: »Módlcie się! Idą czasy trudne, czasy ciężkie. Nie ustawajcie w modlitwie. Wołajcie! Zwycięstwo, gdy przyjdzie, będzie to zwycięstwo Matki Najświętszej«. […] Widział potworny zamęt w przestworzach, jak ongiś oglądał to święty Jan Ewangelista na wyspie Patmos, gdy w Apokalipsie pisał o wstrząsającym widowisku walki smoka z Niewiastą, czyhającego na Jej Dziecię, które miała porodzić. […] Zapewne wtedy, widząc Jej zwycięstwo, wlewał otuchę w tych, których pozostawiał, którzy mieli dalej toczyć walkę ze smokiem ognistym".

Skoro prymas traktował konfrontację z marksizmem nie tylko w kategoriach walki politycznej czy ideowej, lecz także jako apokaliptyczne starcie między smokiem ognistym a Niewiastą i jej potomstwem, nic zatem dziwnego, że broń użyta w tym nadprzyrodzonym starciu musiała mieć charakter duchowy. Strategia walki z siłami demonicznymi powinna się więc opierać na wsparciu ze strony Dziewicy, która zetrze stopą głowę węża.

WOJNA DUCHOWA I ETYKA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Śluby jasnogórskie były szokiem dla komunistów. Tekst napisany przez prymasa został przemycony z Komańczy i trafił na Jasną Górę. Z paulińskiego klasztoru konspiracyjnymi kanałami rozesłano zaproszenie do wszystkich parafii w Polsce. Frekwencja przekroczyła wszelkie oczekiwania organizatorów. 26 sierpnia 1956 r., w święto Matki Bożej Częstochowskiej, pod wałami jasnogórskimi zjawiło się około miliona ludzi.

Pod nieobecność prymasa liturgię celebrował bp Michał Klepacz. Odczytany przez niego tekst nie miał charakteru ślubów zakonnych, lecz przypominał raczej biblijne przymierze. Nie zwracał się do Boga z prośbą o pomoc, nie błagał o ratunek, lecz podejmował zobowiązania. Nie liczył na cud, ale wzywał do pracy nad sobą i do przyjęcia odpowiedzialności za swój los. Wyszyński, świadomy grzeszności narodu, pisał, że Polacy stają przed obliczem Maryi „pełni skruchy, w poczuciu winy".

To wyraźny kontrast w porównaniu z postępowaniem biskupów polskich, np. podczas niedawnej pandemii. Zabrakło wówczas interpretacji tego wydarzenia w perspektywie nadprzyrodzonej. Jeśli już wzywano Boga, to w formie suplikacji, gdzie powtarzały się wezwania: zmiłuj się nad nami, wybaw nas, zachowaj nas, wysłuchaj nas. Brakowało natomiast (jak było zawsze przez wieki, gdy szalały różne plagi i zarazy) nabożeństw przebłagalno-pokutnych czy aktów ekspiacji – tak jakby nie było grzechów, za które społeczność mogłaby przepraszać Boga. Świadomość takich win miał Jan Kazimierz, gdy składał swe śluby we Lwowie. Zabrakło też zobowiązań na wzór tych, które zawarł w swym tekście prymas Wyszyński.

Choć autor przebywał w więzieniu, nie wzywał do walki politycznej z komunistami, lecz do walki z grzechami osobistymi i wadami narodowymi. Pisał o czystości, wierności, prawdomówności, uczciowości, trzeźwości czy pracowitości. Upominał się o nierozerwalność małżeństwa, godność kobiet czy ochronę życia nienarodzonych (warto pamiętać, że tekst ślubów powstał 19 dni

Fot. East News

eprasa.pl 61dfdd5e4e



po uchwaleniu przez Sejm PRL ustawy legalizującej aborcję na życzenie). Odpowiedzią na zagrożenia miało być życie sakramentalne, wierność małżeńska, wychowywanie dzieci w wierze, uczciwa praca czy solidarność. Prymas uważał, że droga do wolności zewnętrznej wiedzie poprzez wolność wewnętrzną, a bieg historii można zmienić przez nawrócenie serc, a nie tylko przez reformy instytucjonalne.

AKT NADPRZYRODZONEJ NADZIEI

Kard. Wyszyński zwracał uwagę na rozdźwięk między deklarowaną wiarą a praktykowaniem jej w życiu codziennym. Komentując śluby, mówił: „Naród polski składał już wiele razy swe ślubowania; chociaż dochował wiary Kościołowi, to jednak nie wyzbył się wielu nałogów i wad narodowych, które nie dadzą się pogodzić z postawą Narodu wierzącego". Innym razem dodawał: „Umiemy trwać godzinami w świątyniach [...], ale ulegamy łatwo najsłabszym nawet podnietom do grzechów i występków. Jesteśmy duchowo rozdwojeni, rozbici psychicznie, a stąd pozbawieni stylu życia i charakteru narodowego".

Do tego wyjątku nawiązał bp Czesław Falkowski, który wygłosił homilię podczas ślubów jasnogórskich. Mówił wówczas: „Przed tysiącem lat wszedł Chrystus w pośród nas, w dzieje nasze. Obmył nas z pogaństwa przez Chrzest, wprowadził do Kościoła, który jest stróżem wiary prawdziwej. Wytknął nam posłannictwo dziejowe – trudne, ale zaszczytne: bronić chociażby krwią własną Ołtarzy Pańskich, Ewangelii i wiary świętej. Żyć wiarą – to zerwać z grzechem śmiertelnym. Zerwać z tragicznym rozdźwiękiem między wiarą a postępowaniem – Bóg nie znosi wiary letniej, połowicznej. [...] Bracia! Siostry! Z Polski będziemy czynić nie kawał skrawionego błota, cuchnącego wódką i niewiarą, ale lud Boży, lud nabyty krwią Zbawiciela i miłością Matki, Królowej Narodu Polskiego. Nadszedł czas odnowienia w pełni Ślubów Narodu".

> Śluby jasnogórskie były szokiem dla komunistów. Tekst napisany przez prymasa został przemycony z Komańczy i trafił na Jasną Górę. Z paulińskiego klasztoru konspiracyjnymi kanałami rozesłano zaproszenie do wszystkich parafii w Polsce. 26 sierpnia 1956 r. pod wałami jasnogórskimi zjawiło się około miliona ludzi

Tym, co nawet po latach uderza czytelnika ślubów, jest brak choćby cienia rozpaczy. Polska była wówczas zniewolona, Kościół prześladowany, prymas aresztowany, z tekstu przebija jednak pewność, że Bóg jest panem historii, a Maryja nie opuści swojego ludu. Z aktu emanowała nadprzyrodzona nadzieja, którą prymas chciał wlać w serca wiernych.

WSPÓLNOTOTWÓRCZE DOŚWIADCZENIE

Śluby jasnogórskie miały niezwykły potencjał wspólnototwórczy. Były wydarzeniem pokoleniowym, które odcisnęło piętno na całej generacji Polaków. Zatomizowany naród skorzystał z pierwszej od wielu lat szansy, by policzyć się, poczuć swoją moc, zademonstrować jedność. To doświadczenie formacyjne przydało się później, dając siłę do życia w prawdzie i stawiania oporu systemowi.

Ze szkoły prymasa Wyszyńskiego wyjdzie też Karol Wojtyła, który jako papież przeniesie później najbardziej twórcze praktyki duszpasterskie z lokalnego Kościoła w Polsce na poziom Kościoła powszechnego.

Oceniając śluby jasnogórskie z dzisiejszej perspektywy, można powiedzieć, że katolicy w Polsce częściowo wywiązali się z podjętych wówczas zobowiązań, a częściowo im nie sprostali. Traktowane jako rachunek sumienia narodu, po 70 latach zachowują aktualność. Być może gdyby prymas żył, inaczej rozłożyłby akcenty i więcej miejsca poświęcił kryzysowi rodziny, indywidualizmowi, konsumpcjonizmowi, relatywizmowi moralnemu czy nowym rodzajom uzależnień, zasadniczy cel pozostałby jednak ten sam: odnowa moralna narodu przez nawrócenie sumień.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Złapał Kozak Moskwicina…

Ukraińskie siły zbrojne metodycznie atakują wielkopowierzchniowe magazyny rosyjskiego giganta handlu internetowego Wildberries. Powód jest oczywisty – łatwo je trafić, a koszty ekonomiczne tych uderzeń dla samej firmy i rosyjskich przedsiębiorców są gigantyczne. Polityczne efekty mogą być natomiast znaczące przed wrześniowymi wyborami do Dumy Państwowej, bo Rosjanie, widząc ogromne pożary, zrozumieli, że wojna przyszła również do nich



MAREK BUDZISZ

W ciągu miesiąca, od kiedy drony dalekiego zasięgu zaczęły eksplodować, wzniecając pożary w ośrodkach logistycznych Wildberries, Ukraińcy spalili 23 centra dystrybucyjne tej firmy, znajdujące się w 16 regionach Rosji. Oznacza to, że zniszczono już szacunkowo 22–23 proc. powierzchni magazynowych tego największego w Federacji operatora usług e-commerce, którego udział w rynku jest szacowany na 54 proc. Straty samej firmy są gigantyczne, a eksperci Polymarket, oceniający ryzyko upadłości Wildberries, podnieśli je w ostatnim czasie dwukrotnie, do poziomu 23 proc. Władisław Inoziemcew, znany rosyjski ekonomista, jest przekonany, że ryzyko upadłości giganta handlu internetowego jest jeszcze większe i uważa, że celem ukraińskich nalotów jest nie tylko uderzenie w firmę kontrolowaną przez oligarchów zbliżonych do Putina, lecz przede wszystkim także wywołanie w Rosji kryzysu ekonomicznego i finansowego.

KTO TRACI NAJWIĘCEJ?

W wyniku uderzeń na Wildberries tracą bowiem przede wszystkim firmy średniej wielkości, które korzystały z tej platformy handlowej. Margarita Jewstigniejewa, stojąca na czele federacji rosyjskich przedsiębiorców wykorzystujących w swej działalności elektroniczne platformy handlowe w rodzaju Wildberries, powiedziała rosyjskim mediom, że 400 tys. rosyjskich firm poniosło wymierne straty, a skala uszczerbku może przekraczać 600–700 mld rubli (7,2–8,4 mld dol.).

To tylko część obrazu. Jeden z właścicieli punktów odbioru towarów w Soczi – bo firma w ostatnich latach zbudowała sieć liczącą tysiące placówek partnerskich, w których Rosjanie mogą odbierać zakupione towary – opisuje sytuację w następujący sposób: „Dostawa towarów odbywa się powoli, średnio dociera jedna ciężarówka dziennie. To katastrofalnie mało jak na nasz punkt odbioru; przychody spadły trzykrotnie". Innymi słowy, zysk dramatycznie spadł, a koszty pozostały na poprzednim poziomie, co w dłuższej perspektywie może oznaczać masową likwidację tego rodzaju „sklepów".

WIELKI BIZNES, WIELKIE DŁUGI

Obecnie Wildberries dysponuje w Federacji Rosyjskiej 5,2 mln m² magazynów wielkopowierzchniowych, a rywalizujący z tą firmą, drugi pod względem wielkości Ozon – 5 mln m². Tylko w 2025 r. firma ta zbudowała i oddała do eksploatacji 17 wielkich centrów dystrybucyjnych. W całej Rosji znajduje się 60 mln m² magazynów wielkopowierzchniowych, eksploatowanych przez sieci sprzedażowe i handlowe, co oznacza, że aby doprowadzić do „zaopatrzeniowego" kolapsu – jak powiedział „Nowej Gazecie Europa" analityk zajmujący się tą branżą – potrzeba wiele czasu i powtarzających się uderzeń.

Jednak Wildberries i jej magazyny są dobrym celem również z innych powodów. Budując w ekspresowym tempie obiekty logistyczne, firma zaciągnęła 1,3 bln rubli kredytów, a dodatkowy dług wobec banku WTB (Wniesztorgbank) jest szacowany na 500 mld rubli. W 2025 r. tylko zobowiązania krótkoterminowe wzrosły siedmiokrotnie (do poziomu 802 mld rubli), i to w przypadku firmy, której przychód zamknął się kwotą – jak wynika z szacunków rosyjskiego portalu ekonomicznego The Bell – 4,57 bln rubli. Przedsiębiorstwo jest kolosem, ale z finansowego punktu widzenia na glinianych nogach i może nie wytrzymać kosztów związanych z odszkodowaniami dla handlowców, którzy powierzyli jej swe towary. Oczywiście jeśli zdecyduje się płacić, ale niewiele na to wskazuje, bo powołuje się na „siłę wyższą". Brak odszkodowań dla przedsiębiorców korzystających z usług Wildberries dodatkowo osłabia sektor prywatny, już i tak – w związku z obecnymi trendami w rosyjskiej gospodarce – bardzo słaby i w ekspresowym tempie ograniczający skalę swojej działalności.

Jeśli Wildberries zacznie się chwiać, to państwo będzie musiało przyjść z pomocą zagrożonej firmie i finansującym jej działalność bankom, co pośrednio zadeklarował już Władimir Putin. A warto pamiętać, że prezesem banku WTB, będącego udziałowcem i głównym kredytodawcą Wildberries, od lat jest Andriej Kostin, przez wielu uważany za jednego z głównych rozgrywających na zapleczu Putina. To oznacza, że decyzje mogą być podejmowane nie w oparciu o analizę sytuacji ekonomicznej, lecz powiązania i układy, co jest receptą na przyspieszenie kryzysu.

Obecnie internetowe platformy sprzedażowe w rodzaju Wildberries czy Ozon odpowiadają za 5–6 proc. rosyjskiego PKB, czyli 11,3–13,4 bln rubli (przed pandemią COVID-19 było to 1,3 proc.), a znaczenie tego sektora jest porównywalne do przetwórstwa ropy naftowej (13 bln) oraz większe niż rosyjskiego rolnictwa (10,6 bln). To wynik ekspresowego wzrostu w ostatnich kilku latach.

WOJENNA POLITYKA EKONOMICZNA

Od 2020 r. w Rosji pięciokrotnie (do 226 tys.) wzrosła liczba „punktów odbioru", które zaczęły wypierać z rynku



Fot. STRINGER/AFP/East News

tradycyjne sieci supermarketów w rodzaju Magnita. Od 2019 r. obroty Wildberries wzrosły 20-krotnie (dla porównania w przypadku największej rosyjskiej sieci supermarketów X5 ten wzrost był 2,7-krotny), a konkurującego z nią Ozonu 43-krotnie (3,5 bln rubli). Nawiasem mówiąc, te wzrosty są wynikiem zmian w putinowskiej wojennej polityce ekonomicznej. Wyższe wypłaty dla pracujących (braki na rynku specjalistów) i „wynagrodzenia" dla tych, którzy poszli walczyć, przełożyły się na skokowy wzrost środków pozostających w dyspozycji „zwykłych Rosjan", którzy zwiększyli swoją konsumpcję. Tradycyjne sieci handlowe nie były w stanie obsłużyć rosnącego popytu, co ułatwiło rozwój platform internetowych w rodzaju Wildberries.

Jest jeszcze drugi wymiar tego sukcesu. Jak zauważyli analitycy portalu The Riddle, ta platforma handlu internetowego umożliwiała zarówno obchodzenie sankcji, jak i przede wszystkim obowiązujących regulacji podatkowych oraz celnych na masową skalę. Mechanizm był w tym przypadku dość prosty. Przedsiębiorcy handlujący na Wildberries sprowadzali towary z Azji, przede wszystkim z Chin, za pośrednictwem Kazachstanu czy innych państw rejonu, bo import w ramach Euroazjatyckiej Unii Celnej, powołanej przez Moskwę w 2010 r., jest zwolniony z cła. Władze przymykały oko na ten proceder, bo w efekcie udawało się zapełniać półki w rosyjskich sklepach i budować złudzenie stabilności mimo trwającej wojny. Kryzys Wildberries i współpracujących z nią przedsiębiorców może również oznaczać w praktyce problemy z zaopatrzeniem i wzrost niezadowolenia zwykłych Rosjan.

PODZIELONE ELITY

Ma też oczywisty wymiar makroekonomiczny. Jeśli bowiem upadnie firma, która jest zadłużona w rosyjskim systemie bankowym, to państwo i tak będzie zmuszone – ze względu na potencjalną skalę problemów – zainicjować „program ratunkowy". Najprawdopodobniej Bank Rosji uruchomi specjalną linię kredytową, co w praktyce oznacza przyspieszenie pracy maszyn drukujących pieniądze. Tłumienie inflacji zejdzie na drugi plan, stopy procentowe pozostaną wysokie, z planów pobudzenia koniunktury nic nie wyjdzie. Już widać, że rosyjska gospodarka wchodzi w fazę stagnacji. To jeszcze nie kryzys, ale o tym, że Ukraina dąży do jego wywołania, mówił w jednym z wywiadów Denys Stillerman, twórca i właściciel Fire Point, największego ukraińskiego producenta dronów dalekiego zasięgu, którego konstrukcje atakują właśnie magazyny Wildberries.

> Obecnie internetowe platformy sprzedażowe w rodzaju Wildberries czy Ozon odpowiadają za 5–6 proc. rosyjskiego PKB, czyli 11,3–13,4 bln rubli. Znaczenie tego sektora jest porównywalne do przetwórstwa ropy naftowej (13 bln rubli) oraz większe niż rosyjskiego rolnictwa (10,6 bln rubli)

Wiadomo jednak, że palące się magazyny i centra logistyczne nie poprawią nastrojów rosyjskiej elity. Coraz częściej pojawiają się głosy jej przedstawicieli, przekonanych, że w dłuższej perspektywie Rosja nie jest w stanie wygrać wojny. Kilka tygodni temu mówił o tym w wywiadzie i pisał na łamach „The Economist" Andrij Mielniczenko, jeden z najbogatszych Rosjan, a ostatnio podobną diagnozę postawił Andrij Klepacz, główny ekonomista Wnieszekonombanku, jednej z największych instytucji finansowych Rosji. Za swą szczerość Klepacz został zwolniony z pracy w trybie natychmiastowym, ale jego sprawa pokazuje pęknięcia w rosyjskich elitach. Powodem dymisji ekonomisty był wykład poświęcony sytuacji makroekonomicznej i długofalowym trendom w rosyjskiej gospodarce, wygłoszony przezeń na posiedzeniu Klubu Nikitskiego. Główna teza wystąpienia Klepacza, uchodzącego za jednego z najlepszych rosyjskich ekonomistów, była taka, że Rosja nie jest w stanie wygrać wojny ekonomicznej z Zachodem, co oznacza, iż dotychczasowy kurs Kremla prowadzi do powolnej, lecz nieuchronnej katastrofy. Dowodził, że koszty sankcji i zachodniej blokady rosyjskiej gospodarki zwiększają się, szkody spowodowane ukraińskimi atakami na porty, infrastrukturę, zakłady chemiczne i naftowe rosną jeszcze szybciej, a jednocześnie Rosja nie nadąża za postępem technologicznym. „Jesteśmy w tyle. Tracimy przewagę technologiczną i gospodarczą na świecie. Co więcej – argumentował – przegrywamy nie tylko z Chinami i Stanami Zjednoczonymi, ale w pewnym sensie przegrywamy nawet z Ukrainą... Mamy złudzenie, że wszystko się tam zawali. Nie zawaliło się i nie zawali. Nasze koszty zaś rosną". Klepacz ostrzegł również przed groźbą kryzysu społecznego w Rosji, „w czasie, gdy nikt się go szczególnie nie spodziewa", i porównał sytuację do tej, która panowała w przededniu rewolucji lutowej w 1917 r. oraz upadku ZSRR w 1991 r.

Sam klub, na którego spotkaniu padły te tezy – obrazoburcze, choć udowodnione rzetelnie i na podstawie danych statystycznych – także jest ciekawą instytucją. Powołany na początku wieku przez fizyka Siergieja Kapicę zrzesza przedstawicieli świata nauki, którzy są określani mianem „państwowców" i do tej pory wspierali kierunek, w którym ewoluowała putinowska Rosja. Sam Klepacz, doktor nauk ekonomicznych i docent moskiewskiego Uniwersytetu im. Łomonosowa, należał do kręgu bliskich doradców Putina, a jego opinie, stanowisko i rady – jak twierdzą eksperci zajmujący się analizowaniem relacji na szczytach rosyjskiej władzy – były brane pod uwagę przez rosyjskiego prezydenta. Wiktor Postnow, rosyjski politolog i socjolog pisujący

01/08226/F

eprasa.pl 61dfdd5e4e

w opozycyjnym „The Moscow Times", jest wręcz zdania, że Klepacz – obok braci Biełousowych i Maksyma Orieszkina – należał do kręgu najbliższych doradców ekonomicznych Putina, a jego dymisja jest zarówno świadectwem zamykania się rosyjskiego prezydenta w złotej klatce, jak i fermentu w związanym z szeroko rozumianym obozem władzy środowisku ekspertów i przedsiębiorców, którzy zaczynają dochodzić do wniosku, że kontynuowanie wojny przyniesie Rosji nieszczęście.

OBAWY KREMLA

Zdaniem Władisława Inoziemcewa Wildberries najprawdopodobniej zbankrutuje, ale nie będzie to oznaczać automatycznego i nieuchronnego wybuchu kryzysu makroekonomicznego w Rosji. Trudno też prognozować bunt wśród rosyjskich oligarchów i zwolenników władzy Putina, bo ci odpowiedzieli właśnie rekordowymi „dobrowolnymi" wpłatami na kontynuowanie wojny, do których wezwał ich rosyjski prezydent.

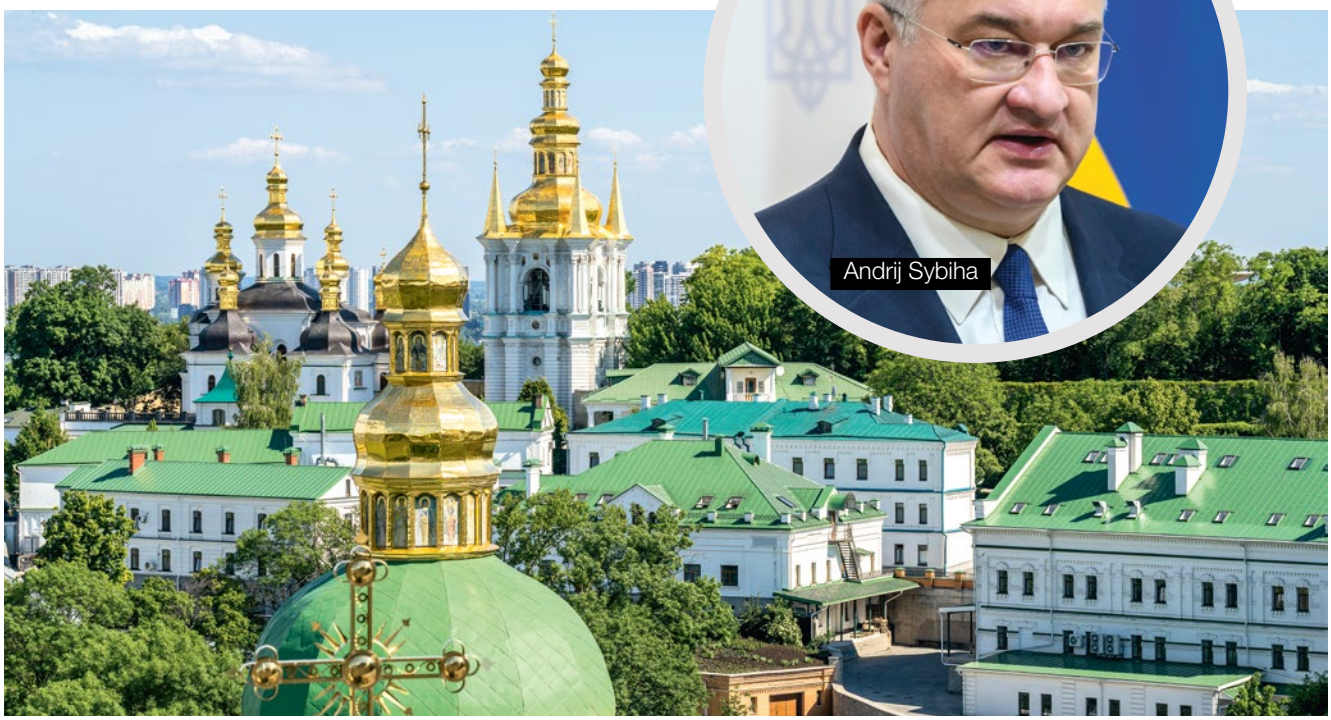
Jak wynika nawet z oficjalnych badań opinii publicznej, wiara Rosjan w „świetlaną przyszłość" własnego kraju jest jednak coraz mniejsza. Ostatnie sondaże WCIOM, jednego z głównych rosyjskich ośrodków badania opinii publicznej, dowodzą, że 66 proc. Rosjan jest zdania, iż Federację „czekają trudne czasy". Od początku roku myśli tak o 16 proc. więcej ankietowanych, a rosnące niezadowolenie i niepokój społeczny zaczynają odczuwać również władze, które „profilaktycznie" postanowiły zakazać startu w wyborach do Dumy Jabłoku, półoficjalnej, tolerowanej do tej pory formacji opozycyjnej, która w ostatnich wyborach nie zdołała przekroczyć 5-procentowego progu. Teraz, gdy na dodatek Jabłoko było na listach z numerem 2 – zaraz za Jedną Rosją, partią władzy – jego szanse rosły i zapewne w związku z tym na Kremlu zapadła decyzja o jego „skreśleniu", zrealizowana przez dyspozycyjny sąd. To posunięcie świadczy nie tyle o sile liberalnej opozycji w Rosji, która jest słaba i nie zagrozi obozowi władzy, ile o rosnącym niepokoju na szczytach rosyjskiej władzy, narastających wątpliwościach i szukaniu wyjścia z patowej sytuacji.

Putin i jego otoczenie nadal stawiają na eskalację i z tego powodu możemy spodziewać się w najbliższych tygodniach intensyfikacji wojny, a także agresywnych kroków wobec państw sąsiadujących z Ukrainą. Jeśli ta kampania nie przyniesie rezultatów, a Kijów nie „pęknie", to już wiosną strategia polityczna Kremla w kwestii wojny być może ulegnie korekcie. Na to gra Zełenski, a atakowanie magazynów Wildberries jest jednym z narzędzi „duszenia Rosji". Kreml odpowiada, intensyfikując uderzenia na Ukrainę. O wyniku tego starcia, które może przesądzić o rezultacie wojny, zadecyduje tegoroczna zima.

REKLAMA



eprasa.pl 61dfdd5e4e




Andrij Sybiha

Kijów kolebką Europy.

Ukraina chce budować swoją potęgę także na historii

Ukraina chce być postrzegana nie tylko jako państwo, które broni Europy przed rosyjską agresją, lecz także jako jeden z jej historycznych fundamentów. Oprócz nowoczesnej armii i agresywnej dyplomacji Kijów próbuje używać również takich argumentów. Według najnowszej narracji to właśnie z Kijowa wyszło chrześcijaństwo, które ukształtowało całą Europę, a co za tym idzie – cały świat



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Wojna rosyjsko-ukraińska od dawna nie jest wyłącznie konfliktem o terytorium. Pozostaje również sporem o to, czym jest Ukraina, skąd się wywodzi i do jakiej części Europy należy. Historia Rusi Kijowskiej ma fundamentalne znaczenie dla obu stron. Rosyjska narracja przez dziesięciolecia przedstawiała Kijów jako początek własnej historii, a Ruś Kijowską uważała za fundament późniejszego państwa rosyjskiego. Współczesna Ukraina konsekwentnie odrzuca tę interpretację. Podkreśla swoje związki z dziedzictwem Rusi Kijowskiej, a jednocześnie stara się wykazać, że Moskwa nie może się przedstawiać jako jej jedyny i prawowity spadkobierca. Spór o średniowieczną historię stał się więc częścią walki o współczesną tożsamość, a w konsekwencji również o miejsce Ukrainy w europejskim porządku politycznym.

KIJÓW BRAMĄ DO CHRZEŚCIJAŃSKIEJ EUROPY

W kontekście zmieniającej się polityki historycznej Kijowa szczególnie interesująca jest niedawna wypowiedź Andrija Sybihy. Minister spraw zagranicznych Ukrainy, odnosząc się do 975. rocznicy założenia Ławry Kijowsko-Peczerskiej, wykorzystał jej dzieje jako element szerszej opowieści o miejscu Ukrainy w Europie. „Dziś Ukraina obchodzi 975. rocznicę jednego z naszych najważniejszych zabytków historycznych, symbolu naszej trwałej państwowości i centrum wczesnego chrześcijaństwa w Europie – Ławry Kijowsko-Peczerskiej w Kijowie" – napisał Sybiha. Jeszcze bardziej znaczący jest

Fot. Andrzej Skwarczyński, paparazzza/Shutterstock.com

eprasa.pl 61dfdd5e4e

sposób, w jaki opisuje rolę Kijowa w historii chrześcijaństwa. „Tysiąc lat temu Kijów był bramą, przez którą chrześcijańska cywilizacja docierała na zachód kontynentu. Dlatego naszą drogę do członkostwa w Unii Europejskiej nazywamy przywróceniem naszego miejsca w europejskiej rodzinie" – dodał.

Ukraina nie przedstawia się jako peryferyjne państwo, które dopiero aspiruje do europejskości, lecz jako miejsce, które odegrało kluczową rolę w kształtowaniu chrześcijańskiej Europy. Wyraźnie widać ahistoryczność tej tezy. Chrześcijaństwo było obecne w Europie wiele stuleci przed chrztem Rusi Kijowskiej. Jego znaczenie polegało przede wszystkim na roli w chrystianizacji rozległych terenów Europy Wschodniej, podlegających wówczas Kijowowi. W politycznej narracji Sybihy najważniejsze jest jednak inne przesłanie: Kijów nie stoi na obrzeżach europejskiej cywilizacji, lecz należy do jej historycznych centrów.

STRAŻNIK STAREGO KONTYNENTU

Następnie minister odniósł się do trwającej wojny z Rosją. Powtórzył przesłanie, obecne od kilku lat, że Ukraina odgrywa dziś rolę strażnika, tym razem chroniącego Europę przed rosyjskim zagrożeniem. „Dziś ponownie jesteśmy strażnikiem tej bramy. Powstrzymujemy zagrożenie, aby zamknąć przed nim drogę do reszty Europy" – napisał Sybiha. Minister zaatakował także rosyjską narrację historyczną, mówiąc: „Kiedy Rosja kłamie na temat swojej »tysiącletniej historii«, po prostu próbuje ukraść nasze dziedzictwo, ponieważ nie zdołała stworzyć własnego. Jej narodowy mit opiera się na przywłaszczaniu historii i tożsamości sąsiadów i przedstawianiu ich jako własnych. Cokolwiek robi Rosja, my mamy własny plan. I własną historię. I naszą Ławrę Kijowsko-Peczerską – taką, której nikt nie może ani ukraść, ani zniszczyć".

Wpis ministra pokazuje coś więcej niż wolę obrony zabytku przed rosyjskimi bombami. Jeżeli Kijów jest przedstawiany jako jeden z historycznych ośrodków chrześcijaństwa Europy, Ukraina przestaje występować wyłącznie w roli państwa aspirującego do europejskiej wspólnoty. Zaczyna występować jako państwo, które twierdzi, że od samego początku było częścią europejskiej historii. To subtelna, ale bardzo istotna zmiana.

„WRACAMY NA SWOJE MIEJSCE"

Przez pierwsze dekady niepodległości Ukraina często przedstawiała swoją europejskość jako projekt przyszłości. Chodziło o integrację z Unią Europejską, reformy, demokratyzację, modernizację i przyjęcie zachodnich standardów. Po 2014 r., a szczególnie po pełnoskalowej rosyjskiej inwazji w 2022 r., nastąpiło przesunięcie akcentów. Coraz częściej pojawia się przekaz: Ukraina nie chce dopiero stać się Europą. Ukraina uważa, że jest jej częścią i chce odzyskać należne jej miejsce w europejskiej wspólnocie. To wbrew pozorom duża różnica. Jeżeli Ukraina przedstawia się wyłącznie jako kandydat do europejskiego świata, pozostaje państwem, które musi zabiegać o przyjęcie i czekać na decyzję innych. Jeżeli natomiast występuje jako jeden z historycznych uczestników europejskiej cywilizacji, zmienia się także ton jej przekazu. Kijów może wówczas nie tyle prosić o włączenie Ukrainy do europejskich struktur, ile przedstawiać jej członkostwo jako coś, do czego ma historyczne i cywilizacyjne prawo, a od państw należących już do tych struktur – oczekiwać uznania tego prawa. Integracja przestaje być więc aktem łaski ze strony Europy, a staje się przywróceniem Ukrainie należnego jej miejsca.

Podobną narrację można usłyszeć od początku wojny. Już 28 lipca 2022 r., podczas obchodów Dnia Ukraińskiej Państwowości, Wołodymyr Zełenski mówił o Ukrainie jako o państwie, „w którym rozpoczęła się historia chrześcijaństwa w Europie Wschodniej, gdy 1034 lata temu zostało ochrzczone przez wielkiego księcia kijowskiego Włodzimierza".

W przemówieniu z 15 lipca 2026 r. Zełenski poszedł jeszcze dalej. Podczas obchodów Dnia Ukraińskiej Państwowości i Chrztu Rusi Kijowskiej powiedział, że chrzest Rusi był wydarzeniem o „historycznym znaczeniu dla chrześcijaństwa i całej Europy". W tym samym przemówieniu podkreślał, że Ukraińcy są „spadkobiercami Rusi Kijowskiej i państwa kozackiego" oraz mają „tysiącletnie doświadczenie w budowaniu własnego państwa". Ukraińskim politykom chodzi o zbudowanie opowieści, w której współczesna Ukraina kontynuuje wielowiekową tradycję państwową i cywilizacyjną, a jej integracja z Europą nie jest wejściem do obcego świata, lecz powrotem do historycznego miejsca na kontynencie.

KLUCZOWA POTĘGA

Historyczna narracja nie jest dla Kijowa celem samym w sobie. Ma być również ideowym uzasadnieniem dla znacznie szerszego projektu budowania pozycji Ukrainy w Europie. Jego głównym filarem jest siła militarna. Po ponad czterech latach pełnoskalowej wojny Ukraina dysponuje doświadczeniem bojowym, którego nie posiada żadne europejskie państwo. Kijów chce przekuć je w trwały kapitał polityczny, gospodarczy i strategiczny.

Ukraina coraz wyraźniej stara się przedstawiać siebie jako państwo, które staje się kluczowe dla europejskiego bezpieczeństwa. Dlaczego? Bo wojna stała się dla ukraińskiej armii tragicznym, ale bezprecedensowym laboratorium nowych metod prowadzenia działań militarnych. Doświadczenie zdobyte na froncie, rozwój przemysłu obronnego, produkcja dronów, systemów bezzałogowych, środków walki elektronicznej czy technologii wykorzystywanych na polu bitwy mają się stać podstawą długofalowego partnerstwa z innymi państwami europejskimi.

A to oznacza zmianę pozycji negocjacyjnej. Ukraina może występować wobec Europy nie tylko z pytaniem o to, ile uzbrojenia może otrzymać, lecz także o to, jakie technologie, doświadczenie i rozwiązania może wnieść do europejskiego systemu bezpieczeństwa. Historia dostarcza przy tym ideowego uzasadnienia dla tego projektu. Jeśli Kijów przedstawia się jako część europejskiej cywilizacji od czasów Rusi Kijowskiej, a obecnie jako państwo, które własną piersią broni Starego Kontynentu przed Rosją, to jego aspiracje polityczne i militarne mogą być ukazywane jako naturalna konsekwencja roli odgrywanej dawniej i obecnie. W efekcie powstaje spójna konstrukcja: historia ma dawać Ukrainie prawo do miejsca w Europie, a siła militarna – realną możliwość zajęcia tego miejsca na własnych warunkach. Kijów chce więc budować swoją pozycję nie wyłącznie jako beneficjent zachodniego wsparcia, lecz jako państwo posiadające własny kapitał strategiczny i zdolne do współtworzenia europejskiego systemu bezpieczeństwa.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Powrót nienawidzących

Wszystkie statystyki przestępczości na Zachodzie pokazują gwałtowny wzrost liczby aktów przemocy i terroru ze strony lewicy



DARIUSZ MATUSZAK

Praktycznie nikt w Europie nie zauważył najważniejszego w tym roku wystąpienia sekretarza stanu USA Marco Rubio, które wygłosił w połowie lipca w Waszyngtonie w obecności przedstawicieli 67 państw (Sikorskiego nie było). Po pierwsze, trwa dwumiesięczny sezon urlopowy – np. premier Hiszpanii Sánchez, mimo że jego kraj trawią pożary, a najeźdźcy z Maroka zdobyli Ceutę, jak przystało na prawdziwego socjalistę, wypoczywa w królewskiej rezydencji La Mareta na Wyspach Kanaryjskich. Po drugie, temat wystąpienia Rubio był nieprzyjemny, gdyż sekretarz stanu mówił o lewicowym terrorze, a to przecież jest tabu albo coś, co w ogóle nie istnieje – jak żelazny wilk. „Krytyka Polityczna", jeden nielicznych ośrodków na lewicy zdolny do jakiejś refleksji, pisze o „czerwonej panice" i o tym, że trumpiści chcą wykorzystać walkę z nieistniejącym terrorem do dalszej budowy państwa autorytarnego. Wspominamy o tym, bo uznajemy, że jeśli tylko zacznie się dyskusja o lewicowej przemocy, to taka będzie interpretacja zjawiska wśród państwa postępowych i jaśnie oświeconych.

CO POWIEDZIAŁ RUBIO

Tymczasem przemówienie Rubio powinno było wywołać wstrząs w śniętej i zdemenciałej Europie, bo podobnie jak ogłoszona w grudniu 2025 r. Nowa Strategia Bezpieczeństwa USA wskazało ono na nowe cele, nowe paradygmaty w walce ze światowym zagrożeniem. Ameryka wypowiada wojnę lewicowemu terroryzmowi.

Rubio wskazał, że od szczytu działalności ISIS liczba ataków i spisków dżihadystów w Stanach Zjednoczonych spadła o dwie trzecie, a osób zabitych przez terroryzm islamski w Europie od 2015 do 2024 r. – o ok. 97 proc. Zagrożenie nie zniknęło, ale można mówić o sukcesie. Skoncentrowany na walce z dżihadem Zachód przeoczył jednak rosnące zagrożenie ze strony skrajnej lewicy. Ta wraca do swych korzeni i znów bawi się w to, co lubi najbardziej, czyli przemoc, zamordyzm, terror

„Przez zbyt długi czas nasza doktryna antyterrorystyczna miała ślepy punkt, martwy punkt. Chodzi o skrajną przemoc ze strony lewicy" – mówił Rubio. „Sama myśl, że terroryzm skrajnej lewicy może stanowić poważne zagrożenie, jest traktowana jako prawicowe urojenia, a co gorsza, jako niebezpieczny faszystowski spisek [Rubio przewidział tekst „Krytyki Politycznej" – przyp. red.]. Mamy think tanki, badania, media i firmy konsultingowe, w których panuje przekonanie, że tylko jeden rodzaj przemocy politycznej stanowi prawdziwe zagrożenie dla systemu. Bomba podłożona przez neonazistów jest nikczemnym i morderczym aktem zła, ale bomba podłożona przez marksistowskiego rewolucjonistę to po prostu tragiczny przejaw idealizmu. Być może środki były nietrafne lub przesadne, ale cele były cnotliwe i sprawiedliwe" – uważa sekretarz stanu.

To podejście ma swe tragiczne konsekwencje, jak choćby zamieszki w USA po śmierci George'a Floyda, kiedy bandy Antify i rasistowskiej organizacji BLM paliły i demolowały całe kwartały miast, napadały i zabijały ludzi. Śmierć poniosło wówczas kilkanaście osób, a mimo to media i cała ta postępowa polityczna mierzwa dawały pełne przyzwolenie na przemoc. Rozpalone przez Baracka Husseina Obamę podziały, nienawiść na tle etnicznym i klasowym, wywołały pożar, który zaczął ogarniać nie tylko Amerykę, lecz także cały Zachód.

Według statystyk Federalnego Biura Kryminalnego (BKA) w 2025 r. w Niemczech popełniono 13,5 tys. przestępstw motywowanych lewacką ideologią. Codziennie dochodziło średnio do 3 aktów z użyciem przemocy (1087 w ciągu roku), odnotowano blisko 450 ofiar z poważnym

Fot. Maxim Elramsisy/Shutterstock.com

eprasa.pl 61dfdd5e4e

uszkodzeniem ciała. To wzrost o ponad 40 proc. w porównaniu z 2024 r. Lewacy dopuścili się 606 napaści na działaczy prawicy. W „drugą stronę" było 182. Do tego dochodzą ataki wymierzone w samo państwo, w społeczeństwo.

Ofiarami anarchistycznej Vulkangruppe padły setki tysięcy ludzi. W styczniu 2026 r., w czasie wielkich mrozów, terroryści dokonali ataku na elektrownię Lichterfelde i wywołali największy blackout w Berlinie od II wojny światowej. Przez pięć dni bez prądu pozostawało blisko 50 tys. gospodarstw domowych i kilka tysięcy firm. Wyobraźmy sobie chaos w szpitalach oraz pogrążone w ciemnościach i zimnie domy seniorów. Wiadomo o co najmniej jednej ofierze śmiertelnej – ponad 80-letniej pensjonariuszce domu opieki, ale takich tragedii było znacznie więcej, tylko formalnie nie da się ich bezpośrednio powiązać z pozbawianiem energii całych połaci Berlina przez niemal tydzień. Ta sama banda Vulkangruppe wcześniej dokonała dwóch ataków na fabrykę Tesli w Grünheide.

WSPÓLNOTA TERRORYSTÓW

W Grecji ponad 80 proc. motywowanych ideologicznie aktów przemocy jest dziełem lewicowych band. W lipcu br. przeprowadziły one skoordynowane ataki z użyciem bomb zapalających na domy działaczy rządzącej centroprawicowej partii Nowa Demokracja. W Salonikach zginęła wtedy Vagia Nestora, 73-letnia kandydatka do parlamentu. 80 proc. jej ciała było dosłownie spalone.

W sierpniu włoskie i francuskie służby udaremniły atak lewackiej bandy na budowę linii kolejowej Lyon–Turyn. Aresztowano 8 osób i skonfiskowano materiały wybuchowe. We Włoszech Polizia di Stato odnotowała 3243 przestępstwa (napady, pobicia podpalenia, sabotaż i inne) dokonane przez lewicowych ekstremistów. Przestępstw zakwalifikowanych jako czyny skrajnej prawicy było 905.

Amerykański Departament Stanu uważa, że te akty przestępcze – niektóre kwalifikowane jako terroryzm – nie są działaniem spontanicznym, tylko zorganizowanym i koordynowanym w całej Europie. Bandy, takie jak niemiecka Vulkangruppe, Włoska Federacja Anarchistów (FAI), grecka Zbrojna Proletariacka Sprawiedliwość, Konspiracja Komórek Ognia (SPF) czy różne klony Antify działają w jednej wielkiej sieci.

„Koordynują się. Komunikują się. Podróżują. Szkolą się i działają razem, korzystając z tej samej infrastruktury i realizując tę samą misję" – mówił Rubio. „Bojówkarze Antify i ich towarzysze przyjeżdżają z całej Europy i obu Ameryk, aby uczestniczyć w atakach. Mają swoje konspiracyjne kryjówki i kanały przerzutu. Swą działalność finansują za pośrednictwem międzynarodowych funduszy. Współpracują z wrogimi państwami".

Jednym z powodów wzrostu aktywności lewackich terrorystów jest też działalność w Europie Hamasu i innych palestyńskich organizacji.

Na Starym Kontynencie nie mamy jeszcze do czynienia z planowanymi morderstwami, choć lewicowcy liczą się z tym, że mogą zabić, jak w przypadku podpaleń w Grecji, sparaliżowania Berlina czy napadu i pobicia młotkami przez włoskich bandziorów Antify, w tym przez eurodeputowaną Ilarię Saris, przypadkowych ludzi, jak w Budapeszcie. W lutym w Lyonie na śmierć skatowano 23-letniego studenta katolika Quentina Deranque'a. Zbrodni dopuściła się założona przez lewackiego posła Raphaëla Arnaulta banda Młoda Gwardia. Tragedia była raczej efektem dzikiej agresji niż planowanej i wykonanej z zimną krwią egzekucji. I tym się jeszcze różni Europa od Ameryki, w której lewicowy terror jest większy i brutalniejszy.

W lipcu 2016 r., za prezydentury Obamy, w ciągu kilku dni w zasadzkach zabito dziewięciu policjantów. Zbrodnie były motywowane nienawiścią do białych. 8 września w Nowym Jorku rozpoczyna się proces Luigiego Mangionego, który na ulicy zastrzelił szefa medycznej firmy United Healthcare Briana Thompsona. Lewicowi politycy i wiele mediów bronią mordercy, kreując go na bohatera walki z korporacjami. Najgłośniejszy był zamach na konserwatywnego chrześcijańskiego działacza Charliego Kirka, który został zastrzelony w czasie prowadzonej przez siebie debaty na uniwersytecie Utah Valley. Lewacy co najmniej pięciokrotnie próbowali zabić Donalda Trumpa. Raz cudem przeżył, w pozostałych przypadkach zabójstwu zapobiegli agenci Secret Service.

Według Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego liczba ataków na funkcjonariuszy policji i służb imigracyjnych w USA wzrosła w ciągu ostatnich lat o setki procent. Oddzielną kategorią są zamachy i zbiorowe zabójstwa dokonywane przez transpłciowców. W Minneapolis i Nashville mordercy po prostu weszli do szkół i otworzyli ogień, zabijając kilkoro dzieci. W debacie o agresji transpłciowców pojawia się nawet pojęcie „transpłciowych sekt".

KRWAWI IDEOLODZY BRZYDOTY

Jedno jest pewne: wszystkie statystyki przestępczości na Zachodzie pokazują gwałtowny wzrost liczby aktów przemocy i terroru ze strony lewicy. Czy Zachodowi grozi powrót do terroryzmu, jaki znał w latach 70. i 80. XX w.? Polska jest częścią tego świata i z powodu politycznej poprawności, a właściwie obłudy, nie może udawać, że jej problem nie będzie dotyczył. W latach 1970–1980 93 proc. ataków terrorystycznych było dziełem lewicy. Liczba ofiar niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii, włoskich Czerwonych Brygad czy greckiej terrorystycznej organizacji 17 Listopada była liczona w setkach. Ofiary lewicowych band w Ameryce Południowej, jak Świetlisty Szlak czy Tupamaros – w dziesiątkach tysięcy. Stany Zjednoczone ostrzegają i szykują się na nową wojnę z terrorem.

„To zło jest wyjątkowe i niepowtarzalne. Zawsze napędzała je nienawiść, a ponad wszystko do samej cywilizacji" – mówił Marco Rubio. „To bunt najgorszych przeciwko najlepszym, słabych i tchórzliwych przeciwko silnym i dobrym. Wzniecają go ci, którzy nie potrafią budować, osiągać wielkich rzeczy i mszczą się na świecie za własną niekompetencję. Oto, czym jest radykalny lewicowiec. Mogą nazywać siebie antykapitalistami, antyimperialistami, komunistami, anarchistami czy marksistami, ale ich fundamentalny charakter jest zawsze ten sam. To jadowity resentyment ukryty pod pozorem równości, sprawiedliwości i wyzwolenia. To przemożna potrzeba zburzenia tego, co zbudowali więksi ludzie, zniszczenia tego, co piękne i słuszne, w imieniu ludzi, którzy są przepełnieni brzydotą i nie mają światu nic innego do zaoferowania. Za pomocą przemocy i terroru ponownie próbują narzucić nam wszystkim swoją brzydotę".

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Zatruta atmosfera



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Premier Węgier Péter Magyar chce się pozbyć opozycyjnego Fideszu. Już tuzin osób związanych z partią Viktora Orbána trafiło do aresztu pod zarzutem korupcji. Ale poparcie dla nowego rządu słabnie



Balázs Bús, były burmistrz dzielnicy Óbuda w Budapeszcie, wieloletni wiceprezes Narodowego Funduszu Kultury

Prawdopodobnie najcięższym więzieniem na Węgrzech jest zakład karny w Szegedzie, szerzej znany jako Csillag (pol. gwiazda), w którym mieści się ok. 1,5 tys. osadzonych. I to nie byle jakich. Za murami, wzniesionymi 140 lat temu, pozostają najgroźniejsi przestępcy – mafijni zabójcy, mordercy i gwałciciele. A także – od końca czerwca – Balázs Bús, były burmistrz dzielnicy Óbuda w Budapeszcie, wieloletni wiceprezes Narodowego Funduszu Kultury NKA, przyjaciel Polski i Polaków, odznaczony za swoje liczne dokonania – jak stworzenie w stolicy Węgier Parku bł. ks. Jerzego Popiełuszki czy współufundowanie monumentalnego Pomnika Zbrodni Katyńskiej – Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Trafił tam podejrzany o „oszukańcze przywłaszczenie środków, powodujące znaczne straty finansowe". W przeciwieństwie do wielu recydywistów osadzonych w zakładzie, na razie nie postawiono mu żadnych konkretnych zarzutów. Mimo to został objęty specjalnym nadzorem, w ramach którego jest ściśle izolowany od innych więźniów i może opuszczać celę tylko na godzinę dziennie.

Dla jego towarzyszy z Fideszu to polityczna zemsta nowego premiera Pétera Magyara (w sumie aresztowano aż sześć osób odpowiedzialnych za podział dotacji w Narodowym Funduszu Kultury). Według nich z rzekomo sprzeniewierzonych 17 mld forintów (46 mln euro/200 mln zł) „na cele kampanii Fideszu" – czytamy na łamach dziennika „Magyar Nemzet" – wydano „zaledwie ułamek". I to prawidłowo, czyli przyznając je artystom. Twierdzi tak również sam Balázs Bús, który podkreślił w oświadczeniu opublikowanym w lipcu na Facebooku, że na Węgrzech „skończyły się rządy prawa". „Toczy się przeciwko mnie sfabrykowane postępowanie. […] Jestem więźniem politycznym. Moją jedyną »zbrodnią« jest to, że byłem członkiem Fideszu" – napisał.

BEZWZGLĘDNE ROZLICZENIA

Nie jest to zresztą jedyna afera korupcyjna, w którą ma być zamieszany. Druga dotyczy czasów, kiedy był burmistrzem dzielnicy Óbuda w Budapeszcie. Ta sprawa ciągnie się od lat i dotyczy licznych samorządów oraz partii politycznych, również tych z lewicy. Prokuratura twierdzi, że Bús przyjął łapówki w wysokości 150 mln forintów (ok. 1,8 mln zł), m.in. w ramach ustawionych przetargów. Temu były burmistrz również stanowczo zaprzecza. Pozostaje pytanie, czy zarzuty o korupcję uzasadniają areszt śledczy w najcięższym zakładzie karnym w kraju, w zapluskwionej celi, łącznie z całkowitą izolacją. Prokuratura uważa, że tak, bo istnieje ryzyko ucieczki. Opozycyjny Fidesz widzi w tym szykany i represje oraz próbę kryminalizacji i zniszczenia opozycji za pomocą sfabrykowanych zarzutów.

Według węgierskich mediów w aresztach ma przebywać już co najmniej tuzin osób związanych z opozycją. W czerwcu w wywiadzie dla kanału YouTube „De! Akcióközösség" Ferenc Bíró, szef Urzędu ds. Integralności (Integritás Hatóság), który monitoruje wydatkowanie funduszy unijnych na Węgrzech, stwierdził, że „głęboko zakorzeniona korupcja pod rządami Viktora Orbána kosztowała Węgry ok. 60 bln forintów (165 mld euro) w ciągu ostatnich 16 lat". Tyle że samemu Bíró postawiono zarzuty korupcyjne – miał m.in. zatrudniać w urzędzie znajomego z miesięczną pensją 2 mln forintów (24 tys. zł), a także wydawać służbowe środki na prywatne

Fot. MTI80/CC BY-SA 3.0

eprasa.pl 61dfdd5e4e

potrzeby swoje i żony. Śledztwo w jego sprawie wszczęto już za rządów Fideszu. Być może dlatego Bíró tak usilnie zabiega o względy nowych władz. Ponadto nie wiadomo, skąd wziął taką kwotę, jakby nie patrzeć – astronomiczną.

W lipcu parlament zatwierdził powołanie Narodowego Urzędu ds. Odzyskiwania i Ochrony Majątku (NVVH), który, jak chce premier Magyar, ma „bezwzględnie" rozliczyć korupcję w czasie wieloletnich rządów Orbána. Oznacza to zapewne kolejne zatrzymania. Kristóf Szatmáry, członek prezydium partii, utrzymuje, że nowy gabinet sporządził listę ok. 100 polityków Fideszu, których zamierza postawić przed sądem za wszelką cenę. W ramach sprzeciwu 17 sierpnia w Budapeszcie odbył się wiec w obronie Búsa i innych zatrzymanych. Wydarzenie pod hasłem „Zło dobrem zwyciężaj" zostało zorganizowane przez CitizenGO Węgry, katolicką organizację obywatelską. Celem inicjatywy jest „obrona osób przetrzymywanych bez procesu". Uczestnicy modlili się za byłego burmistrza Óbudy, który sam jest wierzącym katolikiem. Wśród obecnych był m.in. Balázs Hankó, były minister kultury i poseł Fideszu.

PREMIER INFLUENCER

Od momentu objęcia władzy 12 maja, ponad 100 dni temu, premier Magyar wykorzystał fakt, że posiada większość dwóch trzecich w parlamencie, do usunięcia ze stanowisk osób, które od lat popierały politykę Orbána. Przedstawiciele opozycji dostrzegają w tym tendencje niedemokratyczne, a nawet autorytarne. W lipcu prezydent Tamás Sulyok, którego Magyar określiły mianem „marionetki" Orbána, został zmuszony do rezygnacji w drodze poprawki do konstytucji. Premier wymienił także prezesa Sądu Najwyższego, prokuratora generalnego i całkowicie zreorganizował media państwowe. Wszystko to uzasadniał faktem, że „popiera go większość Węgrów".

Obserwatorzy, także w zachodnioeuropejskich mediach, zaczynają jednak zauważać, że Magyar nie zawsze działa praworządnie, choć właśnie to obiecał Węgrom. Na stronie internetowej austriackiego nadawcy publicznego ÖRF możemy przeczytać, że „sposób, w jaki Magyar wprowadza swoje reformy, pozostawia wyraźny niesmak". Według nadawcy premier skupia w swoich rękach całą władzę. Wśród dziennikarzy mówi się o rządach facebookowych. „Jednym postem zawetował na Facebooku decyzje personalne w stacji telewizyjnej M1, która przecież miała się stać niezależna. Zatrudnione osoby zostały z powrotem zwolnione" – czytamy. Rząd, ministrowie? Niepotrzebni. Magyar wszystkim zarządza sam. „Wciąż zachowuje się jak one man show. Zajmuje się większością komunikacji. Tradycyjne media, te przychylne, też przestały mu się już podobać. Bo nie są wystarczająco bezkrytyczne" – uważa ÖRF. Liczą się emocje, polityczny teatr wokół rozliczeń, który ma przykryć m.in. złą sytuację gospodarczą. Igrzyska, bo wiele chleba raczej nie będzie.

SZKOLNE BŁĘDY

Ten styl uprawiania polityki już mu poważnie zaszkodził. Po usunięciu Sulyoka nowego prezydenta mieli wybrać Węgrzy. Tak wielokrotnie obiecywał im premier. Ostatecznie wybrał go sam. Tak, właśnie na Facebooku. Szkoda tylko, że jego wybranka, szachistka Judit Polgár, nie miała ochoty na piastowanie tego zacnego urzędu. Mógł ją chociaż zapytać. Ale zapomniał. Niezadowolenie najwyraźniej pojawiło się również wśród bazy TISZY. Szybki sondaż wykazał, że więcej członków partii sprzeciwiało się kandydaturze Polgár, niż ją popierało. „Co tam, Péter, czy to już druga Judit, która ci odmówiła?" – napisał ktoś złośliwie na Facebooku. Jego była żona, Judit Varga, rozwiodła się z nim z powodu jego „agresywnej osobowości". Magyar natychmiast dokonał samokrytyki. Stwierdził, że złożył wiele obietnic w trakcie kampanii wyborczej (według opozycji 1213) i że był „pierwszym, który przyjmował krytykę", gdy realizacja tych obietnic zawodziła.

Ostatecznie nowym prezydentem został były prezes węgierskiego Sądu Najwyższego András Baka. Fidesz zbojkotował głosowanie w parlamencie. Rządzenie za pomocą emocji, które praktykuje Magyar i które było szczególnie widoczne podczas jego zwycięskiej kampanii, coraz mniej podoba się Węgrom. „Jego populizm zaczyna drażnić" – powiedział w rozmowie z niemiecką telewizją publiczną ZDF historyk Péter Techet z Instytutu Wiedeńskiego ds. Regionu Dunaju i Europy Środkowej. Także tych, którzy chcieli zakończenia rządów Fideszu. „Aby zapewnić przejrzyste i dobrze funkcjonujące rządy prawa, rząd musi porzucić podejście „jedna partia rządzi wszystkimi" – apelował Áron Demeter, rzecznik Amnesty International w Budapeszcie.

Okres miodowy Magyara dobiegł zresztą końca. Oczekiwania społeczne są ogromne, a premier ewidentnie nie jest w stanie ich zaspokoić. Pedagodzy, którym obiecano 20-procentowe podwyżki, otrzymali ostatecznie zaledwie 0,4 proc. Pojawia się pierwsze rozczarowanie. W najnowszych badaniach opinii publicznej Magyar zanotował spadek zaufania o 10–12 proc. i wypadł z czołówki najpopularniejszych polityków w kraju.

SPADAJĄCE POPARCIE

Początkowo euforyczne poparcie wyborców dla TISZY także wydaje się słabnąć. Najnowszy sondaż Europion (z 11 sierpnia) przyniósł trzy godne uwagi wyniki: poparcie dla TISZY spadło do 61 proc., co wciąż jest reultatem bardzo wysokim, ale jednocześnie najniższym odnotowanym przez jakikolwiek instytut sondażowy od wyborów parlamentarnych 12 kwietnia. Najwyższe wyniki, mierzone przez kilka instytutów, wahały się w czerwcu między 73 a 74 proc. Jednak sam Europion nigdy nie odnotował tak wysokich rezultatów, nawet w szczytowym momencie TISZA uzyskała zaledwie 65 proc. Ponadto Europion po raz pierwszy odnotowuje dwucyfrowy wynik prawicowej partii Mi Hazánk – 10 proc. Dotąd żaden inny instytut nie odnotował tak wysokiego poparcia dla tej niewielkiej prawicowej partii. Wreszcie – nawet 30 proc. Węgrów byłoby gotowych oddać głos na zupełnie nową partię, wszystko jedno, czy z prawicy, czy z lewicy, co pokazuje rosnący poziom frustracji z powodu obecnej klasy politycznej. Jest to ostrzeżenie szczególnie dla TISZY – w końcu to partia Magyara miała stanowić nową jakość na węgierskiej scenie politycznej.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Świątynia szintoistyczna Fushimi Inari w Kioto



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Relacja z Japonii

Taniej niż nad Bałtykiem

Podróż do Japonii nie jest tania, choć dla amatorów lotniskowych przesiadek nie będzie dużo droższa od wyprawy kamperem do Hiszpanii. Na miejscu – poza szybkim transportem – wszystko jest jednak znacznie tańsze niż w Polsce, a turystycznych atrakcji – znacznie więcej niż nad Bałtykiem. To zupełnie inny świat

Tego lata po raz trzeci zawitałem do Japonii. Osiem lat temu, kiedy dotarłem tam po raz pierwszy, miałem wrażenie, jakbym znalazł się na innej planecie. Tym razem ta obca cywilizacja nie była dla mnie już taka enigmatyczna. Lata studiowania kultury i historii Kraju Wschodzącego Słońca zaowocowały znacznie bardziej kompletną i przede wszystkim świadomą eskapadą.

Tym razem trasa wiodła przez miejsca trochę mniej popularne, ale bardziej odpowiadające moim zainteresowaniom. Za pierwszym razem nie byłem jeszcze w stanie określić, co najbardziej pociąga mnie w Japonii. Wyprawa ograniczała się głównie do największych atrakcji turystycznych. Tym razem też ich nie zabrakło, bo nie sposób oprzeć się urokowi architektury japońskich zamków i świątyń. Jednak miejsc godnych zobaczenia nie brakuje również poza głównym szlakiem. A może tam jest jeszcze ciekawiej.

Oczywiście wyprawa do Kraju Kwitnącej Wiśni bez żmudnych przygotowań i zwiedzanie jedynie Tokio i Kioto też nie są pozbawione sensu. Liczba miejsc godnych zobaczenia tylko w tych dwóch miastach wystarcza na wiele tygodni. Japonia – z jej kulturą kształtowaną przez tysiąclecia i jakże inną, wyspiarską przyrodą – jest dla przyjezdnych niemal jak Disneyland, który notabene też tam znajdziemy, wystarczy dojechać kolejką z centrum stolicy.

MIŁA DLA PORTFELA

Sam przelot nie jest najtańszy, bo ceny bezpośredniego, 12-godzinnego połączenia z Warszawy do Narity – wielkiego lotniska oddalonego od Tokio o ok. godzinę jazdy pociągiem – zaczynają się od 4 tys. zł. Można znaleźć bilety tańsze o połowę i więcej, ale wówczas należy liczyć się z minimum dwiema przesiadkami oraz znacznie dłuższym czasem lotu i oczekiwaniem na połączenia.

Wysoki koszt biletu rekompensują ceny na miejscu. Obecny, znacznie korzystniejszy niż kilka lat temu kurs jena do złotówki sprawia, że wszystko poza transportem jest znacznie tańsze niż w Polsce. Koszty przemieszczania się koleją można obniżyć, kupując przed przylotem Rail Pass – dostępny wyłącznie dla turystów karnet ważny przez tydzień, dwa lub trzy tygodnie – w zależności od potrzeb i tego, ile chcemy za niego zapłacić.

Jeżeli myślimy o wymianie garderoby, warto zostawić dużo wolnego miejsca w bagażu. Ubrania w japońskich sklepach są wyraźnie tańsze, wybór przyprawia wręcz o zawrót



Park Shōsei-en w Kioto

eprasa.pl 61efdd5e4e

Spod mapki wyłaniają się eksponaty Muzeum Narodowego w Tokio



Park Pokoju w Hiroszimie



Jedna z tysięcy tokijskich uliczek

Jelonki na wyspie Miyajima są bardzo przyjazne





„Zamek Kruków”





Oaza zieleni pośród tokijskiej zabudowy



Góra Fuji z lotu ptaka

eprasa.pl 61dfdd5e4e

głowy, a jakość na pewno jest nie gorsza niż w naszych galeriach handlowych. Szczególnie ceny butów – niższe o połowę – są miłe dla portfela. Jednak łatwo też wpaść w pułapkę taniości – niekończące się sklepy, oferujące wyjątkowo atrakcyjne dobra zarówno pod względem ceny, jak i ich unikatowości, mogą sprawić, że liczba zakupionych przedmiotów uczyni wyrwę w stanie naszego konta.

Za noclegi zapłacimy akceptowalne stawki, a uwzględniając oczekiwania cenowe nad Bałtykiem, będą one wręcz groszowe. Jeżeli ktoś miałby jednak ochotę wydać więcej, może wybrać luksusowe hotele. Sushi jest jedną z droższych opcji (ceny porównywalne z polskimi) i zarazem najmniej ciekawą. Kulinarna Japonia to oferta dziesiątek tysięcy lokali, wręcz niemożliwa do opisania. Każdy znajdzie tam coś dla siebie: oryginalnego, azjatyckiego, a także naszego swojskiego schabowego – tyle że kryjącego się pod nazwą „tonkatsu" i podawanego z ryżem.

CO ZOBACZYĆ?

Punkty na mapce dołączonej do artykułu wskazują najważniejsze przystanki mojej trasy. Wieczorny przylot z Warszawy do Narity wymusił konieczność zanocowania w hotelu kapsułowym na lotnisku. Rankiem następnego dnia miałem już następny lot do Nagasaki, który okazał się dodatkową atrakcją. Spojrzenie z lotu ptaka na Tokio pozwala dostrzec ogrom miasta, ale najlepsze miało dopiero nadejść. Rzut oka z pokładu samolotu na majestatyczną górę Fuji pozwala zrozumieć, dlaczego ten wygasły wulkan stał się jednym z symboli Japonii.

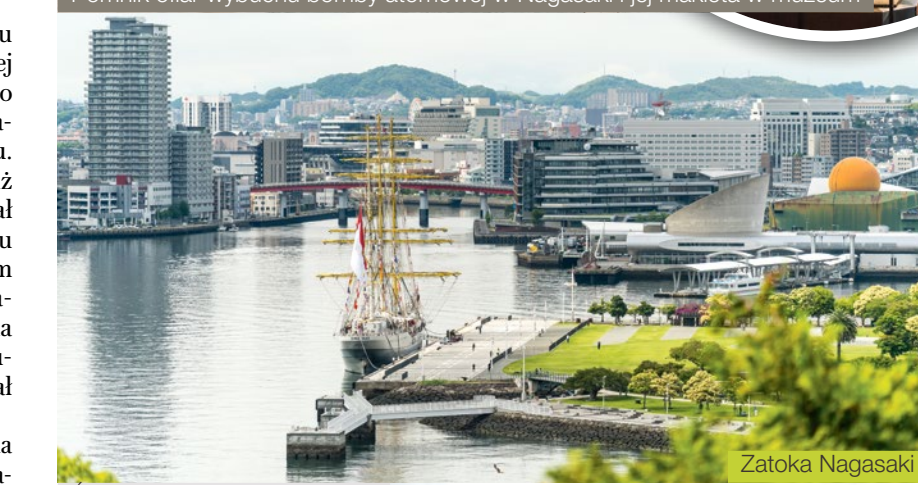
Duża liczba kościołów i historyczna obecność cudzoziemców sprawiały, że Nagasaki wydawało się najmniej japońskim z tamtejszych miast. Podobnie jak w Hiroszimie część jego tożsamości jest zbudowana wokół wybuchu bomby atomowej. W obu miastach znajdziemy muzea, pomniki i parki poświęcone tragicznym wydarzeniem z sierpnia 1945 r. Pobyt tam wspominam jako najprzyjemniejszy – być może dzięki polskim śladom (w mieście działał św. Maksymilian Kolbe), a może dlatego, że Nagasaki jest niewielką, spokojną miejscowością, położoną daleko od najważniejszych turystycznych szlaków.



Przed katedrą Urakami w Nagasaki ustawiono pomnik Jana Pawła II



Pomnik ofiar wybuchu bomby atomowej w Nagasaki i jej makieta w muzeum



Zatoka Nagasaki



Świątynia Heian-jingū w Kioto

Fot. Andrzej Skwarczyński


Zamek Białej Czapli w Himeji


Zamek w Osace, nazywany złotym lub brokatowym zamkiem


Nikko, najbogaciej zdobiona brama w Japonii


W hotelu kapsułowym



Osaka słynie z najlepszych takoyaki – ośmiornicy w cieście

Z kolei oddalona o ok. 3 godziny jazdy pociągiem (z przesiadkami) Hiroszima jest dużym miastem. Odniosłem wrażenie, że poza obleganym przez tłumy turystów muzeum bomby atomowej ma niewiele do zaoferowania. Owszem, jest jeszcze odbudowany zamek, ale obecnie ze względu na pęknięcie fundamentów pozostaje zamknięty. Znacznie bardziej atrakcyjna jest położona w pobliżu wyspa Miyajima ze słynną bramą torii stojącą w morzu oraz przyjaznymi jelonkami. Niedaleko leży miasto Kure, gdzie zbudowano pancernik Yamato, czyli największy w historii japoński okręt. W kwietniu zakończyła się renowacja Muzeum Yamato, które teraz stanowi magnes przyciągający zarówno Japończyków, jak i turystów.

SZYBKA PODRÓŻ

Po drodze do Kioto dwukrotnie wsiadałem do superszybkich pociągów – shinkansenów. Najpierw w Okayamie, gdzie zobaczyłem jeden z dwóch japońskich zamków z fasadą w czarnym kolorze – Zamek Kruków. Z kolei Zamek Białej Czapli w Himeji, największy w Japonii, okazał się rozczarowaniem – poza rozmiarem nie miał do zaoferowania zbyt wiele. We wnętrzu można było zobaczyć praktycznie tylko puste pomieszczenia.

Jego przeciwieństwem była warownia w Osace. Główna, biało-złota wieża otoczona gigantycznymi murami obronnymi i szeroką fosą została przebudowana i mieści muzeum z mnóstwem eksponatów. Samo miasto zapamiętałem jako skupisko wieżowców, wybudowanych niemal jeden na drugim, i ulic przepełnionych ludźmi spieszącymi we wszystkich kierunkach. Padający deszcz zmuszał przechodniów do ukrywania się pod parasolami, których tysiące potęgowały klaustrofobiczne wrażenie.

Kioto to jak gdyby nasz Kraków. W dawnej stolicy cesarstwa jest wiele zabytków. Urok tego miasta tak mocno zadziałał na amerykańskiego sekretarza wojny Henry'ego Stimsona, który przed 1939 r. odwiedził je kilkakrotnie, że nakazał wykreślić je z listy celów bombardowań atomowych (jego miejsce zastąpiło Nagasaki).

W Kioto znajdziemy najwięcej drewnianych świątyń, pałac cesarski i zamek Nijo z podłogą skrzypiącą na podobieństwo słowiczego śpiewu, o architekturze innej niż pozostałe japońskie warownie. Wielkość miasta i jego usytuowanie na płaszczyźnie sprawiają, że najlepiej przemieszczać się po nim na rowerze, którego wypożyczalnie można łatwo znaleźć. Chętni mogą również wynająć kimona i poczuć się jak Japończycy z dawnych czasów, choć potomków samurajów noszących tradycyjne stroje najłatwiej spotkać na ulicach tego miasta. Ze względu na swoją atrakcyjność przyciąga ono rzesze turystów, toteż aby zobaczyć najbardziej popularne punkty, trzeba przeciskać się przez tłumy ludzi.

Z kolejnego shinkansenu wysiadłem w Tokio. Ogrom możliwości, jakie daje największe miasto globu, jest trudny do wyobrażenia. W niekończących się galeriach handlowych można wydać wszystkie pieniądze świata. Stolica to jednak nie tylko komercja. Wizyta w muzeum narodowym stanowi podróż przez tysiąclecia japońskiej historii i kultury. Każdy park to oaza spokoju i harmonii pośród skupisk wieżowców i neonów, a po zmierzchu wąskie uliczki oświetlane feeriami barw wyglądają jak scenografie futurystycznego filmu. W którąkolwiek stronę się skierujemy, znajdziemy coś ciekawego, szczególnie jeżeli trafimy na targ rybny Tsukiji.

Ostatnim akcentem wyprawy było Nikko, położone na północ od Tokio, z kompleksem szintoistycznych chramów wzniesionych ku czci pochowanego tam Tokugawy Ieyasu, pierwszego szoguna z tego rodu. Tutejsze budowle sakralne są najbogaciej zdobione w całej Japonii i wyróżniają się na tle pozostałych chramów i świątyń.

Zobaczyć, dotknąć, zapamiętać – to wciąż mało. Ponad dwa tygodnie tej wyprawy minęły niemal niezauważalnie. Taka właśnie jest Japonia.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Polska wraca na morze



Bitwa pod Oliwą, 28 listopada 1627 r.

W Zatoce Gdańskiej zwodowano ORP Wicher – pierwszą z trzech fregat zbudowaną w ramach programu „Miecznik". Po raz pierwszy od dziesięcioleci Polska buduje w kraju duże, wielozadaniowe okręty bojowe. Nazwa Wicher nie została wybrana przypadkiem. Pierwszy polski niszczyciel noszący to imię był symbolem morskich ambicji II RP. Jego następca ma symbolizować powrót do nich



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Choć Rzeczpospolita nigdy nie była mocarstwem morskim, Polacy od stuleci byli obecni na morzach i oceanach. Po raz pierwszy polskie siły morskie odegrały istotną rolę w XV w.: podczas wojny trzynastoletniej z zakonem krzyżackim polska flota kaperska zablokowała Bałtyk, odcinając Krzyżaków od dostaw do Królewca. W 1463 r. odnieśliśmy zwycięstwo nad flotą krzyżacką w bitwie na Zalewie Wiślanym, przyczyniając się do ostatecznego triumfu Rzeczypospolitej w tym konflikcie.

Ponad półtora wieku później, na początku XVII w., Zygmunt III Waza podjął próbę stworzenia stałej królewskiej floty wojennej, która miała walczyć ze Szwecją i Rosją. Okręty budowano w Gdańsku i Pucku. 28 listopada 1627 r. pod Oliwą polskie statki odniosły zwycięstwo nad szwedzką eskadrą blokującą Gdańsk. Był to jednak raczej epizod niż początek trwałej potęgi morskiej. Brak decyzji sejmu o dalszym finansowaniu floty doprowadził do sprzedaży okrętów. Rzeczpospolita pozostała przede wszystkim państwem lądowym, a po utracie niepodległości na ponad 100 lat całkowicie zniknęła z mapy politycznej Bałtyku.

MORZE, KTÓRE TRZEBA BYŁO ODZYSKAĆ

Kiedy w listopadzie 1918 r. odradzało się państwo polskie, Bałtyk postrzegano jako jeden ze strategicznych kierunków jego odbudowy. Decyzje o tworzeniu marynarki wojennej zapadły niemal natychmiast po odzyskaniu niepodległości, długo przed formalnym objęciem przez Polskę części bałtyckiego wybrzeża, co nastąpiło dopiero na mocy postanowień traktatu wersalskiego.

Fot. www.wbc.poznan.pl, NAC

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Już w pierwszych dniach listopada 1918 r. rozpoczęto organizowanie polskiej Marynarki Wojennej, początkowo przede wszystkim na bazie flotylli śródlądowej. Była to skromna formacja, wykorzystująca improwizowane jednostki i motorówki. Najsłynniejsza z nich, Flotylla Pińska, już w 1919 r. rozpoczęła walki z oddziałami Armii Czerwonej w dorzeczu Prypeci. W czasie wojny polsko-bolszewickiej marynarze pełnili jednak przede wszystkim służbę na lądzie, uczestnicząc w walkach frontowych.

Wkrótce zaczęto tworzyć fundamenty przyszłej Marynarki Wojennej. W Tczewie powstała Szkoła Morska, a na wybrzeżu rozpoczęto budowę Gdyni. Funkcję pierwszego portu wojennego pełniła niewielka marina rybacka w Pucku. To właśnie tutaj zacumował pierwszy okręt pod polską banderą na Bałtyku – ORP Pomorzanin, zakupiony za prywatne środki przez kmdr. Józefa Unruga.

Tak wyglądały początki odradzającej się polskiej floty. W latach 20. jej trzon stanowiły poniemieckie trałowce i torpedowce. Były to jednostki przestarzałe i niewielkie, ale pozwalały zdobywać pierwsze doświadczenia i szkolić kadry.

WICHER – PIERWSZY NOWOCZESNY OKRĘT

W 1926 r. Polska zamówiła we Francji dwa niszczyciele: Wichra i Burzę. Stępkę pod ORP Wicher położono 19 lutego 1927 r. w stoczni Blainville. 10 lipca 1928 r. okręt został zwodowany, choć samo wodowanie nie przebiegło zgodnie z planem – kadłub zatrzymał się na pochylni i potrzebna była pomoc holownika. Biało-czerwoną banderę podniesiono na okręcie dopiero 8 lipca 1930 r., a kilka dni później ORP Wicher zawinął do Gdyni.

Jak na ówczesną Polskę była to imponująca jednostka. Statek miał niemal 107 m długości, a jego turbiny o łącznej mocy 35 tys. KM pozwalały rozwijać prędkość ponad 30 węzłów. Główne uzbrojenie stanowiły cztery działa kalibru 130 mm. Uzupełniały je działa przeciwlotnicze, karabiny maszynowe, wyrzutnie torped, miotacze bomb głębinowych oraz wyposażenie do stawiania min. Załoga liczyła ok. 160 marynarzy.

Wicher nie był jednak okrętem bez wad. Próby odbiorcze ujawniły problemy ze stabilnością i osiągami oraz usterki kotłów i turbin, a jego obrona przeciwlotnicza pozostawiała wiele do życzenia. Polska dopiero uczyła się projektowania, zamawiania i eksploatacji nowoczesnych jednostek bojowych. Doświadczenia z eksploatacji Wichra i włączonej w 1932 r. do służby Burzy wykorzystano później przy projektowaniu następnych niszczycieli: Gromu i Błyskawicy.

MAŁA FLOTA, CORAZ WIĘKSZE AMBICJE

W latach 30. polska Marynarka Wojenna wciąż była niewielką, ale coraz nowocześniejszą siłą. Na Zachodzie zamawiano kolejne okręty. Obok Wichra i Burzy pojawiły się dwa brytyjskie niszczyciele: Grom i Błyskawica. Polska zamówiła również pięć okrętów podwodnych: Wilka, Rysia, Żbika, Orła i Sępa, a także stawiacza min – Gryfa. Rozwijano także rodzimy przemysł stoczniowy. W kraju powstało sześć trałowców, przygotowywano się do budowy dwóch kontrtorpedowców.

Kierownictwo marynarki z wiceadm. Kazimierzem Porębskim, kontradm. Jerzym Świrskim i kontradm. Józefem Unrugiem na czele rozpoczęło także rozwój infrastruktury lądowej Marynarki Wojennej. W Gdyni powstała główna baza Marynarki Wojennej z nowoczesnym portem, a na Helu utworzono bazę pomocniczą. Powstawały także jednostki piechoty i artylerii wsparcia, logistyki, a także inne specjalistyczne grupy.

Utworzono również Lotnictwo Marynarki Wojennej. Jego twórcą był kmdr Karol Trzaska-Durski. Samoloty Morskiego Dywizjonu Lotniczego bazowały w Pucku. Programy rozbudowy floty były coraz ambitniejsze. Planowano dalsze zwiększenie jej potencjału o dwa niszczyciele i sześć okrętów podwodnych. Wybuch wojny przerwał realizację tych zamierzeń. W przededniu konfliktu Marynarka Wojenna RP dysponowała czterema niszczycielami, pięcioma okrętami podwodnych, stawiaczem min, sześcioma trałowcami, dwiema kanonierkami oraz kilkudziesięcioma jednostkami szkolnymi, specjalnymi i pomocniczymi.

TAKTYCZNY ODWRÓT

Mimo zakupów Polacy wiedzieli, że na Bałtyku nie mogą rywalizować z Niemcami. Dlatego dużą wagę przywiązywano do okrętów podwodnych, min i lotnictwa morskiego. Flota miała nie tyle pokonać Kriegsmarine w klasycznej bitwie, ile utrudnić przeciwnikowi korzystanie z Bałtyku, osłaniać polskie wybrzeże i komunikację, a w razie wojny przetrwać na tyle długo, by zachować najcenniejsze jednostki. 30 sierpnia 1939 r. w ramach planu „Pekin" jeszcze przed niemieckim atakiem Błyskawica, Grom i Burza wyszły z Gdyni. O godz. 14.15 trzy niszczyciele rozpoczęły rejs na zachód. Przez Bałtyk, Sund, Kattegat i Skagerrak przedostały się na Morze Północne, a następnie do Wielkiej Brytanii. Zdecydowano się wyprowadzić najcenniejsze okręty z akwenu, na



ORP Błyskawica

eprasa.pl 61dfdd5e4e

którym niemiecka przewaga lotnicza i morska mogła doprowadzić do ich szybkiego zniszczenia. Na Bałtyku pozostał Wicher, który wspólnie z Gryfem miał uczestniczyć w operacji minowania podejść do Zatoki Gdańskiej.

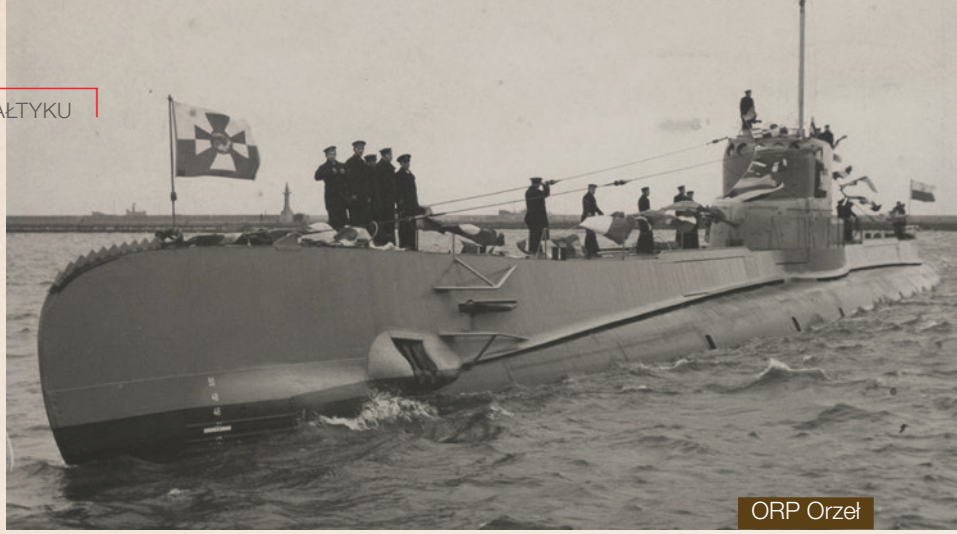
FLOTA OCEANICZNA

1 września polskie okręty w Zatoce Gdańskiej stoczyły walki z samolotami Luftwaffe. W ich wyniku uszkodzony został Gryf, który po rozstawieniu min powrócił do portu na Helu. 3 września niszczyciel ORP Wicher, stawiacz min ORP Gryf oraz bateria artylerii nabrzeżnej na Helu stoczyły zwycięski bój z dwoma niemieckimi niszczycielami, lekko uszkadzając jeden z nich. Tego samego dnia Wicher został trafiony i uszkodzony. Nie był już zdolny do normalnego działania i został wycofany do portu na Helu. Tego samego dnia niemieckie bomby zakończyły jego dziewięcioletnią służbę. Okręt osiadł na dnie jako pierwszy polski niszczyciel utracony podczas wojny. Również tego dnia rozpoczęła się ewakuacja ORP Gryf. Z kolei małe okręty nawodne kontynuowały obronę polskiego wybrzeża aż do 15 września.

Wojna sprawiła, że Polska Marynarka Wojenna stała się flotą oceaniczną. Polskie okręty walczyły na Atlantyku, Morzu Północnym, Morzu Śródziemnym i w Arktyce. Uczestniczyły w kampanii norweskiej, ewakuacji spod Dunkierki, bitwie o Atlantyk, operacji „Torch" w Afryce Północnej oraz lądowaniu w Normandii. Eskortowały także konwoje arktyczne płynące do Związku Sowieckiego. Jedną z najboleśniejszych kart była utrata ORP Grom. W maju 1940 r. niszczyciel został zatopiony przez niemieckie lotnictwo w Rombakkenfjordzie pod Narwikiem. Zginęło 59 marynarzy. ORP Błyskawica przetrwał wojnę, uczestnicząc w operacjach na Atlantyku, Morzu Śródziemnym i wodach północnej Europy. ORP Burza również przeżył wojnę, wykonując dziesiątki patroli i zadań eskortowych.

Szczególną legendą obrosła historia ORP Orzeł. Nowoczesny okręt podwodny został internowany w Tallinie po wejściu do estońskiego portu we wrześniu 1939 r. Estończycy zabrali załodze mapy, amunicję i część wyposażenia. W nocy z 17 na 18 września Polacy obezwładnili strażników i wyprowadzili okręt z portu. Orzeł ruszył w kierunku Wielkiej Brytanii praktycznie bez map. Oficer nawigacyjny Marian Mokrski odtwarzał trasę na podstawie ocalałego spisu latarń. 14 października okręt dotarł do Wielkiej Brytanii.

Do 1947 r. Marynarka Wojenna funkcjonowała w ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Według materiałów IPN podczas wojny polskie okręty eskortowały 787 konwojów i uczestniczyły w 665 walkach morskich. Stan osobowy Marynarki Wojennej wzrósł z ok. 800 ludzi jesienią 1939 r. do ok. 4 tys. w maju 1945 r.


ORP Orzeł

PO WOJNIE

Po 1945 r. polska Marynarka Wojenna rozwijała się ściśle powiązana ze Związkiem Sowieckim. Flota PRL dysponowała większą liczbą jednostek niż przedwojenna Marynarka Wojenna, jej zadania i wyposażenie wynikały jednak przede wszystkim z potrzeb bloku wschodniego. W latach 70. trzon sił uderzeniowych stanowiły m.in. kutry rakietowe, okręty podwodne i niszczyciele. W 1971 r. utworzono 3. Flotyllę Okrętów, która stała się główną siłą uderzeniową polskiej floty. W jej skład wchodziły m.in. cztery okręty podwodne typu 613, kutry rakietowe i niszczyciele. Jednym z symboli schyłku tej epoki był ORP Warszawa – sowiecki niszczyciel rakietowy typu 61M, który służył pod polską banderą do 2003 r. Wówczas okazało się, że Polska, posiadająca jedynie stary sowiecki sprzęt, po raz kolejny musi budować swoją flotę niemal od nowa.

„MIECZNIK", CZYLI POWRÓT DO BUDOWY DUŻYCH OKRĘTÓW

Dzisiejszy ORP Wicher pod wieloma względami ma przewyższać swojego przedwojennego poprzednika. Nowa fregata liczy ok. 140 m długości i została zbudowana w Gdyni. Polska chce mieć zdolność projektowania, integrowania i budowania dużych okrętów bojowych. 12 sierpnia 2026 r. przyszły ORP Wicher otrzymał imię podczas uroczystości w Gdyni. Dzień później zwodowano jego kadłub. To pierwszy z trzech Mieczników, kolejne mają nosić imiona Burza i Huragan. Kontrakt na trzy fregaty, podpisany w lipcu 2021 r., jest największym w historii zamówieniem dla krajowego przemysłu obronnego. Obecny harmonogram zakłada przekazanie fregat Marynarce Wojennej kolejno w 2029, 2030 i 2031 r. Miecznik jest fregatą wielozadaniową. Do jej obowiązków ma należeć obrona nie tylko polskiego terytorium, lecz także państw bałtyckich. Polska jest członkiem NATO, a nasze bezpieczeństwo zależy od współdziałania z flotami państw sojuszniczych. Bałtyk również przestał być akwenem, na którym można myśleć wyłącznie o obronie własnego wybrzeża. Okręty mają być elementem większego systemu rozpoznania, obrony powietrznej, ochrony szlaków komunikacyjnych i odstraszania.

W 1930 r., gdy pierwszy ORP Wicher wpływał do Gdyni, polska prasa pisała o nim jako o początku właściwej polskiej floty wojennej. Dziś można powiedzieć coś podobnego. Przedwojenny Wicher był symbolem państwa, które po 123 latach odzyskało dostęp do morza i chciało udowodnić, że potrafi go bronić. Nowy ORP Wicher jest symbolem państwa, które po latach zaniedbań próbuje odbudować pełnowartościowe zdolności morskie.

Fot. NAC

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Jeden do miliona

Był już Elvisem Presleyem w filmie Sofii Coppoli „Priscilla" i tytułowym Frankensteinem u Guillerma del Toro. Teraz Jacoba Elordiego, Australijczyka z baskijskimi genami, możemy oglądać w filmie „Gwiazdozbiór psa" Ridleya Scotta

Fot. 20th Century Studios

eprasa.pl 61dfdd5e4e



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Fot. 20th Century Studios

Jego ojciec chętnie wspomina tę rozmowę. Powiedział wtedy najmłodszemu ze swoich pięciorga dzieci: „Szansa, że zostaniesz aktorem, jest jak jeden do miliona". I usłyszał: „Dlaczego to nie mogę być ja? Tą jedną osobą na milion?".

DWIE PERSPEKTYWY

Według ojca Jacob od zawsze wierzył w siebie i od początku wiedział, kim chce być, choć jako nastolatek miał w perspektywie dwie drogi do sławy. Drugą było rugby.

Kontuzja sprawiła, że mocniejszą opcją okazało się aktorstwo. Dziś ten 29-latek z imponującą filmografią – rozpoznawalny w świecie mediów, zdolny i przystojny, choć jak na hollywoodzkie standardy zaskakująco wysoki (mierzący 196 cm) – może w pełni potwierdzić, że miał do tej pory sporo szczęścia. A także umiał wykorzystać kolejne szanse. I nadal to potrafi.

AKT ODWAGI

Reżyser „Obcego", „Łowcy androidów", „Gladiatora" czy „Marsjanina", czterokrotnie nominowany do Oscara, zaprosił Elordiego do świata, do którego sam wrócił po raz kolejny. Świata, w którym każdy dzień jest walką o przetrwanie, a największym aktem odwagi okazuje się zachowanie człowieczeństwa.

„Gwiazdozbiór psa", zrealizowany na podstawie powieści Petera Hellera, rozgrywa się w postapokaliptycznej rzeczywistości. Po globalnej epidemii grypy, która niemal doszczętnie zmiotła ludzkość z powierzchni Ziemi, młody pilot Hig (Elordi) pozostaje jednym z nielicznych ocalałych. Jego azylem jest opuszczone lotnisko. Gdy pewnego dnia odbierze sygnał radiowy, postanowi ruszyć w nieznane, wierząc, że gdzieś wciąż istnieje nadzieja.

Niezmordowany, liczący dziś 89 lat Ridley Scott podkreśla, że jego najnowszy film ma pozostawić widzów z poczuciem, iż nawet po największej katastrofie możliwe jest rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

POŻEGNANIA I OTWARCIA

Podobno pierwszym wyborem reżysera do głównej roli w „Gwiazdozbiorze psa" był Brytyjczyk Paul Mescal (Lucius z „Gladiatora 2"). Ostatecznie Scott postawił na aktora z antypodów (swoją drogą, Russell Crowe z pierwszej części „Gladiatora" też pochodzi z Australii). W ostatnich latach Elordi dał się poznać jako odtwórca bardzo różnych i zarazem głośnych medialnie ekranowych postaci.

Ten rok rozpoczął od mocno reklamowanej, a także kontrowersyjnej wersji „Wichrowych wzgórz". Zagrał w niej Heathcliffa u boku również pochodzącej z antypodów Margot Robbie.

Niewiele wcześniej w spektakularny sposób pożegnał się z bohaterem „Euforii" – serialu, który przetarł mu drogę do kina. Od 2019 r. przekonująco budował w nim postać szkolnego prześladowcy, udowadniając, że na ekranie potrafi nie tylko dobrze wyglądać (co przekładało się na rzesze fanek), lecz także grać. W trzecim, najnowszym sezonie „Euforii" Nate Jacobs zginął długą i okrutną śmiercią.

Jednak w br. Elordiemu towarzyszą nie tylko mocne finały. Został po raz pierwszy nominowany do Oscara – dla najlepszego aktora drugoplanowego w filmie „Frankenstein". Wyrazistą charakteryzację potrafił wykorzystać do stworzenia chwalonego przez krytyków balansu między „potężną fizjonomią bohatera a jego wrażliwością; ciałem pełnym szwów a ukrytym pięknem; osamotnieniem i bliskością". Filmem, który na dobre otworzył przed aktorem drzwi do Hollywood, była natomiast „Priscilla" (2023) Sofii Coppoli. Aby wiarygodnie zagrać Presleya, obejrzał ponoć wszystkie wywiady z Elvisem, nauczył się grać na gitarze i zajadał się bekonem, ulubioną przekąską króla rock and rolla. Wzorem Daniela Day-Lewisa chciał się „zatracić" w postaci.

DROGI Z ANTYPODÓW

Do bycia aktorem przekonał go ostatecznie Heath Ledger, również Australijczyk, którego zobaczył jako 12-latek w roli Jokera w „Mrocznym Rycerzu". Był również zafascynowany Marlonem Brando, Jamesem Deanem i Christianem Bale'em. Czytał biografie, oglądał filmy i przesłuchania aktorskie, a następnie naśladował swoich ulubieńców. Zaczął również ćwiczyć amerykański akcent.

Nim jednak – zaraz po ukończeniu liceum – przeprowadził się do Stanów Zjednoczonych, wychowywał się w australijskim Brisbane. Grał w szkolnej drużynie rugby, a po treningach brał udział w zajęciach teatralnych. Po latach zdradził, że była to szansa na wyrwanie się z domu pełnego kobiet (oprócz brata ma trzy siostry).

Początki w Hollywood nie były łatwe. Nawet gdy trafił do netfliksowej produkcji „The Kissing Booth", która zapewniła mu rozpoznawalność, sypiał w samochodzie, gdy brakowało pieniędzy na czynsz. Stabilność finansową przyniosła mu „Euforia". Spektakularne zamknięcie udziału w tym serialu pozwoli Elordiemu pójść dalej. Czy Ridley Scott zaprosi go do swojego kolejnego przedsięwzięcia, ekranizacji powieści Roberta L. Stevensona „Wyspa skarbów"? Na razie nie wiadomo.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Niemiec wśród ruin

Pawlikowski sfotografował w „Ojczyźnie" niemiecką duszę i Thomasa Manna, mierzącego się z własną współwiną za ruinę Niemiec



Maciej Walaszczyk

Na ekranach kin od kilku tygodni można obejrzeć trzeci już film z tzw. powojennej trylogii Pawlikowskiego. Podobnie jak „Zimna wojna" i „Ida", czarno-biały, wizualnie wystudiowany, z detaliczną narracją, wyważonym tempem, siłą tego, co niewypowiedziane, uderzającym obrazem, skłaniającą do medytacji symboliką. To przede wszystkim pejzaż pełen ruin, stanowiących symbol powojennej Europy, nie tylko zniszczonej przez przechodzące fronty, brutalne okupacje i naloty. To strzępy politycznej i kulturowej potęgi, na której gruzach rozgościli się amerykańscy i sowieccy zdobywcy, symbolizowani przez wszechobecnych nadzorców z CIA i NKWD. Film jest też genialną fotografią niemieckiej duszy, tak znakomicie portretowanej w dziełach Manna i Goethego.

W XX w. Europa została podpalona nie tylko przez Hitlera i Stalina, lecz także wydała na siebie wyrok już w 1914 r. Zanim obejrzymy ten film, warto więc cofnąć się właśnie do tego momentu, gdy Mann, piszący dzieło życia, a więc „Czarodziejską górę", angażuje się w tworzenie wojennej publicystyki na potrzeby wilhelmińskich Niemiec. To wtedy powstają „Myśli w czasie wojny", w których dokonuje rozróżnienia między cywilizacją a kulturą, stając po stronie tej ostatniej, z jej wojowniczą, „stylową dzikością", formą, smakiem, awanturniczą i krwawą „duchową organizacją świata". Niedługo później, wraz z tragicznym dla Niemiec końcem I wojny światowej, ukazały się też monumentalne „Rozważania człowieka apolitycznego" – właściwie traktat wojenny, w którym pisarz z Lubeki akceptował wojnę jako akt mający oswobodzić jego naród z dezorientacji i dekadencji. To, co wtedy głosił, nie pasuje dziś do – jak to ujął prof. Wojciech Kunicki – polerowanego (także w tym filmie) przez zachodnie demokracje wizerunku „demokratycznego pisarza". Wielka wojna ściąga bowiem na Niemcy katastrofę, a Niemcy ściągają na Rosję bolszewizm. Dopiero po tym Mann przywdziewa kostium bojowego humanisty. Niemcom przytrafia się jednak narodowy socjalizm z próbą realizacji jego totalitarnej wizji. Nie godząc się lub nie pasując do nowych porządków, emigruje w 1933 r., osiadając ostatecznie w USA, gdzie m.in. wygłasza przemówienia radiowe.

Film ukazuje moment, gdy w 1949 r. po raz pierwszy wraca do Europy, do Niemiec, pobitych po raz drugi i podzielonych na strefy okupacyjne. Opowiedziana w „Ojczyźnie" historia jest jednak – jak tłumaczył reżyser – rodzajem dokumentalnej fantazji. Np. w odbywanej przez Manna (Hanns Zischler) podróży nie towarzyszyła mu córka Erika (znakomita Sandra Hüller), która celowo zbojkotowała wyjazd, lecz żona Katia. Jednak to właśnie wykreowana przez Pawlikowskiego Erika jest jednocześnie córką swego ojca, sekretarką, sojuszniczką, obrończynią i moralnym pudłem rezonansowym. Nigdy nie spotkano również jej byłego męża, aktora Gustava Gründgensa (Joachim Meyerhoff), sportretowanego w „Mefiście" Klausa Manna, ani synów Richarda Wagnera. Pisarz, który wojnę spędził w luksusowej rezydencji w Kalifornii, dopiero teraz zderza się ze skutkami konfliktu.

W kontrolowanym przez Amerykanów Frankfurcie i leżącym w sowieckiej strefie okupacyjnej Weimarze bierze udział w obchodach 200. rocznicy urodzin Goethego, przyjmuje nagrody. W tym ostatnim mieście niczym Mefistofeles z Fausta wita go Johannes Becher, przyszły minister kultury NRD, kontrolowany przez sowieckiego oficera politycznego, faktycznie nadzorującego budowę nowej polityki kulturalnej dla komunistycznych Niemiec. A obecność Manna, milczącego np. na temat zapełnionego więźniami politycznymi obozu w Buchenwaldzie, faktycznie je legitymizuje. Sceny z konferencji prasowej, w której mierzy się z krzyżowym ogniem pytań dziennikarzy, pokazują, że nie jest mile widziany przez wszystkich, nie znajdując miejsca na niezależność. Bo jego emigracyjna wizja „nowych Niemiec" leży w gruzach, zimnowojenny podział świata i kontynentu wymusza zaś podporządkowanie się. Ostatecznie nigdy już nie zamieszkał w swej ojczyźnie, a ostatnie lata życia spędził w Szwajcarii. Scena finałowa nie pozostawia wątpliwości – upadła jego „twierdza zbudowana ze słów".

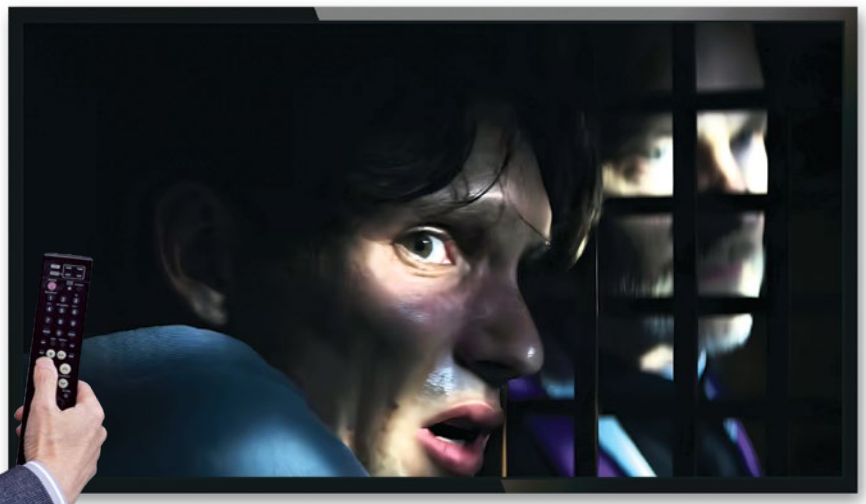


„Ojczyzna", reż. Paweł Pawlikowski, prod. Włochy, Polska, Francja, Niemcy, 2026

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 61dfdd5e4e





HITY i KITY ZAREMBY

Opowieść o ojcu marnotrawnym

„Odzyskany" Marcina Kwaśnego to skromny, można by rzec – offowy film, który 14 sierpnia trafił do kin. Jest nietypowy, odwołuje się do chrześcijańskiej wizji świata. Urzekł mnie empatycznym stosunkiem do swoich bohaterów i dobrym aktorstwem

W 2021 r., w apogeum pandemii COVID-19, aktor Marcin Kwaśny nakręcił niespełna 20-minutowy film „Spowiedź". Była to etiuda o chłopaku, który ucieka przed bandytami – chodziło o jakiś dług. Chroni się w kościele. Aby uniknąć prześladowców, klęka w konfesjonale. Rozmowa z księdzem nie przynosi religijnego przełomu, ale zostawia ślad w jego psychice.

Ta opowieść domagała się dalszego ciągu. Kwaśny zbierał pieniądze na pełnometrażową historię, zmagał się z przeciwnościami, tracił źródła finansowania, ale w końcu doczekaliśmy się premiery. „Odzyskanego" dystrybuuje firma Rafael Film, przyznająca się do ewangelicznych inspiracji.

Spodziewałem się rozwinięcia zmagań Janka z bandziorami, tymczasem Kwaśny opowiada klasyczną historię rodzinną. Najpierw o wysiłkach głównego bohatera, aby skutecznie opiekować się chorą matką, potem o jego spotkaniu z ojcem alkoholikiem.

Mam wrażenie dziur scenariuszowych, gubienia wątków, jakby autor scenariusza – także Kwaśny – o nich zapominał. To realistyczna opowieść, widza może więc ciekawić, jak Janek poradził sobie z osaczającym go zagrożeniem, które nagle znika. Takie luki widzę skądinąd w wielu polskich filmach. Kinga Dębska w „Święcie ognia" pokazała nam wyciskającą łzy historię ojca, dniem i nocą opiekującego się chorą córką. Zapomniała nam tylko powiedzieć, z czego ta rodzina żyje.

W „Odzyskanym" mamy odbywające się poza kamerą przeskoki z trudnych sytuacji do łatwiejszych finałów. Musimy w nie wierzyć, skoro przekonuje się nas do ewangelicznych wyborów. Ale zarazem...

Chwała Kwaśnemu za kilka scen, takich jak ta niezwykła, w której Janek uczy swojego ojca pływać. Albo długa, poruszająca sekwencja, kiedy taszczy go pijanego przez całe miasto. Tu nie jest już tak łatwo. Nagle dostajemy lekcję, jakiego wysiłku wymaga dobry cel.

Marcin Kwaśny powiedział podczas premiery, że to film o facetach, którzy nie boją się płakać. O konieczności płaczu współczesnych mężczyzn zwykle przekonuje lewica, a tu nagle taką potrzebę rozumie konserwatysta. Może te szufladki są zbyt schematyczne?

Aktor i reżyser przyznaje się do tego, że sam popadł w alkoholizm i że się z niego wyzwolił. To jest filmowa opowieść o nałogu, ale przede wszystkim o tym, że każdemu warto dać szansę. Z przedziwnym pomieszaniem ról. Ktoś powiedział, że mamy tu marnotrawnego ojca i syna, który chce go uratować. To także wydaje się mało konserwatywne. A jednak...

Ten film nie robiłby takiego wrażenia, gdyby nie obsada. Filip Gurłacz jest bardzo przekonujący, prowadząc swojego Janka drogą przemiany. Na początku to znerwicowany chłopak, bliski wybuchu. Na końcu jest całkiem inny: delikatny, dojrzały, uspokojony.

Film stanowi prawdziwy popis umiejętności aktorskich Andrzeja Mastalerza w roli ojca. Kwaśny miał rację, mówiąc, że jedno jego spojrzenie znaczy więcej niż długi monolog. Znękana twarz aktora przemawia do nas nieustannie, a sceny osiągania niemal cielesnej bliskości między ojcem a synem wypadają zaskakująco subtelnie. Mastalerz grał w dziesiątkach filmów, ale to w „Odzyskanym" dostał szansę na własną wielką wypowiedź.

Mamy też trudną do rozpoznania Marię Gładkowską w roli matki. Szkoda, że jej występ trwa krótko. I mamy Remigiusza Jankowskiego w roli księdza, który nagle opowiada o własnym życiu. Aktorstwo jest tu wyciszone, subtelne. Oni mówią z ekranu wprost do nas.

Piotr Zaremba

Fot. rafael.pl



Ostatnia rodzina w „Ostatnim domu”

Polskie kino nie ma monopolu na opowieść o rodzinie. Można się zastanawiać, do jakiego gatunku należy „Ostatni dom”, amerykański film Netfliksa w reżyserii Louisa Leterriera. Na pewno jest to krzepiąca opowieść o rodzinnych więziach

Kino światowe, szczególnie amerykańskie, coraz bardziej desperacko poszukuje kolejnych rodzajów kataklizmu, które mogłyby nas wystraszyć. „Ostatni dom” bywa przedstawiany jako film science fiction, choć nie ma w nim choćby cienia pseudonaukowej teorii. Katastrofa jest właściwie magiczna. Więc horror? Może, ale bez gwałtownych scen. No, pojawiają się pod sam koniec...

Nie zdradzę tajemnicy, opisując punkt wyjścia fabuły, film jest nim przecież reklamowany. Bezrobotny inżynier Jason, jego żona rasy żółtej Anna oraz dwójka ich dzieci (syn lat 12, córka – 8) mieszkają w zwykłym domu w zachodniej części stanu Waszyngton. Któregoś ranka nie mogą wyjść z rodzinnego gniazda. Drzwi nie puszczają, okna nie dają się stłuc. To samo dzieje się z ich sąsiadami. Możliwe, że ta katastrofa ogarnia cały kraj. Nie działają telefony, przestają nadawać media. Pomoc z zewnątrz nie nadchodzi.

Trwa to dzień, dwa, tydzień, miesiąc. Rodzina musi się nauczyć nowych form bytowania – przede wszystkim, gdy kończy się żywność, przyswoić sobie sposoby zdobywania jej z wnętrza domu. Ta czwórka daje przykłady wzajemnej solidarności, wspiera się fizycznie, a także duchowo, ratując się przed załamaniem, zwątpieniem. Jest to pokazane sugestywnie, ładnie i pomysłowo, mimo statyczności samej akcji. Duża w tym zasługa aktorów: Wagnera Moury (Jason), Grety Lee (Anna) i aż dwóch par młodocianych wykonawców, bo ta sytuacja szybko się nie kończy.

Doceniając ludzki wymiar całej opowieści, nie sposób nie wskazać scenariuszowych słabości. Przecież ta dziwna historia nie wszystkich ludzi zastała w domu. Czy istotnie kochającej się rodzinie przez lata przyszłoby oglądać przez okna tylko zwierzęta? Ale nawet jeśli w narrację wkrada się pewna monotonia, przy filmie trzymają nas dwa pytania: jak to się skończy i czy doczekamy się wyjaśnienia tajemnicy. Tu ostrzeżenie: finał jest mocno wydumany, a pełna odpowiedź... Obejrzyjcie sami, doceniając jedno: w obliczu progresywnych przemian cywilizacyjnych rodzina wciąż bywa opoką, siłą. Nie tylko w polskim filmie „Odzyskany” – także tu.

Fot. Netflix, materiały prasowe

CZY II RP BYŁA SKAZANA?

„Sezon na niepodległość” Krzysztofa Kloca to błyskotliwy esej o Polsce jako „państwie sezonowym”. Tym pojęciem Niemcy opisywali II Rzeczpospolitą. Ale poczucie kruchości niepodległego bytu mieli sami Polacy. Józef Piłsudski prorokował, że to państwo może mieć przed sobą niewiele lat

Krzysztof Kloc to historyk, profesor Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Niepodległość, odzyskaną jesienią 1918 r., opisuje jako fenomen, który spadł na Polaków jakby przypadkiem, ale którego kurczowo się trzymali. Dostajemy mnóstwo arcyciekawych obserwacji o jej różnych aspektach praktycznych.

W rozdziale „Trzy nierówne połówki” smacznie opowiada się nam o antagonizmach i różnicach między dawnymi zaborami. „W momencie odzyskiwania przez Polskę niepodległości, jak przypominał Waldemar Łazuga, za synonim łajdaka uchodził »Austriak«, tj. najczęściej po prostu mieszkaniec Galicji” – to jedna z wielu uwag pokazujących, jak ciężko było to złożyć w całość. Kloc zauważa odmienne cechy Polaków z różnych „połówek”, co więcej, snuje rozważania o tym, że przed wybuchem I wojny światowej proces zrastania się naszych rodaków z państwami zaborczymi był już dość zaawansowany. Z tego punktu widzenia ta wojna wybuchła w porę.

Podtytuł książki brzmi „Czy odrodzona Polska mogła przetrwać?”. Odpowiedź rozsiana na wielu stronach nie jest definitywna, ale w zasadzie prof. Kloc zakłada nieuchronność tego, co stało się w 1939 r. – byliśmy między Niemcami i Rosją. Zapisanie się do bloku antyniemieckiego razem z ZSRS (była taka możliwość) mogło prowadzić do wcześniejszego niż w 1945 r. uzależnienia nas od Sowietów.

Z kolei pada pytanie o modną hipotezę, że trzeba było iść z III Rzeszą. Ta książka z pewnym niesmakiem opisuje decyzję sanacyjnych przywódców, aby wziąć udział w rozbiorze Czechosłowacji i zarazem przypomina, że postawione zaraz potem niemieckie żądania nie dotyczyły tylko ustępstw w Gdańsku i na Pomorzu. Ich istotą była zgoda na konsultowanie własnej polityki zagranicznej z Berlinem, czyli niepełna suwerenność. Niezależnie od bilansu zysków i strat było to dla ówczesnych elit niewyobrażalne. Suwerenność była wartością jak tlen – nienegocjowalną.



Świetny jest rozdział o ekonomicznych uwarunkowaniach niepodległości. I pytania o możliwości innej, lepszej polityki wobec narodowych mniejszości. Polecam nie tylko pasjonatom dziejów II RP.



Jan Frycz (1954–2026)

Wrażliwy i demoniczny

Z powodzeniem kreował wiarołomnych amantów i wrażliwców, a także ludzi złych. Znakomity w rolach głównych, jak i na drugim planie

W ostatnich latach zasłynął rolą bandyty-recydywisty w serialu „Ślepnąć od świateł" (2018). Ale wykreowany przez niego Dario okazał się kimś więcej niż wulgarnym gangusem spod Warszawy. To osobnik niemal z Dostojewskiego: nieobliczalny, wzbudzający autentyczny strach, na pewien sposób śmieszny – po prostu demoniczny, „psychodeliczny gangster", idealnie wpasowujący się w konwencję thrillera neo-noir. Ta rola jest uznawana za jedną z najlepszych w jego karierze.

Jan Frycz zmarł po ciężkiej chorobie 15 sierpnia 2026 r., w wieku 72 lat. Był wybitnym aktorem teatralnym, filmowym i telewizyjnym. Urodził się w 1954 r. w Krakowie, naprzeciw Teatru Słowackiego, gdzie ojciec, inżynier górnictwa, zabierał go na spektakle, od kiedy był dzieckiem. Oglądając inscenizacje polskiej klasyki, zapragnął zostać aktorem. Ukończył PWST im. Ludwika Solskiego, w której profesorowie szybko zorientowali się, że mają do czynienia z wielkim talentem. Dlatego w 1978 r. jeszcze jako student zadebiutował na deskach słynnego krakowskiego teatru rolą Edmunda w „Damach i huzarach" Fredry w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Choć, jak pisał „Dziennik Polski", kreowany przez Frycza Porucznik był nie tyle „honorowy", co „cielęcy".

W 1989 r. związał się z krakowskim Starym Teatrem, a od 2006 r. był zatrudniony na stałe w warszawskim Teatrze Narodowym, właściwie przez całe życie kursując między Krakowem a stolicą. Bo już na początku kariery do Narodowego na stałe próbował go ściągnąć Adam Hanuszkiewicz, dostrzegając młodą twarz z tubalnym głosem. W okolicach stanu wojennego dyrektora jednak zwolniono, a Frycz odmówił wystąpienia w filmie o „narodzinach przyjaźni polsko-radzieckiej", co sprawiło, że przez trzy lata nie był w stanie znaleźć zatrudnienia – jak wspominał – „recytując wiersze w kościołach".

Grał w wielu znakomitych przedstawieniach, wcielając się m.in. w Kordiana Słowackiego (1987) u Jana Englerta, Wacława w „Zemście" (1983) Kazimierza Dejmka, szekspirowskiego Hamleta (1985) i Króla Leara (2000), Księdza Piotra w „Dziadach" (1995) w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego, Astrowa w „Wujaszku Wani" (1993), bohaterów z Dostojewskiego, np. Afanasija Iwanowicza Tockiego w „Idiocie" (2017), Iwana Karamazowa w „Braciach Karamazow" (1990, 1999) Krystiana Lupy czy w końcu Adriana Leverkühna w adaptacji „Doktora Faustusa" według Thomasa Manna (1999), wystawionej w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

W ostatnich latach odgrywał znakomite role na scenie Teatru Narodowego, np. w „Jak być kochaną" (2019) według Kazimierza Brandysa w reżyserii Leny Frankiewicz czy w ostatniej kreacji – króla Poniatowskiego w „Termopilach polskich" (2025) w reżyserii Jana Klaty na podstawie tekstu Tadeusza Micińskiego o fatum w historii i „przeklętym losie naszej części Europy", czyli o Polsce, Rosji i Ukrainie. Występował również w kilkudziesięciu spektaklach Teatru Telewizji i słuchowiskach radiowych.

Był aktorem wszechstronnym, wcielając się zarówno w role główne, jak i w świetne, zapadające w pamięć role drugoplanowe. Zarówno czarne charaktery, jak wspomnianego Daria czy uzależnionego od hazardu Jarka w słynnym „Wielkim Szu" (1982) lub – jak ostatnio – Prezesa, współczesnego cwanego biznesmena w serialu „Edukacja XD" (2025), jak i inteligentów, narcyzów i kabotynów, „przetrąconych amantów", dekadentów, skomplikowanych wrażliwców, m.in. w „Egoistach" (2000) czy „Pożegnaniu jesieni" (1990) Mariusza Trelińskiego, albo wiarołomnego męża w serialu poświęconym Agnieszce Osieckiej (2020). Stworzył też poruszające kreacje w „Dwóch księżycach" (1993) Andrzeja Barańskiego, „Pornografii" (2003) Jana Jakuba Kolskiego i „Pręgach" (2004) Magdaleny Piekorz. Był też komendantem Piłsudskim w „Legionach" (2019) Dariusza Gajewskiego. Zawsze podkreślał znaczenie zespołu, w którym pracuje.

Największą popularność przyniósł mu występ w komedii „Nigdy w życiu!" (2004), a także role w serialu sensacyjnym „Odwróceni" (2007) oraz wspomnianym już „Ślepnąc od świateł". Był też aktorem dubbingowym – to jego głos słyszymy, widząc rekina Żarło, prowadzącego makabryczny miting dla uzależnionych od jedzenia surowych ryb morskich drapieżników. Od dziecka malował i rysował, zajmował się również modelarstwem. Został uhonorowany Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

Maciej Walaszczyk

Fot. Wojciech Stozyk/Reporter/East News

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Kot Schrödingera z jeżozwierzem w tle

20 lat polowania na polską pumę oraz miłośnik nor



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Historia z pumą w... (w miejsce trzech kropek można podstawić dowolne miasto lub wieś w Polsce) jest epicka. Śledzę ją od niemal dwóch dekad. Ma cechy najlepszej legendy miejskiej, pobrzmiewa w niej też kryptozoologiczna sensacja. Puma w Zagórzu, puma w Borkach, puma w Podlesiu. Aż chciałoby się pisać słowo „puma" wielką literą, jak tytuł filmu.

2009 r.: Śląsk. To był pierwszy wielki narodowy hit. Dziki kot miał grasować w okolicach Prudnika, Głubczyc i Kędzierzyna-Koźla. Wojsko i policja przeczesywały zagajniki, mieszkańcy bali się wychodzić po chrust, a w mediach pokazywano rozmazane sylwetki. Choć drapieżnika nigdy oficjalnie nie schwytano, eksperci do dziś uważają, że „coś było na rzeczy" i kot mógł uciec z prywatnej hodowli w Czechach.

Lata 2010–2019: wysyp pum. W tym okresie niemal każda gmina w Polsce zaliczyła „alert pumowy". W większości przypadków (od Podkarpacia po Pomorze) finał był klapą. Po analizie nagrań okazywało się, że przerażająca puma to w rzeczywistości gruby kot rasy maine coon, zagubiony pies św. Bernarda lub – jak w jednym z doniesień – wyrośnięty, lśniący w słońcu bóbr.

2020 r.: znów Śląsk. Sprawa otarła się o dramat i komedię romantyczną. Puma Nubia, legalnie (początkowo) kupiona przez weterana z Afganistanu, mieszkała z nim na Śląsku. Gdy sąd nakazał odebranie mu zwierzęcia i przekazanie do zoo, właściciel uciekł z nią do lasu. Przez kilka dni szukała ich połowa polskiej policji, a internet zalała fala memów „Murem za Nubią". Ostatecznie kot trafił do bezpiecznego azylu.

Jednego roku puma zagościła niedaleko mnie. Tak opisałem to zdarzenie w książce „Sekretny dziennik lasu": „Najbardziej zwariowana historia o dzikich zwierzętach w mieście dotyczy pumy. Nawet w niezwykle racjonalnych kręgach, w czasach tryumfu rozumu i metody naukowej zawieść mogą te wszystkie stworzone przez cywilizację sposoby na okiełznanie szaleństwa. W tym przypadku wystarczyła wzmianka o »pumie w Piekarach«. I się zaczęło. Na miejsce zdarzenia dotarłem bez problemu. Piekary, wciśnięte między wieś Liszki a Wisłę, nie należą do pierwszej ligi infrastrukturalnej [przynajmniej wtedy, gdy pisałem o tym w »Sekretnym dzienniku lasu« – dziś okolica zdążyła się już zmienić]. Pyliste drogi, snujące się pomiędzy rzadko rozrzuconymi zabudowaniami, nie są ani dobrze oznaczone, ani oświetlone, ani nawet, być może z tego powodu, zbyt często nawiedzane przez turystów. Tej nocy podmiejski łąkowo-polny zaścianek oświetlony był słupem światła... z helikoptera.

Podążałem za tym światłem niczym mędrzec ze Wschodu. Jechałem wolno po czymś, co kiedyś było asfaltem, obecnie bardziej przypominało kruszywo gorszego sortu. Na prawo i lewo od tej drogi odchodziły w pola szerokie przecinki, śródpolne ścieżki, dojazdy dla kombajnów. W każdej z tych dróg stało auto osobowe z zapalonym silnikiem (na wypadek konieczności szybkiego odwrotu) i włączonymi długimi światłami do przeczesywania ciemności, tylko trochę rozproszonej przez śmigłowiec. W miejscu, gdzie droga z kruszywa łączyła się ze znaczniejszą ulicą zaparkowane były trzy pojazdy: straży pożarnej, policji i, jakżeby inaczej, pogotowia. Niebieski mercedes błyskał biało-błękitnym kogutem.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Jadąc tą główną drogą, musiałem w pewnym momencie gwałtownie zahamować, gdyż auto przede mną przystanęło. Z krzaków wylazł bowiem kot i szedł wolno poboczem. Ekipa w aucie robiła mu zdjęcia. Odjechali. Ja zaparkowałem samochód przy drewnianym płocie z naklejonym jednym ogłoszeniem sołtysa: »Uwaga. Po okolicy grasuje zwierzę kotokopytne« (pisownia oryginalna). Jeszcze długo po tej nocy spotykałem w internecie filmiki przedstawiające koty o wszystkich możliwych typach umaszczenia, skradające się w ciemnościach, zatytułowane »Puma w Piekarach«. Legendy miejskie istnieją, odkąd istnieją miasta. Jedną z nich jest ta o pumie. I tak dziwię się, że bohaterem tylko jednej nowej legendy jest zwierzę, biorąc pod uwagę fakt, że nasza rzeczywistość jest zinfiltrowana przez wysłanników z lasu niczym Wielka Brytania przez ruskich szpionów. Na mojej ulicy były już lisy, sarny, kuny, dzięcioły, sowy uszate, dziki, sąsiedzi mówili o borsukach […]".

Puma w podkrakowskich Piekarach/Jeziorzanach była matrycą (czy też archetypem) dla wszystkich późniejszych pum. Podczas pamiętnej obławy z jesieni 2008 r. narodził się ogólnopolski mit. W akcji z gminy Liszki prowadzonej w te pełne napięcia noce zostało zawarte wszystko, co później miało stanowić obowiązkowy element tego mitu: zgłoszenie, materiały wideo, akcja poszukiwawcza, koła łowieckie, leśnicy, psy, strażacy, pogotowie, policja. Tak jak matrycą dla opowieści o Cydzie i Rolandzie był żywot Herkulesa.

PUMA W HERBIE

Gdyby polska prowincja miała wybrać swoje zwierzę herbowe, obok bociana musiałaby znaleźć się ona – puma płowa. Od ponad dwóch dekad ten amerykański drapieżnik regularnie pojawia się w polskich gminach, elektryzując lokalne sztaby kryzysowe i dostarczając porywających tematów do wakacyjnych wydań gazet. Tego lata (mamy połowę sierpnia 2026 r.) legenda zyskała jednak zupełnie nowy rozdział. Bo choć przez lata doniesienia o pumach przypominały relacje o potworze z Loch Ness – ktoś widział, ktoś nagrał telefonem, ale ostatecznie okazywało się, że to wyrośnięty kot – obecnie nastąpił zwrot akcji.

Gdyby polska prowincja miała wybrać swoje zwierzę herbowe, obok bociana musiałaby się znaleźć puma płowa. Od ponad dwóch dekad ten amerykański drapieżnik regularnie pojawia się w polskich gminach, elektryzując lokalne sztaby kryzysowe i dostarczając tematy do wakacyjnych wydań gazet

W lipcu 2026 r. w okolicach Polanowa (województwo zachodniopomorskie) rzeczywiście schwytano prawdziwą, żywą pumę. Zwierzę zostało uśpione środkiem wystrzelonym ze specjalnej broni pneumatycznej i bezpiecznie przetransportowane do Poznańskiego Ogrodu Zoologicznego. Czy to ten osobnik odpowiadał za wszystkie strachy Polaków od 2000 r.? Absolutnie nie! Ta konkretna puma to młoda samica, która pojawiła się na świecie zaledwie kilka miesięcy temu.

Co więcej, polowanie wcale się nie skończyło. Gdy leśnicy świętowali sukces na Pomorzu, fotopułapka w Nadleśnictwie Świdnica na Dolnym Śląsku zarejestrowała kolejną przechadzającą się po lesie pumę. Na początku sierpnia w rejonie Zagórza Śląskiego i Michałkowej zalecano wyjątkową ostrożność, a lokalne władze zwołały sztab kryzysowy. Równolegle fałszywy alarm (wywołany przez dużego psa) postawił na nogi Opole. Wniosek? Puma jest w Polsce zdecydowanie więcej.

Skąd się biorą pumy? Wersja dla racjonalistów jest na wskroś smutna: obecność tych amerykańskich dzikich kotów w Europie to bezpośredni efekt prężnie działającego, wartego miliardy dolarów czarnego rynku egzotycznych zwierząt. Do niedawna przepisy w sąsiednich Czechach były bardzo liberalne, co pozwalało na łatwy zakup dzikich kotów. Gdy domorosły hodowca orientuje się, że urocza mała puma wyrasta na 60-kilogramowego potwora potrafiącego skoczyć 6 m w górę, w panice „gubi" zwierzę w lesie, nie zgłaszając tego służbom z obawy przed gigantycznymi karami.

Jednak jeśli ktoś jest zwolennikiem teorii spiskowych, a racjonalne tłumaczenie wydaje się zbyt nudne, zawsze można postawić na dociekania alternatywne: czy „Projekt puma" to narzędzie inżynierii społecznej? Według tej teorii pumy są celowo zrzucane do polskich lasów z helikopterów przez bliżej nieokreślone „władze centralne" lub „Brukselę" w ramach tajnego programu odwracania uwagi. Nic tak dobrze nie odwraca uwagi od realizacji 100 konkretów, zapaści w służbie zdrowia czy zmian podatkowych jak grasujący w państwowych lasach drapieżnik, przez którego strach iść na grzyby. A wiadomo – nie ma nic ważniejszego niż grzyby!

Polska puma to zjawisko nie tylko zoologiczne, lecz także socjologiczne – niezależnie od tego, czy z lasu wyjdzie prawdziwy drapieżnik uciekający z nielegalnej hodowli, czy tylko spasiony kot sąsiada. Polacy po prostu potrzebują swojej wakacyjnej bestii. Strach przed wejściem do lasu uszlachetnia nasz urlop, a wielu osobom, jak mnie 2008 r., daje poczucie uczestnictwa w hollywoodzkim kinie akcji.

IDEALNY KOT KWANTOWY

Zanim przejdziemy do równie frapujących jeżozwierzy, powróćmy do tytułowego kota Schrödingera. Jest to eksperyment myślowy, mający zob-

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Jeżozwierze pojawiające się zaskakująco często w różnych rejonach Polski to najprawdopodobniej zwierzęta uciekające lub wypuszczane z hodowli

razować paradoksy mechaniki kwantowej. W wyniku jej dwuznaczności – superpozycja kwantowa zakłada, że cząstka może znajdować się w wielu stanach jednocześnie, dopóki jej nie zbadamy – kot z pudełka jest jednocześnie żywy i martwy. Polska puma to idealny kot Schrödingera, ponieważ jednocześnie istnieje i nie istnieje, dopóki ktoś tego dokładnie nie sprawdzi. Żyje w ukryciu, przez lata jest jak kot zamknięty w pudle. Słyszymy plotki o niej, widzimy nocne nagrania i wierzymy, że tam jest. Z drugiej strony nie ma na to twardych dowodów, więc oficjalnie jej nie ma. Moment prawdy następuje, dopiero gdy na miejsce przyjeżdżają leśnicy lub policja. Wtedy „otwieramy pudło" i okazuje się, czym drapieżnik jest naprawdę.

NOCNY GRYZOŃ

Jeżozwierze, pojawiające się zaskakująco często w różnych rejonach Polski, to historia całkowicie odmienna od sprawy pumy. Historia w różnym zresztą tego słowa znaczeniu, ponieważ aby ją wyjaśnić, trzeba się cofnąć do czasów starożytnego Rzymu. Jest nie tylko ciekawostką, lecz także wartym uwagi, a nawet pilnego baczenia zjawiskiem.

Najpowszechniejsze gatunki jeżozwierzy to jeżozwierz indyjski oraz jeżozwierz afrykański. Ten pierwszy zamieszkuje tereny Azji aż po Turcję. Ojczyzną jeżozwierza afrykańskiego jest natomiast Afryka. Liczna populacja tego gryzonia – jeżozwierz jest bowiem gryzoniem i to jednym z największych na świecie ważącym do dwudziestu kilku kilogramów – żyje także we Włoszech. Przypuszcza się, że sprowadzili je tam Rzymianie.

Który z jeżozwierzy jest spotykany w Polsce? Trudno to ocenić na zdjęciach, przeważnie zamazanych i wykonanych nocą. Najprawdopodobniej są to zwierzęta uciekające lub wypuszczane z hodowli, równie prawdopodobne są więc oba gatunki. Oba – teoretycznie – mogłyby również przywędrować do nas ze swoich azjatyckich i południowoeuropejskich areałów.

Jeżozwierze kopią nory o szerokich korytarzach, stosownie do swoich rozmiarów. Na tyle szerokie i rozległe, że w niektórych okolicach we Włoszech stanowią istotne zagrożenie dla wałów przeciwpowodziowych, a przeciwdziałanie działalności jeżozwierzy jest istotną częścią pracy włoskich służb. Prowadzących nocny tryb życia dużych, zbrojnych w kolce z zadziorami gryzoni, kryjących się pod ziemią, nie można jednak – jak można się domyślić – łatwo powstrzymać.

Po co Rzymianie sprowadzili jeżozwierze afrykańskie (całkowitej pewności nie ma, ale to prawdopodobne przypuszczenie) do Europy? Jako ciekawostkę? Czy wypuszczali je na wolność, czy włoską, nader liczną populację, utworzyły zwierzęta uciekające z hodowli?

Z tej perspektywy sprowadzane do Polski jeżozwierze są nie tylko sensacją jak pumy. Znane są obserwacje tych zwierząt, które w naszym kraju żyły na wolności kilka lat, w międzyczasie zimując. W przeciwieństwie do pum biologia wielkich gryzoni nie wyklucza ich osiedlenia się na dłużej, a nawet stworzenia samodzielnej populacji. Wbrew pozorom to nie puma, lecz jeżozwierz jest więc tym zwierzęciem, które wymaga baczniejszej uwagi, aby nie przegapić momentu, w którym z ciekawostki stanie się dotkliwym zagrożeniem.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 61dfdd5e4e



TOMASZ HABDAS*

W górach jest wszystko, co kocham

Tomasz Habdas znów przekonująco zachęca do górskich wypraw. Tym razem zaprawiony w wędrowaniu przewodnik, autor strony @wszczytowejformie oraz kolejnej książki (drugiej części „Górskich szlaków" z 2024 r.), rozszerza warty przemierzenia obszar obejmujący pogranicze Polski, Czech i Słowacji.

Na bieszczadzkich połoninach, w czeskich skalnych miastach i słowackich Tatrach przedstawia 101 powodów, by ruszyć na szlak. Możliwości jest wiele. Począwszy od Jizerki, przez m.in. Kozie Grzbiety, Biały Jar, Kryształową Górę, Dukt Wieczności, Obryw Bardzki, Girową, Wielką Zabawę, Orawską Półgórę, Orlą Perć Tatr Zachodnich, Dolinę Pięciu Stawów Spiskich, Wietrzny Wierch, Łysulę, Medzilaborce, po Rabią Skałę i Trohaniec.

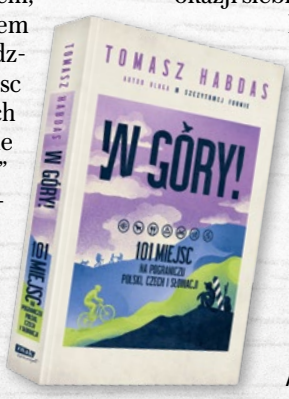
Autor przedstawia propozycje tras, uzupełniając je praktycznymi informacjami (ikonki informują, czy w drogę można się wybrać np. z psem, na rowerze lub z wózkiem – dziecięcym lub inwalidzkim). Są też oznaczenia miejsc szczególnie niebezpiecznych (głównie w Tatrach). Nie brakuje map, „polecajek" (schroniskowych i kulinarnych) czy lokalnych opowieści i ciekawostek.

Swoje wędrówkowe propozycje Habdas kieruje do szerokiej grupy – od „górołazów", szukających atrakcji poza najpopularniejszymi szlakami, przez rodziny, właścicieli czworonogów, po amatorów wyjątkowych kadrów. Przede wszystkim jednak dzieli się miłością do gór.

Pisze: „»W górach jest wszystko, co kocham« – głosi jedna z ulubionych maksym miłośników turystyki górskiej. Sprawdza się jako podpis pod zdjęciem wrzuconym na social media, nadruk na koszulce kupionej na Krupówkach, ale też jako szczere potwierdzenie górskiej pasji w rozmowach z przyjaciółmi. Mało kto wie, że pochodzi z wiersza Jerzego Harasymowicza – poety, który większość życia spędził na Sądecczyźnie, w Beskidzie Niskim i w Bieszczadach, a miłość do tych gór i do karpackiego lasu wyrażał w kolejnych tomikach poezji, które znikały z księgarnianych półek.

Trudno powiedzieć, co mają w sobie góry, że przyciągają setki tysięcy ludzi w Polsce. Pewne jest natomiast to, że kto raz się w nich zakocha, chce do nich wracać zawsze. Pasja zaczyna się zazwyczaj od najbliższych okolic – od wycieczki na pobliski szczyt albo do miejsca znanego z internetowych zdjęć. Z czasem podróżujemy coraz dalej, wyżej i odkrywamy więcej. Aż wreszcie dostrzegamy, że góry to nie tylko spokojne wędrówki przez szczyty i doliny. To również ogrom możliwości, spośród których każdy może wybrać coś dla siebie. W górach można uprawiać klasyczny trekking, można po nich biegać, jeździć na rowerze albo na nartach, wspinać się po skałach, spacerować z psem albo polować na zachwycające kadry. Każdy z tych sposobów na poznawanie gór, a przy okazji siebie – jest wspaniały.

Mogę się jednak bez wahania podpisać pod słowami Jerzego Harasymowicza: »W górach jest wszystko, co kocham/ I wszystkie wiersze są w bukach/Zawsze kiedy tam wracam/ Biorą mnie klony za wnuka«".



Fot. Materiały prasowe

Jolanta Gajda-Zadworna

**Przewodnik górski, autor książek o górach, influencer*

eprasa.pl 61dfdd5e4e



SŁODKO-SŁONY

Dziczki

ANNA MONICKA

Lubię ten późnoletni czas, kiedy dochodzą w nas do głosu pierwotne cechy, a konkretnie zbieractwo. Mąż i ja, a ostatnio także nasza córka, chodzimy po okolicznych drogach i ścieżkach – leśnych i nie tylko – szukając starych jabłonek i innych opuszczonych drzewek oraz krzewów owocowych. Wiemy, gdzie w okolicy naszego domu spadają na ziemię jabłka, gruszki czy śliwki i albo gniją, albo przyciągają wielopokoleniowe rodziny dzików.

W tym roku z córką wędrowałyśmy też po polach w okolicach Recza w Zachodniopomorskiem. Ależ tam były – i na szczęście jeszcze są – wspaniałe warunki dla piechurów i rowerzystów! Wprawdzie wiele przydrożnych drzew wycięto, co ogołociło krajobraz z wyjątkowo malowniczych widoków, ale przy polnych duktach nadal rosną i owocują mirabelki, ałycze, wiśnie ptasie, zdziczałe jabłonki i grusze. Na skraju lasu nieopodal jakiegoś gospodarstwa znalazłyśmy nawet maliny, jeżyny i włochaty, niewielki, ale wciąż słodki i soczysty agrest. I oczywiście dziką różę – po jej owoce wybiorę się tu jesienią.

Kiedy idzie się kilka kilometrów w skwarze i pyle, takie śliwki czy wisienki mogą uratować życie, a pod drzewkami można się schronić przed słońcem (tyle że coraz rzadziej mamy okazję docenić te atuty, bo wozimy się samochodami). Zbierałyśmy owoce do koszyka na kompot – wyszedł rewelacyjny. Smak twardych zielonych jabłuszek i zdziczałych śliwek jest nie do podrobienia. O dziwo, te drzewka najlepiej radzą sobie z suszą, która wykończyła sad mojej ciotki czy pobliski brzeziniak. Nie mogę się pogodzić z tym, że często są wycinane, bo przeszkadzają ciągnikom czy innym coraz większym maszynom rolniczym.

Jabłek nazbierałyśmy tyle, że wystarczyło do zakwaszania kapusty. Wolimy ten patent niż wlewanie octu, bo danie wychodzi znacznie delikatniejsze i ładniej pachnie. Na jedną dużą główkę bierzemy dwie cukrowe cebule, podsmażamy, a potem wrzucamy do garnka poszatkowaną kapustę i cztery, pięć dzikich zielonych jabłuszek. Nie potrzeba żadnej mąki i zagęszczaczy, nie dodajemy też mięsa ani kiełbasy – naturalne smaki warzyw i owoców bronią się same. Zajadamy z młodymi ziemniakami i koperkiem. Pycha.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Laguny

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Słowo „laguna" brzmi egzotycznie, choć laguny istnieją również w naszym kraju. Jest nią np. część Zatoki Puckiej, zwana Zalewem Puckim lub Zatoką Pucką wewnętrzną albo jezioro Łebsko – w ich przypadku nie stosuje się nazwy „laguna", chociaż spełniają definicję takiego zbiornika, wypełnionego mieszanką wody morskiej i słodkiej, odciętego od morza, lecz zachowującego przynajmniej okresowe połączenie. Ponieważ w Polsce istnieje niewiele lagun, a w dodatku są one częścią ekosystemu Bałtyku, który sam w sobie, choć piękny i fascynujący, wymaga szczególnej ostrożności, nasze laguny pełnią funkcje przyrodnicze – jako ostoje bioróżnorodności. I bardzo słusznie.

Na świecie bywa jednak inaczej. Francja ma bardzo rozległy dostęp do Atlantyku, należy do niej również spora część Morza Śródziemnego – zarówno wybrzeże, jak i otwarte wody. Jednak głównym źródłem bezkręgowców, nazywanych w kuchni owocami morza, są we Francji właśnie laguny.

Dzieje się tak z kilku powodów. Słona woda z jednej strony, a słodka z drugiej (z rzek, podwodnych źródeł i innych) mieszają się w różnych częściach zbiornika w różnych proporcjach, dzięki czemu obok siebie mogą żyć organizmy mające zróżnicowane, odmienne wymagania. Płytka woda umożliwia rozwój podwodnej roślinności, sprawiając, że dno stanowi mozaikę pełną zakamarków. Laguny są płytkie, łatwo dostępne, spokojne – to przeciwieństwo mórz, a zwłaszcza smaganego wichrami wschodniego Atlantyku. Na lagunę nie trzeba wysyłać morskich kutrów i mierzyć się ze sztormami, jednocześnie przeczesując dno ukryte w głębinie. By dotrzeć do ostryg, homarów, krewetek i omułków wystarczy zwykła łódź.

A ponieważ laguny są wykorzystywane jako miejsca hodowli, połów jest pewny i obfity. Hodowle istnieją tam, gdzie założył je rybak, w miejscach oznaczonych tyczkami, w których, by napełnić łódź po brzegi, sięga się tuż pod wodę.

Jednocześnie zamknięta, płytka laguna jest ekosystemem wrażliwym na zanieczyszczenia czy przenawożenie, zwłaszcza odchodami hodowanych stworzeń. Gospodarowanie laguną, by przynosiła plon, a jednocześnie wciąż była miejscem różnorodności gatunkowej, wymaga ostrożności, wiedzy i stałej obserwacji.

eprasa.pl 61dfdd5e4e

3 MIŁOŚCI

Herosi samorealizacji



ROBERT TEKIELI

Co łączy Francję z muzułmańską Somalią, Brunei czy Borneo? Delegalizacja chrześcijańskich symboli. W wielu krajach Starej Europy tak jak w Burundi policja ma nakaz zapobiegania wszelkim chrześcijańskim obchodom. We Francji aresztuje się choinki, tak samo jak w Arabii Saudyjskiej. W wielu europejskich szkołach nie wolno używać słów, takich jak Wielkanoc czy Boże Narodzenie, identycznie jak w Tadżykistanie. We Francji służby specjalne nie wiedzą, ilu muzułmanów mieszka nad Sekwaną, ponieważ spis ludności pod kątem wyznań jest tam zakazany.

W Starej Europie tryumfuje poprawność polityczna i różne odmiany laïcité. Całą tę zorganizowaną antychrześcijańską kampanię prowadzą lewicowo-liberalne elity europejskie.

W arabskim podcaście burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani przyznaje, że oszukiwał białych progresistów. Głoszona przezeń progresywna ideologia pozostaje dla niego „tylko narzędziem". Jaki jest jego prawdziwy priorytet? „Tożsamość". Ukrywanie prawdziwych zamiarów lub przekonań stanowi dla muzułmanów cnotę. Nazywają ją takijja.

Dziś głosi się miłość do zwierząt ponad miłość bliźniego. Rzeczy stanęły wyżej ludzi, zwierzęta – wyżej Boga. Ziemię można nazwać boginią, ale dalej będzie przecież rzeczą. Profanują kościoły! W potrzebie zawsze chroniliśmy się w ich murach.

Nawet w Polsce niektórzy kapłani boją się wychodzić na ulice w sutannach. Ci, którzy mają potężne pieniądze, idąc za marksistami, uznali katolicyzm za ideologię, którą trzeba zniszczyć. Zachód postawił hierarchię wartości na głowie.

Europejski kocioł: barbarzyńcy ze Wschodu, barbarzyńcy z Południa, barbarzyńcy z Zachodu. Neomarksizm w sojuszu z postliberalizmem. Do tego agresywny rosyjski imperializm i totalitaryzujący, nieuznający istnienia sfery prywatnej islam.

Najgroźniejszy jest jednak barbarzyńca wewnętrzny: głównym zagrożeniem dla nas jest duchowa i moralna zapaść Zachodu.

Europejskie elity tworzyły system, w którym nie chroni się nawet dzieci. To rzadko spotykana sytuacja, nawet w świecie zwierząt. W Niemczech prowadzi się pornoedukację pięciolatków, przez kilkadziesiąt lat w Berlinie sieroty oddawano na wychowanie homoseksualistom. Szwedzka policja ukrywa molestowanie szwedzkich dzieci przez imigrantów. To samo przez dekady działo się w Wielkiej Brytanii. Lewicowo-liberalni aktywiści w Belgii i Holandii od lat prowadzą kampanię na rzecz legalizacji pedofilii.

Co znajduje się na szczycie piramidy ludzkich potrzeb i wartości? Miłość, poświęcenie, dawanie. Jak na tę prawdę zareaguje współczesny świat? Pokręci nosem i powie: nie, najważniejsza jest samorealizacja, potwierdzenie własnej wartości

W niemieckim Vilshofen grupa dorosłych mężczyzn, imigrantów, robiła zdjęcia dziewczynkom idącym do szkoły. Dziennikarze uspokajają: „Dzieci już się z tego śmieją". W norweskim obozie dla uchodźców w Stavanger zgwałcono 3-latka. Dziennikarze tłumaczą, że Europejczycy muszą „tolerować postawy, które mogą wydawać się niemoralne z punktu widzenia tradycyjnych norm". W Pakistanie kilka lat temu oddalono ustawę zakazującą małżeństw z dziećmi jako antyislamską i bluźnierczą. Kiedy pierwszy ślub porwanej białej 9-latki z 60-letnim muzułmaninem w którejś z no-go zone?

Szwedzka prasa doniosła, że sztokholmska policja nie może podawać do publicznej wiadomości wzrostu, koloru skóry, pochodzenia etnicznego ani narodowości poszukiwanych złodziei ani morderców. Policjanci boją się oskarżeń o rasizm. Zgwałcona przez muzułmanów Niemka spotkała się na portalach społecznościowych z agresją i oskarżeniami o rasizm, bo opisała w telewizji swoją tragedię.

W 2014 r. w Paryżu demonstrowali rodzice dzieci zwerbowanych przez islamskich terrorystów. Państwo nie pomaga im odnaleźć uciekinierów, wręcz bojkotuje. Rodzice nieśli na transparentach hasło „Islam ma twarz terroru!". Premier Manuel Valls odpowiedział: „Nie stygmatyzujmy islamu".

Europejczycy mają tolerować niemoralne zachowania. Czym to jest, jak nie duchową i moralną klęską naszej cywilizacji? Odwróceniem porządku wartości.

I jeszcze kilka akapitów o innej inwersji, o której mówi tytuł tego felietonu.

Kogo od wieków czci ludzkość? Męczenników i herosów. Ludzi zdolnych do poświęcenia się. Dokonujących wielkich czynów w jakimś ważnym celu. Sokratesa, o. Pio, Matkę Teresę, żołnierzy wyklętych, 300 Spartan, rtm. Pileckiego.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



Europejskie elity stworzyły system, w którym nie chroni się dzieci. To rzadko spotykana sytuacja, nawet u zwierząt

Jaki okrzyk najmocniej zaciska gardło wszystkim Polakom na Marszu Niepodległości? „Cześć i chwała bohaterom!”.

I historia, i kultura mówią nam o hierarchii wartości. Na szczycie tej piramidy znajduje się poświęcenie, dawanie drugiemu siebie – z miłości.

Święci i herosi. Męczennicy i nieznane nikomu babcie odejmujące sobie od ust, by zaoszczędzić parę złotych na drobiazg rozświetlający twarz wnuka.

Eugenio Zolli, dawniej Izrael Zoller, nawrócony na katolicyzm naczelny rabin Rzymu, błyskotliwy egzegeta Pisma Świętego, w swojej najważniejszej książce „Nazarejczyk” pokazał, że niewinna ofiara Jezusa była zwieńczeniem całej tradycji Izraela. Odciśnięte w tej tradycji ludzkie wspomnienia, pragnienia i aspiracje utworzyły wielką syntezę, która znalazła uosobienie w Jezusie. „Krwawy kult nie zadowalał wewnętrznej potrzeby poświęcenia się, którą odczuwał lud tak religijnie głęboki jak Izrael”. Jezusowa krew została przelana dobrowolnie, jest aktem pojednania z Bogiem, jest mistycznym zjednoczeniem z absolutem. Śmierć na Golgocie to najważniejszy moment w historii narodu wybranego. Duchowa historia Izraela osiąga kulminację w Jezusie, który poświęcił się za każdego z ludzi. Nie liczy się nic poza tym, co dasz innym.

Złożoną w sercu każdego człowieka potrzebę poświęcenia się stłumić może kultura śmierci, wola mocy czy „życiowa mądrość” starych, zgorzkniałych ludzi, którzy zmarnowali swe życie na ułudzie samorealizacji.

Co znajduje się na szczycie piramidy ludzkich potrzeb i wartości? Miłość, poświęcenie, dawanie. Jak na tę prawdę zareaguje współczesny świat? Pokręci nosem i powie: nie, najważniejsza jest samorealizacja, potwierdzenie własnej wartości.

Nie ma chyba psychologa częściej cytowanego w ciągu ostatnich dekad od Abrahama Maslowa. Dziś jego piramidę ludzkich potrzeb dzieci przerabiają na lekcjach WOS. Można śmiało powiedzieć, że zaproponował on klasycznie nowożytną hierarchię wartości. Porządek jest w niej perwersyjny, odwrócony. Samorealizacja zamiast poświęcenia się z miłości. Prorocy samorealizacji naprzeciwko Sokratesa czy Matki Teresy. Co mają do zaproponowania?

Wyrzucając Boga z kultury, intelektualiści od wieków próbują stworzyć konkurencyjny wobec chrześcijańskiego porządku wartości mit mający dać ludziom poczucie sensu: „Aby wypełnić ludzkie serce, wystarczy walka prowadząca ku szczytom. Trzeba sobie wyobrazić Syzyfa szczęśliwym”. Rzeczywiście, trzeba to sobie wyobrazić, bo szczęśliwy Syzyf nie istnieje. Camus to kolejny nowożytny odwracacz wartości. Herosi samorealizacji są śmieszni w powiciu.

Na szczęście istnieje inny świat. Świat, który cały czas wysyła nam potężne sygnały. W kwietniu 2004 r. Luciano Boschetto, 58-letni murarz z okolic Mediolanu, trafił do szpitala po ciężkim udarze. Leżał ze sparaliżowaną lewą stroną ciała. W nocy z 20 na 21 kwietnia w otwartych drzwiach sali pojawiła się zakonnica w habicie. Widział ją również inny pacjent. Podeszła do łóżka Luciana i powiedziała: „Nie bój się. Przyszłam do ciebie”, po czym położyła prawą dłoń na jego piersi i rzekła: „Przyszłam cię uzdrowić i cię uzdrowię. Jedyna rzecz, o którą cię proszę, to żebyś przyszedł do mnie, jak będziesz już zdrowy”. Luciano poczuł silny ból i gorąco. Zakonnica pokazała na otwartej dłoni obraz małego kościoła z czerwonej cegły z czterema schodkami i powiedziała: „To jest mój dom. Dla ciebie jest zawsze otwarty”. Następnego ranka lekarze przeżyli szok – Luciano stał na korytarzu, całkowicie odzyskał ruch i czucie w sparaliżowanych kończynach. Wkrótce wrócił do pracy na budowie. Po kilku miesiącach zobaczył zdjęcie św. Faustyny Kowalskiej i rozpoznał w niej tajemniczą zakonnicę. Zrozumiał, że „jej dom” to sanktuarium w Łagiewnikach i pojechał tam, wypełniając prośbę.

To jedno z najbardziej spektakularnych uzdrowień za wstawiennictwem św. Faustyny, opisane w książce Ewy Czaczkowskiej „Cuda świętej Faustyny”, podaje profil na platformie „Z Dzienniczka św. Faustyny Kowalskiej”. Znaki są po to, byśmy nigdy nie zwątpili.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 61dfdd5e4e

OGNIEM NA WPROST

Ruskie jagody w ogniu



Andrzej Rafał Potocki

Trwa demolka magazynów największego sprzedawcy i płatnika podatków w Federacji Moskiewskiej – Wildberries. W nocy z 15 na 16 sierpnia 2026 r. Ukraina przeprowadziła jeden z największych ataków dronowych na obwód moskiewski. Mer Moskwy Siergiej Sobianin poinformował w komunikatorze Telegram, że w kierunku obwodu moskiewskiego wystrzelono 620 dronów, 180 z nich miało zostać zestrzelonych nad miastem. Z kolei ukraińska agencja Unian obwieściła – na podstawie doniesień z serwisów społecznościowych – że ostrzał spowodował pożar w kompleksie logistycznym Wildberries w miejscowości Koliedino w obwodzie moskiewskim. To największy magazyn firmy w kraju, o powierzchni ponad 200 tys. m². W ogniu stanęło również centrum logistyczne w Domodiedowie pod Moskwą. Ostatnio obiekty Wildberries są permanentnie atakowane przez ukraińskie drony. W ocenie władz w Kijowie są one uzasadnionymi celami wojskowymi, ponieważ służą do zaopatrywania armii Kremla na froncie. Na platformie Wildberries można kupić m.in. komponenty do dronów, wyposażenie dla bojców, w tym kamizelki kuloodporne i hełmy. Trafiono już ponad 50 proc. obiektów firmy na terenie całej Kacapii. To czuły punkt obrotu gospodarczego Federacji. Znakiem firmowym ataków na centra Wildberries są potężne pożary z wielką ilością dymu zasnuwającego niebo nad magazynami. Jak tak dalej pójdzie, Ruski może stracić poważną część możliwości zakupów w internecie.

Ale Ruski też nie śpi. Wpadł na pomysł niszczenia już nie elektrowni, ale linii przesyłowych wysokiego napięcia. W tym celu skonstruowano specjalny dron. Najciekawszym elementem nowego bezzałogowca jest umieszczenie w skrzydłach materiału wybuchowego, który ma oddziaływać na słup energetyczny. Nie musi niszczyć całej infrastruktury dużą eksplozją – jego zadaniem jest uderzenie w metalową konstrukcję słupa. Uszkodzenie jednego z kluczowych elementów może spowodować utratę stabilności podpory, zerwanie przewodów i konieczność wyłączenia odcinka linii. Linie energetyczne są ogromnym i bardzo trudnym do ochrony celem. Rozciągają się na setki kilometrów, a ich słupy znajdują się często w otwartym terenie. Fizyczne zabezpieczenie każdego z nich przed atakiem z powietrza jest praktycznie niemożliwe. Dla Kremla oznacza to możliwość wykorzystania tanich bezzałogowców przeciwko bardzo drogiej i rozległej infrastrukturze. Te diabelstwo może spowodować odcięcie ogrzewania w wielu ukraińskich mieszkaniach. Szykuje się ostra zima w chałupach.

Siły Operacji Specjalnych (SOF) Ukrainy poinformowały o przywróceniu pełnej kontroli nad miejscowością Andrijiwka-Klewcowo w obwodzie donieckim. Oddziały atakujące Ruskich przez dłuższy czas próbowały zająć osadę za pomocą małych grup szturmowych, stopniowo infiltrując teren, zajmując pozycje i starając się utrwalić obecność. Według oficjalnego komunikatu SOF ok. 30 bojców zostało zmuszonych do kapitulacji i wziętych do niewoli. Ci, którzy kontynuowali opór, zostali wyeliminowani. „Andrijiwka-Klewcowo jest ponownie pod ukraińską kontrolą" – poinformował SOF. Operację przeprowadzili operatorzy 3. Pułku Sił Operacji Specjalnych we współpracy z jednym z ośrodków operacji psychologicznych SOF. Poza tym „na Wschodzie bez większych zmian".

No może z wyjątkiem okolic i samego Kramatorska. Z powodu coraz trudniejszej sytuacji operacyjnej na wschodzie, gdzie siły Kremla kontynuują powolny, ale wytrwały marsz w kierunku Kramatorska, i mimo lokalnych sukcesów taktycznych odniesionych przez ukraińskie formacje w sektorze południowym, napięcie w Siłach Zbrojnych Ukrainy stale rośnie. Coraz większa liczba doświadczonych oficerów i dowódców polowych podobno odchodzi ze służby, powołując się na surowy styl dowodzenia gen. Ołeksandra Syrskiego, co wielu określa jako rosnący autorytaryzm dowództwa. Jedna z ostatnich głośnych rezygnacji dotyczyła Dmytra Kaszczenki – Bohatera Ukrainy, byłego dowódcy 58. Brygady Zmotoryzowanej i zastępcy dowódcy 20. Korpusu Armijnego. Kaszczenko argumentował, że wielu nowo zmobilizowanych żołnierzy jest angażowanych do działań ofensywnych bez odpowiedniego przygotowania bojowego i psychologicznego. Opisał znaczenie stopniowego przyzwyczajania piechoty do realiów walki poprzez ograniczone starcia przed skierowaniem jej do większych szturmów. Nad gen. Syrskim gromadzą się czarne chmury i najprawdopodobniej zostanie zdymisjonowany i zastąpiony kimś innym. Tak twierdzą krawaciarze z Kijowa.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 61dfdd5e4e

***Michał Korsun** prezentuje: Barbara Mróz-Gorgoń: Pełnomocniczka Rządu ds. „Marki Polska”*



Wycinki z przeszłości

Mediolański profesor Rolando kochał ciszę. Gdy jego nowy współlokator zaczął całymi dniami słuchać głośno radia, a jego przybrana córka – grywać na fortepianie, doszło nawet do bójki. Finał w sądzie był jednak sensacyjny. „Gdy panna podała swe nazwisko i datę urodzenia, profesor zbladł i oświadczył, że to jest jego córka”. O jej narodzinach wiedział jedynie z listu matki, z którą na zawsze stracił kontakt, gdy w czasie I wojny światowej trafił do austriackiej niewoli.

(sp)


EXPRES ZAGŁĘB
ODDZIAŁY:
Senat zmienił stanowisko
w sprawie ochrony lokatorów
Na ścieżkach zbrodni.
komplet odcinków

W sądzie odnalazł córkę
Do czego prowadzi hałas

Mediolański profesor Rolando był wielkim miłośnikiem ciszy. Mieszkał on w domu, w którym było zupełna cisza i czuł się bardzo dobrze. Pech chciał, że jeden z dotychczasowych lokatorów wyprowadził się, a mieszkanie wynajął pan ze swoją adoptowaną córką. Z tym dniem skończył się spokój profesora. Przez cały dzień w mieszkaniu nowego lokatora grało radio, a na dobitek jego przybrana córka grała od czasu do czasu na fortepianie. Profesora to denerwowało i na tym tle doszło do sprzeczki a nawet do bójki.

Sprawa ta znalazła zakończenie w sądzie. Gdy panna podała swe nazwisko i datę urodzenia, profesor zbladł i oświadczył, że to jest jego córka. Powiedział, że po wyjściu ze szpitala w Palmy, w czasie wojny światowej, pozna chórzystkę operową, nazwiskiem Erminia Borri. Później został jeńcem austriackim i będąc w niewoli otrzymał list od Erminii o urodzeniu córki, która otrzymała imię matki. Więcej nie otrzymał już od niej żadnej wiadomości i wszelkie poszukiwania nie dały rezultatu. Dziwnym zbiegiem okoliczności, dzięki hałasowi i sprawie karnej, profesor odnalazł wreszcie ku niezmiernej radości swą córkę i pozbył się dręczących myśli.

Z WOLEJA



Ryszard Czarnecki

Chamstwo

Polscy lekkoatleci zdobyli na mistrzostwach Europy osiem medali, z czego siedem – kobiety. Brawo, nasze damy, huzary do poprawki. Najwięcej pretensji wysuwano jednak pod adresem nie naszych kulomiotów, ośmiusetmetrowców czy dyskoboli, tylko... dziennikarzy TVP (w likwidacji). Właśnie za ich nastawienie do sportowców. Nasz jedyny facet medalista (brąz na 100 m przez płotki), Jakub Szymański, zaraz po zajęciu trzeciego miejsca mówił o redaktorze R., który komentował jego bieg na igrzyskach w Paryżu: „On się chyba za bardzo nie interesuje [lekkoatletyką]”. Pan R. zastąpił jako komentator zawieszonego Przemysława Babiarza, który ośmielił się skrytykować ceremonię otwarcia IO, a przy okazji powiedział, co sądzi o komunizmie i nihilizmie. Płotkarz dodał, że swoimi wypowiedziami dziennikarz „niszczy talenty”. Nieco wcześniej na odbywających się w USA mistrzostwach świata (U-23) złoto na 400 m zdobyła Anastazja Kuś. O niej z kolei inny dziennikarz TVP (w likwidacji), pan D., mówił, że robi „karierę przez pośladki”. Na szczęście polscy lekkoatleci nie zeszli na ten poziom „kreta na Żuławach” – odpowiedzieli sukcesami. A swoją drogą, jakie widmo krąży nad Woronicza, skoro oni mówią tak, jak mówią?

Monopolu na chamstwo nie mają jednak dziennikarze z TVP (w likwidacji). Podczas rewanżowego meczu w europejskich pucharach, gdy Hammarby podejmowało Raków Częstochowa, kibice ze Szwecji wywiesili transparent z trawestacją słów naszego hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła? Zobaczymy”. Był też drugi, o treści wulgarno-obscenicznej: „Polskie psy są gówniane. Daj bratu pohasać”. Piłkarze z polskiego klubu odpowiedzieli identycznie jak polscy lekkoatleci: wygrali mecz wyjazdowy i awansowali. Szwedom nie pomogło chamstwo.

Z kolei w Glasgow chamstwo przeszło w rękoczyny. Jagiellonia Białystok grała z Rangers i też awansowała. Szkoci ze skąpstwa, z którego słyną, zatrudnili ochronę z Bałkanów, a ta szarpała i popychała polskich komentatorów: Mateusza Borka i byłego reprezentanta Polski (100 meczów w kadrze!). Cóż, Szkocja już wyszła z UE (razem z całą Wielką Brytanią), ale Unia ze Szkocji chyba jeszcze nie.

eprasa.pl 61dfdd5e4e



OD A DO ZYBERTOWICZA

Reszta, o którą nie trzeba się martwić

Elity technologiczne nie funkcjonują już w ramach tradycyjnych wspólnot, zdolnych nałożyć na nie hamulce etyczne

Rewolucja cyfrowa, a zwłaszcza rozwój sztucznej inteligencji, przyniosła zjawiska nieposiadające odpowiedników w przeszłości, nader niebezpieczne i grożące szkodami dla całej naszej cywilizacji.

Jednym z nich jest potężna dysproporcja między ogromnym sprawstwem (faktycznym wpływem na życie społeczne) pewnych wąskich grup a miniaturową odpowiedzialnością za sprawy wspólnoty. Mam na myśli tę nieliczną część elit Zachodu, która odpowiada za kierunki rozwoju AI. Idzie o szefów firm tworzących najpotężniejsze modele – Claude (Anthropic), ChatGPT (OpenAI), Muse Spark (Meta), Gemini (Google), Grok (xAI) oraz europejskiego Mistrala. Poważną rolę odgrywają tu również wielcy inwestorzy, w tym miliarderzy spoza NATO i UE, a także politycy, zdolni jeszcze zmieniać reguły tej gry.

To w ich rękach spoczywają narzędzia zdolne do całkowitego przekształcenia naszej pracy, sposobów toczenia wojen, urabiania opinii publicznej i systemów prawnych. Decyzje o architekturze tych modeli i zaszczepionych w nich wartościach zapadają w zamkniętych kręgach korporacyjnych, a nie na forach demokratycznych parlamentów.

Czy są jakieś poważne powody natury strukturalnej, dla których ci decydenci mieliby postępować odpowiedzialnie, zgodnie z interesem ludzkości, na którą wywierają już tak istotny wpływ?

Sięgam do felietonu Bronisława Wildsteina „Epstein, czyli globalizacja" („Sieci" 7/2026). Zaznaczę od razu: choć hasło „Epstein" nasuwa naturalne skojarzenia moralne, skupię się na wymiarze systemowym. Wildstein zauważa, że w aferze „najbardziej uderza skala i długotrwałość. Fakt, że globalny sutener był nie tylko tolerowany, lecz także z jego usług korzystali najbogatsi i najbardziej znaczący, odsłania mentalność środowiska. […] Moralność to kwestia wspólnoty: kiedy zabraknie norm i kodeksów, w ludziach ujawnia się ciemna strona ich natury". Dalej autor wskazuje, że dzieje się to w środowisku ludzi o wyjątkowym statusie: „przekonani o swojej wyjątkowości uznają, że zwykłe miary przestają ich obowiązywać". Jak do tego dochodzi?

„W chrześcijaństwie przeciwwagą dla pionowej struktury społecznej było uznanie równości osób ludzkich jako dzieci Boga. We wspólnotach – np. narodowych – poczucie więzi, które z nich wypływa, również tonuje hierarchiczne uporządkowanie. […] Globalne elity wyzwoliły się z jakiejkolwiek partykularnej tożsamości, z wszelkich ograniczeń […]. Powtarzano nam, że kapitał i kapitaliści nie mają narodowości. Realnie oznacza to, że nie posiadają lojalności. […] Ponadnarodowe układy polityczne, które nie są kontrolowane przez obywateli państw, dużo szybciej ulegają degeneracji".

Wobec czego, spytajmy, lojalni mają być „obywatele" postreligijnego i postnarodowego świata? Wobec rządów prawa? Kłopot w tym, że w demokracjach największy zakulisowy wpływ na kształt prawa wywierają właśnie przedstawiciele klasy wyższej. Jakub Jakóbowski, wiceszef Ośrodka Studiów Wschodnich, w wywiadzie Grzegorza Sroczyńskiego (Zero.pl) zauważa: „Mamy wielkie koncerny grające coraz częściej przeciwko własnemu przemysłowi i własnym narodom". W Niemczech wielki biznes nie czuje solidarności ze średnimi firmami i pracownikami.

Koncerny idą własną drogą z Chińczykami, „bo chcą za wszelką cenę przeżyć – choćby w formie wydmuszki – a nie martwić się o resztę".

Moim zdaniem to ten sam mechanizm. Wnioski?

Niepokoją. Elity technologiczne nie funkcjonują już w ramach tradycyjnych wspólnot, zdolnych nałożyć na nie ograniczenia etyczne. Wyrwane z kontekstu narodowego i kulturowego kierują się logiką systemowego przetrwania i akumulacji wpływów. Oddaliśmy narzędzia o bezprecedensowej mocy w ręce grupy, której jedyną lojalnością jest lojalność wobec własnej potęgi – to prosta droga do globalnej oligarchii.

Jeśli państwa i wspólnoty nie odzyskają suwerenności intelektualnej i nie narzucą twórcom AI twardych ram strukturalnych, staniemy się ostatecznie ową „resztą", o którą – z perspektywy Doliny Krzemowej – po prostu nie trzeba się martwić.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 61dfdd5e4e

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 61dfdd5e4e

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®

i czytaj SIECI

już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 61dfdd5e4e